

Wiktor Gomułicki

Wspomnienia niebieskiego mundurka



Książka dostępna na stronie [Bryk.pl](https://bryk.pl)

*Pamięci Bronisława Dembowskiego, towarzysza lat chłopięcych, urodzonego w
Pultusku, zmarłego w Zakopanem, te wspomnienia dni razem przeżytych
poświęcam*
W. G.

Od autora

Największą dla piszącego pociechą, a częstokroć i jedyną za pracę nagrodą, jest przeświadczenie, że jego książka zdobyła sobie życzliwość czytelników i w sercach ich przyjazne zbudziła echo.

Tej pociechy doświadcza i tą nagrodą szczyli się autor Wspomnień Niebieskiego Mundurka, przygotowując do druku trzecie swej pracy wydanie.

Radość największą sprawia mu myśl, że oto, dzięki serdecznej nici, nawiązanej pomiędzy autorem a czytelnikami zatarła się — przynajmniej ideowo — różnica dzieląca młodzież dzisiejszą od tamtej, która żyła, ślęczała nad książkami, swawoliła i pierwszych trosk o przyszłość swą doświadczała przed laty kilkudziesięciu.

Gdy Wspomnienia ukazały się po raz pierwszy, młode pokolenie uczących się przygniatała jeszcze groza tylko co minionej epoki apuchtinowskiej. Mimo że cisnąca nas wszystkich obręcz już się wówczas cokolwiek rozluźniła, nie można jeszcze było z zupełną swobodą kształcić się, mówić, myśleć, a co najważniejsze: postępować po polsku.

Książkę przyjęto życzliwie, jako echo dni minionych i jako zwiastuna dni spodziewanych. Młodzież dowiadywała się z niej: jak to szkoła polska wyglądała, gdy Hurków, Hurkowych i Apuchtinów jeszcze nie było; tworzyła też sobie na jej podstawie obraz jutra, w którym tej znienawidzonej zgrai rusyfikacyjnej już nie będzie.

Niebo nad Polską różowiało — jednak dzień wyglądzany długo się nie ukazywał, budząc w sercach i umysłach dręczący niepokój. I bywały chwile, gdy w dusze padał lęk, że może wschodu słońca nie doczekamy...

W innych warunkach ukazuje się niniejsze Wspomnień Niebieskiego Mundurka wydanie. Zorza wolności rozpostarła się szeroko nad naszymi głowami — wybuchu słonecznego blasku spodziewamy się lada dzień, lada chwila...

Być może, iż gdy ta książka rąk waszych dojdzie, już słońce będzie stało wysoko, a jego promienie będą oświecały wolną, zwycięską, tryumfującą Polskę od końca do końca!

Zmienione warunki pozwoliły autorowi do serii obrazków składających się na Wspomnienia wsunąć jeden jeszcze, na który w wydaniach poprzednich miejsca nie było.

Obok profesorów łaciny, francuszczyzny itd. ukazuje się w tym nowym wydaniu nauczyciel języka rosyjskiego, wiernie z natury odmalowany. Niepodobny on zgoła do sprzedanych rusyfikatorów, katów dzieci i młodzieży, wampirów już nie tylko krew, lecz i dusze z ofiar swych wypijających, których wspomnienie dotąd jak zmora ciąży nad nami.

Jest i ów Jastrebów ofiarą — i ginie śmiercią niemal samobójczą, przeżarty melancholią oraz dziwacznym, chorobliwym marzycielstwem. Nie budzi nienawiści, raczej — politowanie.

Mówiąc o swej książce i jej losach, nie mogę przemilczeć faktu, że do powodzenia Niebieskiego Mundurka przyczyniły się w znacznym stopniu przepiękne rysunki, którymi ozdobił go p. Konstanty Gorski. Moją wizję ludzi i spraw dawno zamarłych ucieleśnił on z odgadnioną intuicyjnie prawdą, która mnie samego w podziw wprowadziła. Do takiego wmyślenia się i wczucia w cudzą duszę zdolni są tylko wielkiej miary artyści.

Wiktor Gomulicki

Warszawa, w czerwcu 1918 r.

Ze starego kufra dzieci wyciągnęły i ojcu przyniosły kołnierz z sukna niebieskiego, oszyty srebrzystą tasiemką.

— Co to, tatusiu?... Od czego to?... Skąd się to tam wzięło?...

Ojciec wziął w ręce wąski, wypłowiały pasek, do oczu go przybliżył — długo wpatrywał się weń w milczeniu...

Ciekawość dzieci jeszcze bardziej wzrosła.

— Tatusiu kochany! — Niech nam tatuś powie!... My koniecznie chcielibyśmy się dowiedzieć!...

Ojciec przesunął ręką po oczach — może mu się czym zaprószyły? — Potem westchnął głęboko i rzekł drżącym głosem:

— To jest kołnierz od mojego mundura...

— Od mundura? — zdziwił się najmłodszy synek — To tatuś był w wojsku?...

— Od mego mundura szkolnego!

Dwaj starsi chłopcy wystąpili z opozycją.

— To być nie może! Żadna szkoła nie nosi mundurów niebieskich ze srebrnym oszyciem. Przecież znamy wszystkie: rządowe i prywatne.

— Nie noszą dziś — nosiły pomiędzy rokiem 1860 a 1870, to jest wówczas, gdy wasz ojciec był takim, jak wy, uczniakiem...

Chłopcy wrywali sobie kołnierz, przyglądając mu się z nadzwyczajnym zajęciem...

— To musiały być ładne mundury?... — zauważył najstarszy.

— Ładne. Skrajane „do figury”, zapinane na jeden rząd srebrnych, gładkich guzików, z małymi guziczkami przy rękawach. Czapki zaś były formy francuskiej, również niebieskie, z białą wypustką, z prostym daszkiem — takie, jakich dotąd wojsko francuskie używa.

— To musiały być kiepy! — wyrwał się najmłodszy chłopiec, pierwszoklasista. — Nosili je „górale”.

— Jacy „górale”?

— No, wie tatuś: te sztubaki od Górskiego!

— Takie czapki nie nazywają się kiepy, lecz kepi. Tamte różniły się od dzisiejszych tym, że były miękkie i dawały się najrozmaiciej na głowie układać. Przywdziewał je też każdy inaczej — nieraz bardzo fantastycznie.

Chłopcy starali się wyobrazić sobie, jak wyglądał ich ojciec w niebieskim kepi. Ale trudno im było przedstawić go sobie bez wąsów, z gładką, rumianą twarzą, bez siwiejących na skroniach włosów...

Ojciec tymczasem nie przestawał wpatrywać się w wypłowiały kołnierz, oczy zaś jego musiały być wciąż zaprószone, bo je przecierał nieustannie, najpierw dłonią, później chusteczką...

Nagle szepnął z nowym westchnieniem:

— Ach, gdyby ten kołnierz umiał mówić!...

— To co?... to co, tatusiu?... — wykrzyknęli pytająco wszyscy trzej chłopcy.

— To opowiedziałby wam swoje wspomnienia, które by was niezawodnie zajęły...

— Ba!... — westchnął smutno średni chłopiec — nie tylko kołnierz, ale nawet cały mundurek tej sztuki nie dokáže...

— Ale może dokazać jej tatuś, który w tym mundurku chodził! — osądził spokojnie najstarszy.

Ojciec przygarnął do siebie swą „trójkę hultajską”.

— Więc ciekawiście naprawdę „wspomnień niebieskiego mundurka?”...

— Jeszcze jak, kochany tatusiu!... Zaraz byśmy siedli i słuchali...

— No, to wam je opowiem. Albo lepiej — po namyśle dodał — napiszę.

...Z tej rozmowy i z dotrzymanego przez ojca przyrzeczenia powstały poniższe obrazki.

I. Dzwonek szkolny

— Dendele!... dendele!...

Miasteczko śpi jeszcze, nakryte mgłą, jak pierzyną. Godzina zaledwie siódma. W końcu października nie wszyscy o tej porze wstają do pracy, czynią to tylko ci, co muszą: rzemieślnicy, sługi, uczniowie.

Głos dzwonka z trudnością przedziera się przez mgłę. Jednak dolatuje gdzie trzeba. Świadczą o tym migające tu i ówdzie w oknach blade płomyki świec — łojowych. Stearyny oszczędni obywatele używają tylko „od wielkiego dzwonu”: szkoda jej dla dzieciaków, które w tej chwili z pośpiechem nadzwyczajnym parzą sobie usta gorącą kawą, wpychają do tek książki, jabłka, kajety i obwarzanki, „przepowiadając” jednocześnie na cały głos: katechizm, gramatykę polską, deklamację łacińską i geografę.

— Dendele!... dendele!... dendele!...

Dzwonek odzywa się to głośniejsz, bardzo głośno nawet, jakby krzyczał na opieszających z gniewem i niecierpliwością; to znów ciszej, nawet zupełnie cicho, jakby mu sił brakło lub sam w drzemkę zapadał...

W szarym świetle poranku przebiegają w różnych kierunkach, z koszykami i bez koszyków, boso i w przydeptanych pantoflach, rozczochrane, na pół senne służące.

— Kasiu! czy to ju drugi raz dzwonili?

— Nie, dopiru pierwszy.

— Nie gadaj! — tociem na własne uszy słyszała...

— Słyszałaś, ale segnaturkę u refermatów.

- Śpieszajta! paniczowi bułków na gwałt trzeba!
- Ojoj! wielka rzecz! Może zaczekać. I tak Judkowa jeszcze nie upiekła.
- Upiekła. Lećta duchem do Żydówki.
- Na jednej nodze!
- Jak bocion!

Kilka dziewczuch pędzi w stronę wąskiej uliczki, zamieszkałej przez Żydów. Jest tam jeden mały, krzywy, w ziemię zasunięty domek, nad którym zawsze o tej porze unosi się, to prosta jak obelisk, to maczugowato u góry rozszerzająca się, to rozprysnięta, jak fontanna, to spiralnie skręcona, to wreszcie jakby przełamana i w dół spadająca kolumna burego dymu. W tym domku mieszka Judkowa, główna karmicielka „studentów”, których nazywa „skubentami”, najpierwsza na całe miasteczko obwarzankarka, przez nikogo nie prześcignięta twórczyni obwarzanków „groszowych”, „plecionych”, „jajecznych” oraz „chał”, „makagig” i słodkich „mac”, cynamonem osypywanych.

– Dendele!... dendele!... dendele!...

Po pięciominutowym odpoczynku dzwonek, z nową siłą i z wyraźną już złością, krzyczy na spóźniających się. Krzyczy długo, zajadle — potem w największym paroksyzmie gniewu urywa w jednej chwili, jak człowiek, który głośno i namiętnie spierając się, nagle machnął ręką, odwrócił się — odchodzi...

Kto mowę dzwonek rozumie, w tym dzwonieniu słyszał wyraźnie:

– Nuże, leniuchy, ospalcy, próżniaki! Czyż się was dziś nie dowolałam? Piersi zrywam, serce ledwie mi nie pęknie, a wy nic! Śpiesznie, rzucajcie wszystko, przybywajcie, bo inaczej... Zresztą — jak się wam podoba! Możecie zwlekać, spóźniać się, nawet wcale nie przychodzić... Nic mi do tego. Ale wiedźcie, że was czeka „pałka” z pilności, zamknięcie w ciemnej izbie przy kancelarii, rozmowa w cztery oczy z inspektorem, ze stróżem, może nawet wysyłka bezterminowa „na grzyby”... W końcu — dajcie mi pokój. Mam was dosyć!

Na ulicach zaniebieszczęło się od mundurków granatowych. Z kamienic i kamieniczek, z drewnianych, oparkanionych dworków, z klatek ledwie kupy się trzymających, wybiegają malcy i wyrostki. Podążają w jedną stronę, potrącając się, wyścigając.

Na rogu ulicy dwóch się spotkało — przez resztę drogi biegną obok siebie cwałem, rzucając słowa oderwane...

– Te, Gęba!

- A co?
- Słyszałeś dzwonek?
- Aha!
- To ci dopiero był zły!
- Iii... głupstwo!
- Nie gadaj! Ja się znam na dzwonku!
- Więc cóż?
- Inspektor pewnie się wścieka...

Już nie biegną, ale pędzą. Dobiegli zdyszani do szkoły. Ledwie wśliznęli się na korytarz, kulawy Szymon zatrzasnął za nimi z łoskotem ciężkie, okute drzwi, wiodące razem do szkoły i do klasztoru.

Mają tylko tyle czasu, ile trzeba na zrzucenie płaszczów, zawieszenie czapek na kołkach, wsunięcie tek we właściwe przegródki.

Już w długim korytarzu, łączącym szkołę z kościołem, formują się pary. Pierwsza klasa w samych mundurkach, z gołymi głowami, stoi gotowa do marszu; druga klasa wysypuje się na korytarz; trzecia wychyla się z otwartych drzwi, czekając na swą kolej; czwarta, bez zbytniego pośpiechu, szykuje się do wyjścia; piąta — same filozofy z rękoma w kieszeniach, z golonymi scyzorykiem brodami — wygląda przez okna obojętnie, po stoicku poświstując lekko, jakby jej ten ruch wcale nie dotyczył.

Profesor Salamonowicz, ruchliwy, nerwowy, biega szybko w prawo i lewo, na górę i na dół, do wszystkich klas zaglądając, do pośpiechu nagłąc. Profesor Izdebski, poważny, zatabaczony, w granatowym fałdzistym, szeroko rozpostartym płaszczu z peleryną, z podciągniętymi wysoko, dla oszczędności, nogawicami, sunie środkiem korytarza, między dwoma rzędami mundurków, kołysząc się lekko na dużych, płaskich stopach, w obuwiu z grubej, juchtowej skóry, ze startymi doszczętnie napiętkami. Nosowym, przyciszonym głosem strofuje malców, rzucając im co chwila swe ulubione hasło:

- Baczość!... uwaga!...

W kilka chwil później, długim, półciemnym korytarzem, na kształt długiej, niebieskiej, o srebrnych cętkach lizki, posuwa się cała szkoła, szeleszcząc rytmicznie stopami. Wpłynęła bocznym wejściem do kościoła i skupiła się w prawidłowych czworobokach tuż przy prezbiterium, dla wysłuchania „mszy studenckiej”, odprawianej przy wielkim ołtarzu codziennie, z wyjątkiem miesięcy zimowych, przed lekcjami.

Pod wysokim sklepieniem, w zagłębieniach ołtarzy, na chórze, zawsze pełnym mroku, czają się jeszcze resztki nocy i snu. „Nowozaciężnym” pierwszoklasistom, niewyzwolonym całkowicie z dziecinnych, domowych przyzwyczajęń, kleją się jeszcze oczy. Ale zabłysnęły w ołtarzu światła, ozwał się miły głos księdza prefekta: „Introibo ad altare Dei”, trzecioklasista w białej komeżce, służący do mszy, uderzył mocno w dzwonek, zagrzmiął z góry akord organowy — noc i sen pierzchają pokonane...

W poważnym milczeniu szli uczniowie na mszę; powracają z gwarem głośnym, który głucho tętni pod niskim sklepieniem korytarza. Szybko zajęli swe miejsca, rozkładają hałaśliwie książki i kajety. Każda klasa zmienia się na chwilę w ul brzęczącą. Potem wchodzi nauczyciele — wszystko zapada w ciszę. Rozpoczyna się pierwsza lekcja, „od ósmej do dziewiątej”.

Dzwonek spełnił, co do niego należało. Kilku maruderów pozostało za drzwiami, ale dwustu kilkudziesięciu chłopców klęczy przykładnie w ławkach, powtarzając zmieszonym chórem: „Przyjdź, Duchu Święty, napełnij serca nasze...” Zaraz potem, na dole i na górze, spoza drzwi zamkniętych dochodzą stłumione głosy nauczycieli, mocniejszy od innych wywołuje donośnie:

— Bagiński, Batogowski, Bellon, Brudzyński, Ciaputowicz, Dąbrowski, Dembowski, Demianowicz, Elżanowski, Gadomski, Gembarzewski, Gomulicki...

Dzwonek zrobił swoje — teraz może odpoczywać do godziny drugiej, o której znów będzie wzywał niesforną gromadkę na dwie lekcje poobiednie. Odpoczynek dłuższy, prócz świąt, „galówek” i ferii, miewa jeszcze we środy i w soboty. W te dni dzieci nie przychodzą już po obiedzie do szkoły.

Pocziwy, czujny, niezmordowany dzwonek! Ileż pokoleń budzi wytrwale z gnuśnego lenistwa do modlitwy i nauki, dwóch największych skarbów życia, bez których nie można ani szczęścia zdobyć, ani zostać człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu!

Mieszka ten dzwonek wysoko, na jednej z wież kościoła, dziś benedyktyńskiego, a który wcześniej, przez dwa stulecia blisko służył jezuitom. Kto ma dobre oko, dojrzeć go może w dzień jasny przez jedno z wąziutkich, do strzelnic podobnych okienek. Jest wysmukły, jak kleryk w obcisłej sutannie, a od starości już nie zielony, lecz czarny. Przypomina kruka, dożywającego dni swych w niedostępnym gnieździe.

Kto wie, czy nie ten sam dzwonek przed dwustu kilkudziesięciu laty budził i do rzeczywistości przywoływał pewnego, skłonnego do marzeń, zawsze zamyślonego

młodzieńczyka, owego małego z ostrym, wyrazistym profilem „Matyjaszka”, z którego wyrosnąć miał głośny na całą Europę Mateusz Sarbiewski?

Kto wie, czy rzeński i skoczny rytm tego dzwonka nie rozweselał ongi uszów księdza Piotra Skargi i księdza Jakuba Wujka, którzy w tych murach długie chwile przemodlili i przemyśleli?...

To pewne, że widuje się niekiedy starców drżących, którym się „na drugie stulecie zabiera”, jak dzwonek ów usłyszawszy, stają w miejscu, prostują się i szyję wyciągają, niby wierzchowiec kawaleryjski na głos trąbki wojskowej. Potem uśmiech rozszerza ich szczęki bezzębne, w przygasłych oczach żywy płomień błyska. Machając rękoma, niby ptaki ciężkie, silnym rozmachem skrzydeł pomagające sobie do lotu — próbują biec na równi z uczniami w stronę gmachu szkolnego. Nogi im się splątały — przystają zdyszani...

— Nie zdążymy... — seplenią. — Ksiądz rektor znów nam złą notę postawi...

I pomarszczone ich twarze osmucają się tym samym wyrazem zmartwienia, jaki miały przed osiemdziesięciu kilku laty w podobnym wypadku...

Nie tylko ucząca się dziatwa, ale razem z nią jej ojcowie, dziadkowie i pradziadkowie słuchają dzwonka benedyktyńskiego, jak starego, dobrego przyjaciela i ochmistrza.

Kto urodził się w miasteczku i kto w nim umiera, temu jest ten dzwonek nieodstępnym przez całe życie towarzyszem.

Więc być może nawet, że gdy w ciche, błękitne poranki głos dzwonka dopływa aż do krańców miasta, gdzie na zielonym wzgórzu ponad Narwią szarzeją, bieleją i złoceniami migocą krzyże i kamienie nagrobne — dreszcz miły przenika prochy praojców, co tam od niepamiętnych czasów snem nieprzespanym zasypiają...

Na cmentarzu staje się prawie wesoło, gdy pomiędzy groby wpada w podskokach rzeńskie, pobudliwe, jakby roztańczone:

— Dendele!... dendelel... dendele!...

II. „Knot”

— Proszę pana! Gdzie tu jest pierwsza klasa?

— To ci dopiero głupi! Stoi przed klasą i o klasę pyta!

Przy tych słowach zapytany, chłopiec jedenastoletni, ujmuje za kołnierz pytającego, malca o rok niecały młodszego od siebie, i otworzywszy drzwi, wpycha go do środka. Malec wpada jak kartacz na środek klasy, pełnej wrzasku, tupania nóg i nieopisanego

zamętu. Ten hałas, w połączeniu z piaskiem, którym wysypano podłogę oraz zbyt długimi i zbyt szerokimi na „wyrost” uszytymi spodenkami, przyprawia go o utratę równowagi. Przewraca się, upuszczając tekę, z której wysypuje się trochę książek i wielka ilość „prowiantu”...

Sześćdziesięciu chłopców wybucha śmiechem i krzykiem. Malec podnosi się zaczerwieniony, kurzem okryty — do przewodnika swego się zwraca.

— Dziękuję panu! — mówi, kłaniając się pokornie.

Nowe śmiechy i krzyki.

Tamten pomaga mu wspaniałomyślnie zbierać książki, jabłka, serdelki; potem skierowuje go pod ścianę i pcha przed sobą w stronę ostatnich rzędów ławek. Po drodze wybębnia mu pięścią marsza to na jednej, to na drugiej łopacie.

Znaleźli z trudnością wolne miejsce. Protektor sadza na nim protegowanego, objaśnia, gdzie się chowa tekę, i przykazuje najsurowiej, żeby ławki nie rznął scyzorykiem, gdyż za to „biją”.

— A jak wejdzie inspektor, wstać, milczeć i słuchać.

— Dziękuję panu... — kłania się znów malec uprzejmie.

Tamten szczypie go w ramię ze złością.

— Nie nazywaj mnie, knocie, „panem”. W sztubie nie ma żadnego państwa. Wszyscyśmy koledzy i kwita! Mów do mnie po prostu: ty.

— Dobrze, proszę... ciebie.

Malec jest zadowolony. Sadowi się wygodnie, uśmiecha sam do siebie. Zaraz też zanurza rękę do teki, wydobywa bułkę z serem, i zaczyna spokojnie zajadać, wodząc oczyma po ścianach i suficie. Towarzysze zdają się go mało obchodzić — oprócz tego, co go tu wprowadził, nazwał dwukrotnie „głupcem” i „knotem”, i dla którego uczuwa nadzwyczajną sympatię połączoną z szacunkiem.

— Musi to być jakaś „starsza osoba” — myśli, żałując, że go już nie ma przy sobie.

Tamten zaś nie może wytrzymać na jednym miejscu. Wszędzie go pełno. Przebiega z ławki do ławki, musztrując małych, zalęknionych nowicjuszków; jednym wskazuje miejsca, innym zapina guziki u mundurów, innym jeszcze podsuwa pięść pod brodę, zalecając, żeby się prosto trzymali. To znów wskazuje na katedrę, przesuwa stolik, fotel, chusteczką kurz strzepuje. Za chwilę jest już przy tablicy, rysuje kredą olbrzymią głowę, ściera rysunek rękawem, a gąbką nos uciera — co wywołuje hałaśliwą wesołość w grupie przyglądających mu się malców. Wreszcie porzuca wszystko i przyskoczywszy do najbliższego towarzysza, zaczyna mocować się z nim, jak siłacz cyrkowy.

Z całego jego zachowania się widać, że uważa się w istocie za „starszą osobę”.

Jest zresztą w klasie kilku takich jak on. Odbijają od tłumu nieśmiały, niezgrabny, niemądrze uśmiechających się pierwszoklasistów wielką pewnością siebie, minami zuchowatymi, ciągłą gotowością do bójki. Tamci to niby nowozaciężni rekruci; oni — stara gwardia. Już byli w ogniu, już proch wachali. Znać to po ich twarzach, po mundurkach wytartych, po czuprynach, na których sterczą znamienne „wicherki”...

Są to — drugorocznicy.

Każdy z nich z wyższością i lekceważeniem patrzy na „knotów”, co dziś, w pierwszym powakacyjnym dniu szkolnym, zapełnili klasę.

Szkoła nie jest wodą stojącą: przypomina raczej morze, które ma swe ciągle, stałe przypyły i odpływy. Przy końcu każdego roku z piątej, najwyższej klasy odpływa nadmiar ruchliwej, niebieskiej fali, szukając dla siebie ujścia w gimnazjach gubernialnych, w kancelariach instytucji rządowych i prywatnych, na wsiach własnych lub cudzych, przy gospodarstwie. Początek roku wyrównywa ubytek z nadpłatą. Z miasta i ze wsi, z domów urzędniczych i rzemieślniczych, z dworów, nawet z chat, słomą krytych, napływa świeża fala, szumna, hałaśliwa, nie umiejąca jeszcze posuwać się spokojnie równym, prawidłowo wykreślonym łóżykiem...

Boże! Jacyż są śmieszni ci nowicjusze w swych workowatych mundurkach, w za długich, zawiniętych u dołu spodkach, z włosami spadającymi na ramiona lub przy samej skórze ostrzyżonymi (przy czym niewprawna ręka matki lub służącej usiała na ich głowach całe konstelacje gwiazd, słońce i księżyców), z wyrazem twarzy na pół wesołym, na pół płaczącym, z niespokojnymi palcami, które muszą nieustannie coś skubać, czegoś dotykać, po czymś bębnić...

Niektórym matki przypięły na tę uroczystość wielkie kokardy z kolorowej wstążki, wysuwające się spod kołnierza w sposób rażący. Zanim inspektor wyszarpienie i do kieszeni schować każe te „nadetatowe” dodatki, żartownisie szkolni (stara gwardia!) rzucają w nie czapkami wołając, że to... motyle, które nakryć, a potem na szpilkę wbić trzeba.

Pół biedy jeszcze z tymi, co przeszli przez bakalarnię, gdzie nabrali choć cokolwiek szkolnej „tresury”. Ci umieją przynajmniej siedzieć prosto na ławce, patrzeć gdzie należy, obchodzić się porządnie z piórem i atramentem. Ale „wolontariusze”, przybywający wprost z dziecinnego pokoju, z izby czeladnej, z lasu, z pola, z podwórza wiejskiej zagrody, mogą zwierzchników szkolnych o rozpacz przyprawić!...

Jeden podczas lekcji usiadł tyłem do nauczyciela. Drugi, znudzony wykładem, przeciąga się i na cały głos ziewa. Trzeci położył głowę na książce i zasnął. Czwarty wytknął dwa palce i z całą szczerością zwierza się nauczycielowi, że „okropnie chce mu się jeść”. Piąty, wywołany do lekcji, wstać nie może, gdyż... urwał mu się guzik od spodni.

Zwłaszcza pierwszego dnia przedstawia się to wszystko przestraszająco. Jakaś masa bezkształtna i bezkarna, której, zda się, żadna siła nie potrafi wtłoczyć w porządną, wychowawczą formę. Oczy stale roztargnione, niespokojne, biegające w prawo i lewo, jak u myszy schwytej w pułapkę; brzuchy wystające, piersi w tył cofnięte, ręce i nogi w ciągłych podrygach... Trzeba by geniuszu Napoleona I, żeby z tej „ruchawki” utworzyć porządne, prawidłowe kadry, posłuszne głosowi dzwonka, rozkazom inspektora, upomnieniom nauczycieli, szanujące powagę kulawego Szymona, nieopalanej zimą „kozy”, brzezinowych, giętkich, w wodzie deszczowej wymoczonych prętów...

W praktyce rzecz przybiera formy o wiele prościejsze. Po okresie wrzenia, burzenia się, rozpryskiwania, który trwa krócej lub dłużej, nigdy jednak granic pierwszego szkolnego kwartału nie przekracza, wrzątek zaczyna z wolna stygnąć, i płynny, iskrami sypiący metal układa się posłusznie w przygotowane zawczasu formy. Wybuchy fajerwerkowe zdarzają się i później niekiedy, ale już ogólnego porządku rzeczy nie są w możności odmienić.

Hałas nadzwyczajny, panujący dziś w klasie, stwierdza, że okres burzy trwa tu w całej pełni — ba! dopiero się rozpoczął...

Naszego malca jednak nic on nie obchodzi. Rumiany tłścioszek, usadowiony wygodnie w jednej z oddalonych ławek, spożywa swój ser z bułką z takim spokojem, jakby znajdował się gdzieś na skraju lasu, pod kępką brzoź lub sosenek.

Nagle ktoś woła w pobliżu:

— Te, knot!...

Nie wiadomo skąd, malec odgaduje od razu, że to o nim mowa.

Zwraca się w stronę głosu, który płynie z wysoka, i widzi swego protektora, stojącego na wierzchu dwóch ławek, w postawie Kolosa Rodyjskiego, z ręką przyjaźnie ku niemu wyciągniętą.

Nieprzełknięte jeszcze jedzenie nie pozwala tłścioskowi przemówić — oczyma tylko zapytuje: czego chcą od niego?

— Nazywam się Kozłowski Karol! — krzyczy miniaturowy kolosik. — A ty, knocie?

Malec zrozumiał, że tu idzie o rzecz ważną: o wzajemną rekomendację. Nie można jej uchybiać nawet wówczas, gdy się w tak niezwyklej formie odbywa. Więc, połykając z pośpiechem ser, najgłośniejszym jak może odpowiada:

— Moje nazwisko: Mieszkowski Piotruś!...

— Piotruś? — wrzeszczy tamten, starając się przekrzyczeć hałasujących w pobliżu kolegów. — Bardzo mi przyjemnie! Lubię pasjami Piotrusiów! Ściskam twą rękę, Piotrusiu!

Przy tych słowach, potrząsa kilkakrotnie dłonią w powietrzu.

W tejże chwili odwraca się, wymierza psztyczka w ucho najbliższemu koledze i zeskoczywszy, daje nurka pod ławkę.

Okrągłe oczy Piotrusia Mieszkowskiego wyrażają zachwyt. Jest dumny z posiadania tak dzielnego kolegi...

Hałas wzrasta się z każdą chwilą. Obawiać się można, że od grzmotliwego tupania zapadnie się podłoga, że szyby popękają od okropnego krzyku. Kładzie temu kres wejście inspektora.

Sama postać zwierzchnika i wyraz jego twarzy wzbudzają lęk. Niezbyt wysoki, ale gruby, z wielkim wystającym brzuchem, z dolną wargą wysuniętą, z wiecznym „marszem” na czole, przemawia krótko, głosem basowym, gniewnym.

Chłopcy nic prawie nie rozumieją z jego przemowy. Powtarza się w niej nieustannie: obowiązek... obowiązek... obowiązek... Piękne i wzniosłe słowo! — Ale żeby do umysłów dziecięcych trafiło, musi występować w towarzystwie słów innych: prostych, serdecznych...

W klasie staje się cicho — ale razem z ciszą pada na nią dziwna posępność. Iskrzące się wesołością oczy tracą nagle blask, z kilku piersi wydobywa się mimowolne westchnienie. Wszystkie twarze smutnieją.

Dzieci czują instynktem, że w ich życiu zaszło coś przełomowego. Bywaj zdrowa, swobodo ptaszęca! Bywaj zdrow, „śnie złoty! śnie na kwiatkach!” Pomiędzy dniem wczorajszym a dzisiejszym wyrósł nagle mur nieprzebyty, kamienny.

A na tym murze czernieje groźnie słowo: Obowiązek.

Ha, pogodzić się trzeba z koniecznością!... Dzieciństwo trwać wiecznie nie może; życia samą zabawą wypełnić niepodobna. Już ksiądz prefekt w swej pierwszej nauce moralnej wspominał, że za nieposłuszeństwo pierwszych rodziców cały rodzaj ludzki został skazany na pracę, że człowiek w ciężkim znoju chleb swój zdobywać musi...

O Adamie! O Ewo! — Jakże was serdecznie te wszystkie niebieskie mundurki nienawidzą! O węzu, węzu przewrotny! Godny, żeby cię na środku klasy rozciągnięto i pozwolono kulawemu Szymonowi ćwiczyć aż do zdechnięcia!...

Po odejściu inspektora odbywa się pierwsza lekcja — potem druga. Ale są to lekcje tylko z nazwiska. Co chwila coś je przerywa: to przychodzi nowy uczeń; to stolarz wnosi nową ławkę; to któryś z nauczycieli wypukuje kolegę „na minutkę”, która przeciąga się do całego kwadransa; to przybywa stróż szkolny z kartką od inspektora; to matka jednego z „knotów” przybiega zdyszana niosąc chleb z zimną cielęcina, którego „nieboraczek zabrać zapomniał, tak się wyląkł dzwonka — bo toto jeszcze małe, delikatne i nie przywykło”...

O dziesiątej zjawia się raz jeszcze inspektor i każe „knotom” iść do domu, nazajutrz zaś „punkt o siódmej” stawić się na mszę uczniowską, „nie spóźniając się ani na sekundę, gdyż punktualność to ich obowiązek, obowiązki zaś swe obowiązani są” itd.

Gdy Karol Kozłowski przeciska się przez zatłoczony niebieskimi mundurkami korytarz, rozdając na wszystkie strony ukradkowe kuksańce, psztyczki, „gruszki stolarskie” i uszczyptnięcia — ktoś pociąga go nagle z całej siły za połę...

Ogląda się i spostrzega — Piotrusia.

— Lubisz orzechy? — pyta malec, z miną pełną zarazem uprzejmości i zakłopotania.

— Co nie mam lubić! — odpowiada tamten.

— To przyjdź do mnie. Mam cały worek.

— Oho! — A gdzie ty „stoisz”?

— U Wojcieszkowej, na Starym Mieście, wpodłe reformatów.

Piotruś wyraża się po prostu — cały jest pełen sielskiej prostoty. Czuć go bardziej dworkiem, niż dworem.

— Przyjdę! — zgadza się wyniośle Kozłowski i szybko odchodzi.

Ale niebawem znów go ciągną za połę.

— A co mi dasz za to? — dopytuje malec nie uważając sprawy za skończoną.

— Mam piłkę... Chcesz?

— Iiii... Pewnie parcianka.

— Nie, włosianka. Na wierzchu skóra prawdziwa.

— Eeee!... Taka to nie bardzo odskakuje.

Kozłowski, silnie już zirytowany, wybucha:

— Patrzcie go! Knot jeden! Chciałby pewnie dętki albo lanki za swoje głupie orzechy! Możesz je schować dla siebie. Ty jeszcze, kochanku, nie znasz Kozłowskiego. Ja wcale twoich orzechów nie potrzebuję!

Malec stoi przez kilka chwil w milczeniu.

Twarz jego wyraża zupełne ogłupienie.

— Jak nie, to nie! — przemawia wreszcie z flegmatyczną rezygnacją.

I przełożywszy tekę z jednej pachy pod drugą, odchodzi z wolna w swoją drogę.

Kozłowskiego zajęły tymczasem całkowicie wróble, których całe stadko zbiegło się do rozsypanego na ulicy obroku. Płoszy je swą teką, potem biegnie za spłoszonymi i pędzi je przed sobą, dopóki nie przefrunęły przez mur do ogrodu klasztornego.

O Piotrusiu i jego orzechach zupełnie zapomniał.

Do domu ma blisko, ale jak zawsze, nie idzie doń prostą drogą. W jednym miejscu przystanął, żeby przypatrzeć się mularzom, pracującym przy budowie nowej kamienicy; w innym, żeby wypytać przekupkę o cenę gruszek, jabłek, śliwek, pestek dyni i ziarn słonecznikowych (kupować tymczasem nie chce — no i nie ma za co); w innym jeszcze, żeby postraszyć żydowskiego bachórka i ucieszyć się, widząc jak pada, fikając gołymi, tłustymi nożynami...

Nie wiadomo jak i kiedy znalazł się na moście staromiejskim. Wsparł się obiema rękoma o poręcz — wzrokiem melancholijnym ściga przepływające pod mostem fale.

— Może wolisz miód? — odzywa się nagle za jego plecami głos dziecinny, nieśmiały.

Jednocześnie wychyla się do niego puciołowata, rumiana twarzyczka z błyszczącymi poczciwie oczyma.

To Piotruś, który od wyjścia ze szkoły nie porzucił swego protektora, łażąc za nim w odległości kilku kroków po uliczkach i zaułkach miasteczka...

Na wspomnienie o miodzie Kozłowski oblizuje się.

— A bo ty, knocie, masz miód?... — odzywa się sceptycznie.

— Mam cały garnek.

— Nie gadaj!

— Jak Bożię kocham!

Kozłowski posepnieje.

— Ba! Cóż z tego! — mówi, na wodę patrząc. — I tak wiem, że mi nie dasz!...

— Dam, tylko przyjdź do mnie.

— Naprawdę dasz?

— Co nie mam dać! I orzechów dołożę.

Oczy Kozłowskiego nabierają nadzwyczajnego blasku. Błogo uśmiechnięty, rozrzuwniony i oblizujący się, wpatruje się w malca, jakby nacieszyć się nie mógł jego widokiem.

— Kiedy tak — wybucha wreszcie — to... będę twoim przyjacielem!

— A ja twoim — jeżeli pozwolisz.

— Pozwolę!

Biorą się za ręce, potem za szyję i głośno, serdecznie się całują.

— Przyniosę ci „gumy strzelającej” — dodaje rozrzuwniony Kozłowski.

Znów się całują.

— I trociczek!

Ponawiają uściski.

— I wiesz co? — oświadcza na zakończenie starszy. — Nie nazywaj mnie odtąd Kozłowskim...

— A jak?

— Mów do mnie po prostu: Kozle!

III. „Zabacuł”

— To zrobił z pewnością Zabacuł!

— Z tym Zabacułem wytrzymać już trudno!

— Powiedzcie Zabacułowi, że klasa to nie stajnia.

— Hej, Zabacuł! Zabacuł! może byś przyjsć tu racuł!

Od razu poznaje się, że „Zabacuł” nie jest nazwiskiem. Nikt nazywać się tak nie może. I w istocie, nazwisko chłopca, na którego tak wołają, brzmi zupełnie inaczej, choć również niezwyczajnie: Księżopolczyk.

Profesor Luceński, nauczyciel języka francuskiego, wielki wykpisz, z upodobaniem przekręcający cudze nazwiska, odczytując listę uczniów mianuje tego „knota” coraz inaczej: Księży palczyk, Księży kolczyk, Książę Opolczyk, Konstantynopolczyk...

Klasa, choć każde z tych przekręceń śmiechem głośnym przyjmuje, żadnego nie raczyła adoptować. Klasa ochrzciła knota samodzielnie, dając mu przyzwisko: Zabacuł.

Rozumie się, że to przyzwisko nie powstało przypadkowo, że posiada swój właściwy rodowód.

Księżopolczyk jest synem ubogiego szlachcica zagrodowego, na pół chłopca. Jego ojciec wzbudził raz podziw wszystkich uczniów, przybywszy na dziedziniec szkolny

podczas „pauzy”. Miał na sobie prostą włościańską sukmanę, ale do jednej z pól tej sukmany była przyszyta maleńka blaszana szabelka — świadectwo otrzymanej niegdyś, od kogoś z królów polskich, nobilitacji.

Młody Księżopolczyk, choć piastuje godność „knota”, jest sporym już, lat trzynastu, może nawet czternastu, wyrostkiem. Wieś często przysyła szkole takich, niekiedy starszych, wychowañców. Spóznili się z nauką, bo musieli ojcu pomagać w polu, w stajni, w lesie, w oborze.

Zdrowi, krzepcy fizycznie, imponują z początku kolegom siłą ręki, zębów (podnoszą w zębach stólik, stojący na katedrze), bark (obnoszą po czterech naraz malców, siadających im na ramionach i plecach) — potem jednak, poznawszy, że siłą pięści nie można wywalczyć nie tylko nagrody i pochwały, ale nawet promocji, tracą humor, przygarbiają się, mizernieją... Wówczas też odbywa się w nich stanowczy przełom, o całej przyszłości stanowiący. Jedni, z zimną, żelazną, prawdziwie chłopską zawziętością zabierają się całą siłą do nauki, „kują” po całych dniach i nocach, nie wiedzą, co zabawa i odpoczynek, i w końcu — wyrastają na dzielnych co się zowie ludzi. Inni po prostu — rejterują.

Znalazł się raz pomiędzy „knotami” wyrostek z wysypującym się już wąsem, wysoki, barczysty, z głosem dojrzałego już mężczyzny. Siedział na ostatniej ławce i kuł a kuł. Pomimo kucia, promocji nie otrzymał.

Po wakacjach przyjechał i jako drugoroczny pierwszoklasista, znów zabrał się do „kucia” — z mniejszym już zapalem. Wąs mu tymczasem sypał się coraz gęściejszy i twardszy.

Na Boże Narodzenie pojechał do domu — i już nie powrócił.

— Co się stało z Mosakowskim? — wypytywali na wszystkie strony malcy. — Dlaczego Mosakowski do szkoły nie wraca?

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć.

Dopiero w połowie karnawału rzecz się wyjaśniła.

Ten sam profesor Luceński, przyszedłszy na lekcję w dobrym humorze i zabrawszy się do czytania listy, przy nazwisku Mosakowskiego zatrzymał się, głową pokiwał...

Klasa uszy nastawiła.

— Ach, Mosakowski!... — westchnął profesor. — Nie zobaczymy więcej Mosakowskiego! Już po Mosakowskim... Parole!

— Co się z nim stało, panie pro...sorze? — zapytało kilku śmielszych, nie mogąc zapanować nad ciekawością i niepokojem.

— Nieszczęście!

— Co takiego?

— A cóż! Nie chciał się gałgan uczyć, od gramatyki uciekał, do pisania słówek lenił się, do geografii nie można go było kijem nagnać — więc jego biedny, stary ojciec, rady żadnej dać sobie nie mogąc, wziął i...

— I co? I co?... Niech pan prosor powie! Mój panie prosorze!

Profesor wygarnął szczyptę proszku z maleńkiej, szylkretowej tabakiereczki, zażył — palce o rudą perukę wytarł...

— I... ożenił go! — poważnie dokończył.

Chłopcy otworzyli szeroko oczy i usta, nie wiedząc, co o tym sądzić. Byli zdziwieni i jakby przelękli. Wyobrażali sobie swego kolegę pod rękę z dojrzałą, poważną osobą płci żeńskiej, taką jak ich matki i babcie, i uczuwali żal nad jego losem. — Biedny chłopiec! — myśleli. — Nie wolno mu pewnie teraz ani w piłkę pograć, ani kozła wywinąć, ani wykrzywić się pocieszenie, ani zapać po koguciemu... „Poważna osoba płci żeńskiej”, którą on musi „żoną” nazywać, na krok go nie odstępuje, za wszelkie wybryki karci...

Profesor Luceński dostrzegł i zapamiętał wywołane przez siebie wrażenie. Postanowił też posługiwać się nim w celach pedagogicznych.

„Knoty” mieli dziwnie twarde języki, nie pozwalające im na dobrą „pronuncjację” słów francuskich. Profesora nadzwyczaj to drażniło. W zniecierpliwieniu uderzał swą grubą trzcina w stolik lub katedrę, budząc wielki strach między malcami.

Najwięcej biedy było zawsze z wymawianiem dyftongów: en, an. Przy nich też zawsze bambus profesorski wywoływał grzmoty, rozlegające się po całym budynku szkolnym.

Profesor układał i wymawiać kazał zdania dziwaczne, służyć mające do gimnastyki języków.

— L'enfant, en venant sentit le sentiment...

Na dziesięciu malców, jeden zaledwie umiał nadać słowom brzmienie właściwe. Reszta wymawiała je tak:

— Lafą ą weną sąti le sątimą...

— Kapuściane głowy! — krzyczy profesor. — Drewniane języki! Krowy wam paść — parole!

Najlepszą pronuncjację miał Szabuński, którego matka była madamą, to znaczy, utrzymywała dwuklasową pensję dla panien. I on jednak niezupełnie zadawał profesora.

— Nieźle... parole!... nieźle — chwalił Luceński. — Ale daleko ci jeszcze, mój Szabasiński, do doskonałości. To trzeba wymawiać inaczej: nosowo... jak najbardziej nosowo... L'enfaaant!... sentimaaant!...

Szabuński, żywy brunecik, był najśmielszy do profesora, który bywał u jego matki — miał się nawet podobno żenić z jego ciotką...

Gdy Luceński popisywał się swym nosowym wymawianiem — on przerwał odważnie:

— Panu prosorowi to łatwo — bo pan prosor ma nos zapchany tabaką...

Klasa — struchlała. Wypadek był niesłychany. Takie zuchwalstwo względem takiego nauczyciela!

Luceński stał się na chwilę tak czerwony, jak jego peruka. Potem chwycił swą grubą trzcinę, z silnym rozmachem uniósł ją w górę i ...

I spokojnie położył na stoliku, obok kałamarza i piasecznicy.

Szeroka, wygolona twarz przybrała zwykły wyraz; na ustach pojawił się zwykły, lekko ironiczny uśmiezek...

Profesor zanurzył dwa palce w kieszonce od kamizelki, wyjął małe, szylkretowe pudełeczko — otworzył je i Szabuńskiemu podsunął.

— No — dobrotliwie wyrzekł — zażyjże i ty!... Dobra — parole!... Prawdziwa francuska — w sam raz do wymawiania dyftongów i spółgłosek nosowych...

Szabuński uklonił się, zażył tabaki, znów się uklonił i czterokrotnie, raz po raz, kichnął. Koledzy czterokrotnie, raz po raz, krzyknęli mu: „na zdrowie!” W klasie zapanował nastrój bardzo przyjemny.

Ale w tejże chwili na katedrze rozległ się grzmot. Profesor walił trzciną w stół jak Jupiter tonans. Wśród grzmotów krzyczał:

— Zapowiadam wam, głowy kapuściane, że gdy który nie nauczy się wymawiać dobrze dyftongów an i en, tabaką częstować go nie będę, ale — jakem Luceński! Parole! — wyrzucę z klasy i napiszę do ojca, żeby go... ożenił!

Odtąd ta pogróżka, — istotnym strachem malców przejmująca — stale się powtarzała w podobnych okolicznościach. Nazwisko zaś Mosakowskiego w kronikach szkoły powiatowej P-kiej na zawsze się utrwaliło.

Księżopolczykowi nie grozi ożenie się. Nie ma on ani tych lat, ani tych wąsów, co Mosakowski... — nie wygląda w ogóle na takiego, z którym by czyjaś matka lub babka chodzić mogła pod rękę.

Jest wprawdzie duży i gruby, ale brak mu zupełnie tej rzeźkości, jaką odznaczają się wiejskie wyrostki. Zgarbiony, kurczący się, z twarzą chorobliwą, żółtą, piegami osypaną, osowiałą, unika, ile tylko może, towarzystwa hałaśliwych kolegów, szuka miejsc samotnych, wciska się do najdalszych, półciemnych ławek, gdzie w zupełnym spokoju może... zajadać „pajdy” chleba razowego, którymi ma wypchane wszystkie kieszenie.

Jedzenie, a ściślej mówiąc: żucie razowca jest sportem, uprawianym na wielką skalę przez grubych, borsukowatych, z wystającymi żołądkami „knotów”, którzy przybywają do miasta z na pół chłopskich zagród wiejskich. Prócz chleba, służy im do żucia groch gotowany, pestki dyni — niekiedy nawet siemię lniane. Ci przeżuwacze są prawie zawsze ostatnimi osłami i poza trzecią klasę nigdy nie przechodzą.

Niekiedy jednak wpływ nauki, powietrze miejskie, przykład ucywilizowanych kolegów, oddziałują na nich korzystnie — czynią z nich ludzi, podobnych innym. Zapowiedzią zmiany dobroczynnej bywa zwykle utrata apetytu i znaczne schudnięcie. Nawróconym przestaje smakować razowiec, odwracają się ze wstrętem od grochu, siemię lniane pozostawia z nich każdy — kanarkom. Wówczas też wychodzą z mroku „osłą ławkę” zalewającego i uczniowie z pierwszych rzędów pozyskują w nich dobrych, wesołych, skłonnych do poświęceń, często nawet bardzo inteligentnych towarzyszków.

W Księżopolczyku, niestety, nic tego przetworzenia się nie zapowiada. Owszem, jest widoczne, że z tej poczwarki nigdy już motyl piękny nie wyfrunie.

Pewna smutna, do usunięcia niemożliwa okoliczność stan ten pogarsza: jest na pół głuchy. Z przytępieniem słuchu idzie u niego w parze przytępienie władz umysłowych. Jego jasne, żółtawe oczy nie mają blasku, jaki zapala zbudzona, z siebie samej świadoma inteligencja.

Śpi też niezawodnie ta inteligencja — bo czyżby inaczej Księżopolczyk został „Zabaculem?”...

Nieprawdopodobnie wygląda ta historia — jest wszakże we wszystkich szczegółach prawdziwa.

Nauczyciel niemieckiego, Effenberger, pomimo bardzo krótkiego wzroku dojrzał raz w cieniach ostatniej ławki Księżopolczyka, na którego nie zwracał dotąd pilniejszej uwagi.

Ten nauczyciel należy do najzapalczywszych pedagogów, a przynajmniej do największych krzykaczy w szkole. Jak wszyscy nauczyciele Niemczyzny świeżo na grunt polski przeflancowani, pełen oryginalności, graniczącej z dziwactwem.

Twarz profesora Effenbergera posiada latem barwę czerwoną, w zimie fioletową. Profesor jest zapamiętałym hydropatą; lubi żywioł płynny pod każdą postacią. Kąpie się zapamiętale przez rok cały: w porze upałów bierze „prysznic” pod kołem młyńskim, podczas mrozów zanurza się w przerębli. Postawę ma sztywną, włosy szpakowate, przy samej skórze ostrzyżone. Chodzi prędko po linii prostej, nigdy nie zbacząc, przed nikim nie ustępując, krokami odmierzonymi, w tempie wojskowym: raz-dwa... raz-dwa...

Jest muzykalny i towarzyski. Poza szkołą daje lekcje gry na skrzypcach; zastępuje też niekiedy na chórze chorego organistę. Uczestniczy we wszystkich wieczorkach ponczowo-pączkowych, urządzanych w karnawale; nie brak go też na żadnej uroczystości rodzinnej w rodzaju imienin, chrzcin, jubileuszów, wesel. Bierze nawet udział w stypach pogrzebowych. Oświadcza się zawsze z wielką miłością dla Polaków i co dziwniejsze, miłości tej składa dowody.

Posiada dużo stron sympatycznych oraz przysłowie: „tak, panie tak”...

Otóż profesor Effenberger, dojrawszy przez silne okulary Księżopolczyka, zawołał:
— A ty tam... tak, panie tak... skąd sze wsząłeś?

Chłopiec milczał, żuł chleb razowy i patrzył przez okno na liście, opadające z kasztana.

— Gadaj sara... tak, panie tak!

Księżopolczyk nie odwracał się, ani wiedząc, że do niego mówiono.

Effenberger zaperzony zeskoczył z katedry, przybiegł do ławek, zaciśniętą pięścią groźnie potrząsał...

— Sara wstawaj! — krzyczał — natychmiast! jak najpręcej! w pół minuta!...

Dopiero kilka kuksańców, wymierzonych pod ławką przez kolegów, zbudziło Księżopolczyka. Wstał, leniwie się przeciągając.

— Czego?... — zapytał z pełnymi ustami chleba.

Gniew nauczyciela spotęgował się jeszcze.

— Ach, ty, tak, panie tak!... jak sze nasywasz?

Ale tamten nic sobie z gniewu nie robił — nie rozumiał go nawet. Dłoń zwiniętą przyłożył do ucha i powtarzał przeciągle:

— Czegoooo?... Czegoooo?...

Koledzy zaczęli wykrzykiwać mu nad uchem, jeden przez drugiego:

— Pan psor mówi... Pan prosor każe... Pan fesor żąda... żebyś powiedział, jak się nazywasz?

Księżopolczyk zrozumiał nareszcie. Twarz jego przybrała najpierw wyraz wielkiego zdumienia; potem odmalował się na niej namysł głęboki...

Długo milczał, szukając czegoś w pamięci — wreszcie oczy spuścił i rzekł:

— „Zabaculem”...

Klasa w śmiech — Effenberger zaś, nic zrozumieć nie mogąc, zwrócił się do prymusa:

— Prymus!... tak, panie tak!... gadaj sara, so on powiedział?

Pierwszy uczeń wyprężył się jak struna i cienkim głosem zaraportował:

— On, panie prosorze, powiedział, zabaculem.

— Was ist denn das: „sabba-szulem?” To po żydowsku musi być oder po arabsku?...

Prymus, panie tak! Gadaj sara so to znaczy?

Studencik, rozkaz spełniając, zapiał:

— To znaczy, panie prosorze, że on zapomniał, jak się nazywa!

Effenberger oczy wytrzeszczył — klasa zanosila się od śmiechu.

— Ach, ty tak, panie tak! — wpadł Niemiec na Księżopolczyka. — Ty własne Name zapomniała? Ach, ty oszol!

— Czegoooo? — spytał tamten, nie dosłyszawszy i przestępując z nogi na nogę, bo go długie stanie zmęczyło.

— Baran!

Chłopiec wzruszył ramionami. Twarz jego wyraziła wielkie zdziwienie.

— Wieprz!...

Wyrzuciwszy z siebie ostatnie słowo i dodawszy jeszcze dla nacisku energiczne: „pfuj!” — profesor, pełen oburzenia i wstrętu, odwrócił się od sponiewieranego ucznia.

Tamten, widząc, że sprawa skończona, usiadł, wyciągnął z kieszeni nową „pajdę” razowca, i zabrał się spokojnie do jedzenia.

Klasa — ryczała.

Od owego to dnia Księżopolczyk został „Zabaculem”.

Biedny Zabacu!

Są istnienia dziwne, zagadkowe, fatalnością naznaczone, które wśród bliźnich budzą okrzyki oburzenia lub wybuchu śmiechu szyderczego, w jednym zaś i drugim wypadku zasługują wyłącznie — na współczucie.

Należał do nich ten syn zagrodowego szlachcica, „szaraczka” pyszniącego się blaszaną szabelką przy chłopskiej siermiędze.

Wilczy apetyt, apatyczne spojrzenie, przytępiony słuch, słabo rozwinięty umysł – wszystko to były objawy groźnej, nurtującej organizm chłopca choroby.

Jeszcze rok szkolny nie dobiegł do końca, gdy Księżopolczyk musiał przerwać naukę i do łóżka się położyć.

Ojciec wywiózł go na wieś – ułożywszy na prostych „drabkach”, wysoko sianem wysłanych. Chłopiec chorował całą wiosną i pół lata i zdrowia odzyskać nie mógł.

Na kilka dni przed śmiercią oczy jego zaczęły nabierać niezwykłego blasku, twarz straciła swój zwykły, nieruchomy, osowiały wyraz. Zaczął mówić o szkole, nauczycielach, współuczniach...

Musiano mu nieustannie odczytywać listę kolegów. Była to jego najmilsza rozrywka. Słuchając to uśmiechał się, to mrugał powiekami, to wzdychał głęboko.

Raz szepnął, jakby tylko do siebie:

– To dobre chłopaki...

Potem rzekł głośniejszym głosem, z twarzą, nagłym blaskiem rozpromienioną:

– Tak bym chciał poznać się z nimi bliżej, pobratać!

Ocknęła się w nim dusza za późno – gdy już na sen wieczny kłaść się musiał...

IV. Prymus-lizus

Przyjemnie być prymusem.

Prymus jest w klasie pierwszą osobą po profesorze. On to przynosi i odnosi wielki dziennik klasowy; on dwa razy na dzień wchodzi do kancelarii, gdzie ma dostęp do samego inspektora; on melduje, że atrament w kałamarzu na katedrze „wysechł”, kreda przy tablicy „wypisała się”, gąbkę „ktoś świsnął”...

Do prymusa profesor zwraca się w sprawach „delikatnej natury”, na przykład: kto rzucił na środek klasy skórę od pomarańczy? Albo: dlaczego Baranowski przy odczytywaniu listy był obecny, a gdy został wezwany do lekcji, oświadczono, że go nie ma? Albo: skąd się wziął w klasie zapach dymu tytoniowego?...

Nazwisko prymusa znajduje się na wszystkich ustach w szkole i na wielu ustach poza szkołą. Każdego ucznia pytają w domu rodzice i znajomi:

– Kto u was jest prymusem?

Prymus stanowi łącznik pomiędzy kolegami a zwierzchnością szkolną i gdy jest zręczny, może służyć obu stronom, żadnej nie krzywdząc. On, wstępując na katedrę dla podania profesorowi pióra lub ołówka, ma sposobność zerknąć na dziennik lub

„katalogów”, i podchwyciwszy drogocenną tajemnicę stopni, udzielać jej zaufanym kolegom. Są tacy, co znając wpływy i stosunki prymusa, starają się go przekupić — ale on niedostępny pokusom, jak Kato. Jednak nie pogardza ofiarowanym w porę „papataczem”, do fundowanych sobie „babek śmietankowych” wstępu szczególnego nie żywi — nie widziano też nigdy, żeby wyrzucał za okno jabłko lub gruszkę, których smak niezwykle zachwalał mu kolega...

Co prawda, te wszystkie dary przyjmuje z wyniosłą obojętnością, jakby mówił:

— Należą mi się — ale mnie do niczego nie zobowiązują...

Przyjemnie być prymusem. Przyjemnie i zaszczytnie, ale tylko wówczas, gdy się do tej godności doszło prostą drogą osobistych zasług. Są bowiem inne jeszcze drogi, boczne, kręte, którymi nawet i na to miejsce wcisnąć się umięją niezasłużeni a — zręczni.

W ostatnim wypadku ma się władzę, powagę, znaczenie — ale nie ma się miłości współkolegów.

Ślimacki, który przed miesiącem objął stanowisko prymusa po Sprężyckim, zawdzięcza je okolicznościom dwuznacznym. Wszyscy wiedzą, że Sprężycki od niego zdolniejszy, że ma pojęcie żywe, bystre, że w lot wszystko chwyta i łatwo, logicznie wypowiada. A jednak Sprężycki musiał Ślimackiemu ustąpić. Dlaczego?...

Zaraz z początku roku prymusem zrobiono Sprężyckiego. Był to wybór zupełnie naturalny, zasłużony i przez wszystkich przewidywany. Winszowali go też wybranemu wszyscy — prócz Ślimackiego.

Ślimacki został trzecim czy czwartym uczniem — widoczne zaś było, że się rwie do miejsca pierwszego. Dowiedziawszy się o swej porażce, spochmurniał. Błada, chłodna jego twarz stała się jeszcze bledszą i chłodniejszą; wąskie usta zacięły się tak szczelnie, jakby nigdy już z nich nie miało wyjść słowo bratniej, koleżeńskiej miłości...

I nigdy też podobno nie wyszło...

Jakoś w tydzień po „usadzaniu”, profesor Izdebski, który bardzo lubił Sprężyckiego, chwycił go lekko za sterczącą czuprynkę i rzekł tonem ostrzegawczym:

— Bój się Boga, prymus! Mówią, że się puszczasz na „zberezeństwa”, że kozły fikaszesz, na rękach chodzisz, węglem fizys smarujesz...

Sprężycki zerwał się energicznie, wyprostował.

— Kto mówi, panie prosorze? — śmiało zapytał.

Profesor palec na ustach położył, obejrzał się wokoło.

— Bacność, uwaga... nikogo wskazywać nie można... To tajemnica kancelaryjna... Ale, bój się Boga, dobrze się pilnuj, żebyś z prymusostwa nie wyleciał...

W kilka dni później z podobnymi ostrzeżeniami, w tym samym tajemniczym tonie, wystąpił profesor Żebrowski. Było to tym dziwniejsze i tym bardziej niepokojące, że ten nauczyciel prawie nigdy nie wdawał się w prywatne sprawy uczniów, zajęty całkowicie przyładkami, międzymorzami, wulkanami — wykladał bowiem geografię.

Jednocześnie i milczący inspektor dziwnym, badawczym i podejrzliwym wzrokiem w Sprężyckiego wpatrywać się zaczął...

Ale Sprężycki nic sobie z tego nie robił.

Zaufany w swe zdolności, pilny przy tym i punktualny, przeświadczony we własnym sumieniu, że obowiązki prymusa spełnia uczciwie — o resztę nie dbał.

Był zaś z natury żywy jak skra, równie biegły w wymienianiu państwerek, składających się na „Rzeszę Niemiecką” (jeszcze jej wówczas Bismarck w jedną całość nie spoił!) jak w prawidłach palanta i „ekstry” — chłopiec, słowem, do różańca i do tańca.

Pod tym względem Ślimacki wyobrażał jego zupełne przeciwstawienie. Spokojny, zimny, z jasnymi włosami i oczyma, z głosem piskliwym, z ruchami powolnymi, nigdy nie brał udziału w zabawach uczniowskich, nigdy nie „dokazywał”, nigdy się nie uśmiechał.

Profesor Luceński nazwał go „Rybą”...

Jednego dnia prymus Sprężycki, uprosiwszy kolegów o jak największą spokojność, wystąpił na środek klasy, żeby im pokazać, jak to się tańczy „polkę-ułankę”. Była wówczas ta polka w modzie i Sprężycki znakomicie wykonywał ją solo, popisując się na wieczorkach tańczących u rodziców i znajomych. Przed kolegami tańczył „ułankę”, z mnóstwem dodatków własnego wynalazku... Zachwycali się nimi wszyscy — prócz Ślimackiego, który nieznacznie wymknął się z klasy.

Właśnie, gdy tancerz wśród ogólnej wesołości najpocieszniej fikał nogami i rękami, ktoś drzwi po cichu otworzył i cofnął się, w progu zaś ukazał się — inspektor.

Ukazał się poważny, groźny, z wydętym, jak balon, brzuchem, z wysuniętą wargą dolną, z założonymi „po napoleońsku” rękami...

Na ten widok wszystko nagle ucichło i jakby skamieniało. Sprężycki, zaskoczony zniecka w chwili, gdy jedną nogę do góry zadzierał, lewą ręką trzymał się pod bok, a rękę prawą zaokręglął łukowato ponad głową — zastygł, rzec można, w tej nadzwyczajnej pozycji...

Wszyscy myśleli, że inspektor zagrzmie swym basem potężnym — on jednak milczał, milczał zaś tak wymownie, że słuchającym tego milczenia ciarki po skórze chodziły...

Przez kilka chwil wpatrywał się, bystro spod nasuniętych brwi, w przerażonego prymusa — potem głową pokiwał i odszedł.

Nazajutrz Sprężycki został usunięty z prymusostwa, miejsce zaś jego zajął — Ślimacki.

Klasa to niby mała republika; prymus to jakby tej republiki prezydent. Zaraz po mianowaniu „Ślimaka” prymusem stało się widoczne, że to nie jest „prezydent z wyborów”, że ogół obywateli tej nominacji nie pochwała...

Utworzyła się silna „partia opozycyjna”, na której czele stał — Kozłowski.

Zaraz przy pierwszym „usadzaniu”, gdy inspektor naczelny wygłosił nazwisko Ślimacki — w ostatnich rzędach krzyknęto donośnie, choć spod ławki:

— Lizus!

Twarz inspektora przybrała wyraz straszny — oczy pod krzaczastymi brwiami zabłyśły jak u tygrysa.

— Kto to powiedział? — zagrzmiał głosem okropnym, od którego serca dzieci na chwilę bić przestały.

Wszyscy wiedzieli, że krzyknął Kozłowski — ale nazwisko jego z niczyich ust nie wybiegło.

Inspektor powtórzył dwukrotnie pytanie — również bez skutku.

— Cała klasa do aresztu!... — pogroził wszystkim i wyszedł, drzwiami trzasnąwszy.

Tego dnia tylko Ślimacki jadł obiad o zwykłej godzinie. Wszystkich pozostałych rozdzielono zaraz po dwunastej na małe grupy i w pustych klasach pozamykano.

Przecierpieli głód mężnie — kolegi nie wydali.

Mimo to nazajutrz zaraz po pauzie Kozłowski został „wypukany” z klasy. Wyszedł z miną smętną, jakby w przeczuciu nieszczęścia; wrócił po kwadransie — zapłakany.

Koledzy odgadli bolesną prawdę. Pełnym współczucia wzrokiem objęli nieszczęśliwą, jakby zmiętoszoną postać Kozła; spojrzenie pełne nienawiści posłali Ślimakowi.

Ostatni siedział spokojnie „jak trusia” — blady, zimny z dwuznacznym uśmieszkiem, błakającym się na wąskich wargach. Zawsze on się uśmiechał — nigdy nie śmiał głośno. Nie widziano go też ani razu grającego w piłkę, ślizgającego się, biegającego do mety. Ludzie obdarzeni najbujniejszą wyobraźnią nie byli w stanie wyobrazić sobie Ślimackiego, wywracającego koziołka.

— Osobliwy fenomen... parole! — mówił o nim profesor Luceński. — Ryba pod postacią ślimaka.

Nowy prymus nie cieszył się miłością kolegów — natomiast bali się go oni. Ile razy jakieś kółko żywo o czymś rozprawiało, a on się zbliżył — natychmiast wszyscy milkli i rozchodzili się. On zaś, choć czynnego udziału w życiu koleżeńskim nie brał, niesłychanie był ciekawy wszystkiego, co się w kółkach mówiło i działo.

Ślimacki był synem urzędnika sądowego, zasuszonego wśród aktów, z twarzą bladą, zimną, z dwuznacznym na wąskich wargach uśmiechem. Bliźniacze podobieństwo istniało pomiędzy ojcem i synem — zwiększone tym jeszcze, że Ślimacki ojciec nie nosił żadnego zarostu, wygalając codziennie twarz całą z pedantyczną, w manię przechodzącą starannością.

Ślimak nigdy się nie unosił. Gdy mu który z zapalczywych kolegów powiedział co przykrego — gdy nazwał go na przykład „lizusem” — nic nie odpowiadał. Rybie jego oczy wpatrywały się w przeciwnika spokojnie choć z natężeniem — na wargach pojawiał się wyraźniejszy, niż zwykle, uśmiezek — i na tym wszystko się kończyło.

Ale w dwa, trzy dni później — czasem w tydzień dopiero — zapalczywy kolega „wypukiwany” był niespodziewanie do kancelarii. Zwierzchność zarzucała mu to naganne sprawowanie się poza szkołą, to karygodne palenie tytoniu, to wałęsanie się w godzinach niedozwolonych po mieście i za miastem...

Na poczekaniu składano sąd, ferowano wyrok i poddawano go natychmiastowej egzekucji.

Z egzekucjami kulawy Szymon ledwie mógł nadążyć...

Tymczasem zbliżył się koniec roku szkolnego.

Wiedziano już powszechnie, że pierwszą nagrodę weźmie Ślimak, że Sprężyckiemu (który nie przestawał popisywać się na pauzach „polką-ułanką”) dostanie się co najwyżej „list pochwalny”. Jedni byli pewni przejścia do klasy wyższej; innych promocja wisiała „na włosku”. Do ostatnich należał Kozłowski, któremu nieotrzymanie promocji groziło zupełnym wydaleniem ze szkoły. Na szczęście ujął się za sierotę (Kozłowski nie miał rodziców, wychowywały go ciotki) profesor Luceński i przejednał zawziętego nań inspektora.

Zaledwie Kozioł dowiedział się o zażegnaniu niebezpieczeństwa, zaraz zaczął brykać...

Na kilka dni przed „popisem publicznym”, na cały głos zaintonował w klasie podczas pauzy:

Vacationes cras!
Na lizusów czas!
Dobrzy będą tańcowali,
A lizusy w skórę brali
Za nas i za was!

Piosnka była śpiewana tuż za plecami Ślimaka. Udawał, że jej nie słyszy — jednak uśmiech zniknął jakoś nagle z jego ust wąskich.

Hasło „Vacationes cras” podawali jedni drugim. Słysząc je było na korytarzach szkolnych, na dziedzińcu podczas wielkiej pauzy — na ulicach miasteczka. Brzmiało zaś coraz śmieiej, coraz groźniej...

Druga strofka określała rzecz jeszcze wyraźniej:

Vacationes cras!
Pójdziem wszyscy w las!
Grubych kijów nałamiemy,
Lizusów wygarbujemy
Za nas i za was!

Nie były to czcze pogrożki — w parze z pieśnią szedł czyn...

W przeddzień popisu gromadka niebieskich mundurków przeprowiła się promem na drugą stronę Narwi, skierowała kroki do bliskiego lasu. Powrócono z wycieczki wprawdzie bez „grubych kijów”, ale za to z pękami mocnych, giętkich prętów łożinowych.

Popis odbył się uroczyście, według zwykłego, corocznego programu. Uczniowie wygłaszali wiersze w różnych językach, chór uczniowski, pod wodzą organisty od fary, wykonał „pienia religijne”, inspektor oraz burmistrz wystąpili z krótkimi przemowami, nawet któryś z piątoklasistów odczytał ułożoną przez siebie, a wystylizowaną przez starego nauczyciela języka polskiego „orację”.

Potem szczęśliwym wybrancom losu, w obecności ich mam i cioć, wręczono nagrody i listy pochwalne. Nie obyło się przy tej sposobności bez łkań głośnych i stłumionych. Płakali jedni z radości, inni z żalu i zawiści.

Matka Ślimackiego nie była na akcie obecna. Chroniczna fluksja nie pozwalała tej damie nigdy za próg mieszkania wyruszać. Nie popsuło to wszakże humoru i

zadowolenia Ślimakowi. Wystarczyło mu do szczęścia przekonanie, że świadkiem jego tryumfu jest: „całe miasto”...

Z jakąż przesadną uniżonością przyjmował z rąk naczelnikowej powiatu (rozdawczyniami nagród były damy — jak na turniejach średniowiecznych) książkę w czerwonej oprawie ze złożonymi brzegami! Z jakąż dumą wyniosłą wracał potem z tą książką do kolegów, mierząc ich wzrokiem, pełnym pogardliwej wyższości!

Po skończonym popisie zrobiła się dookoła Ślimaka — pustka.

Wszyscy skupili się w gromadki hałaśliwe, śmiejące się, figlujące — on pozostał sam, rażąco sam, jak człowiek zadżumiony, od którego wszyscy z przestraczem uciekają.

I to wszakże nie zamąciło jego spokoju.

Sztynnym krokiem, z twarzą jak zawsze bladą i zimną, ale z głową podniesioną do góry, z uśmiechem lekceważąco wyniosłym szedł do domu środkiem ulicy, trzymając na widoku swą książkę czerwoną, od której biła łuna.

Przeszedł jak tryumfator dwie ulice „pryncypalne”, przeprowadzony zdumionymi oczyma żydowskich dzieciaków — ale gdy skręcił w boczną, drugorzędną uliczkę, opuściła go nagle pewność siebie...

Ujrzał idących naprzeciw siebie kilku koleżków z minami groźnymi. Śpiewali chórem „Vacationes cras”, i potrząsali groźnie prętami z łoziny. Dowodził oddziałem Sprężycki.

Tknięty przecuciem zawrócił i chciał „rejterować”, ale spostrzegł za sobą drugi takż sam hufiec, śpiewający też samą piosnkę i zaopatrzony w też samą broń. Na czele drugiego hufca maszerował Kozłowski.

Ślimak zrozumiał, że go wzięto we dwa ognie. Na chwilę stracił przytomność umysłu, ale trwoga i spryt wrodzony przyszyły mu naraz z pomocą. Powziął nagle postanowienie i z bystrością szybkobiega czmychnął do sieni najbliższego domu. Liczył na to, że „tyłami”, przez drugą bramę wydostanie się na Rynek.

Niestety! Ten manewr przewidziany był zawczasu przez „nieprzyjaciela”. W sieni czekał już na Ślimaka zapasowy oddziałek, z Piotrusiem Mieszkowskim na czele...

Tam to właśnie, w tej pustce sieni miała się rozegrać stanowcza bitwa, której wynik nie mógł być dla nikogo wątpliwy...

Ślimak został rozciągnięty na ziemi i sromotnie obity.

Każdemu uderzeniu pręta towarzyszyły głośno wykrzykiwane sentencje:

— To za długi ozór!

— To za szpiegostwo!

— To za donosicielstwo!

— To za intrygi u inspektora!

Potem nastąpiły przypomnienia:

— Pamiętasz, jak Sprężyckiego pozbawiłeś podstępem prymusostwa? Masz!

— Pamiętasz, jak „wydałeś” Kozła przed inspektorem? Masz!

— Pamiętasz, jak oszczeakałeś Mieszka przed księdzem? Masz!

Długa była lista przypomnień — bardzo długa...

Ale nawet i w tym trudnym położeniu Ślimak okazał się wielkim dyplomatą. Choć bity i poniewierany, nie krzyczał, nie płakał, nie wzywał głośno pomocy. Zaciął zęby i tylko jęczał głucho, a czasem, jak wąż, groźnie syczał...

Po skończonej „egzekucji” chłopcy rozbiegli się na wszystkie strony. Niebawem w różnych punktach miasteczka echa zaczęły powtarzać energiczne okrzyki:

— „Na lizusów czas!” ... „Pójdziem wszyscy w las!” ... „Za nas i za was!” ...

Ostatni wynurzył się z ciemnej sieni Ślimak.

Chusteczką otrzepywał starannie swą książkę czerwoną ze złotymi brzegami, obciągał mundur i spodenki, prostował zgniecione kepi, szczoteczką włosy przyglądał.

W kilka minut później szedł już do domu sztywny i pewny siebie, z twarzą zimną i pozornie spokojną — ale już bez uśmiechu drwiącego na wąskich wargach, a za to z nienaturalnymi na białych policzkach rumieńcami.

Jego geniusz dyplomatyczny raz jeszcze się objawił: wymógł bowiem na ojcu, że go ze szkoły P-skiej odebrał i przeniósł od gimnazjum gubernialnego. Zrozumiał, że wśród Kozłówek, Sprężyckich, Sitkiewiczów, Mieszkowskich miejsca już dlań nie było.

Ślimacki dopiął swego: skończył gimnazjum, potem uniwersytet i — „zrobił karierę”. Dobrze mu się dzieje, humor ma zawsze pogodny — i tylko na wspomnienie o szkole w P. i o którym z tamtejszych kolegów zachmurza się i rozmowę czym prędzej na inny przedmiot skierowywa...

V. O chłopcu, co sypiał w trumnie

Był to poczciwy, nieco rozlazły wyrostek, z dużą głową i kędzierzawymi włosami, w których tkwiło zawsze pełno drobnych wiórków stolarskich.

Nazywał się Krystek.

Nazwisko, dość niezwykle, należało jednak w miasteczku do popularnych. Uczynił je takim duży szyld, gdzie na tle zielonym były wymalowane czerwono: szafa, komoda, łóżko, a pod nimi napis: Wojciech Krystek stolarz.

Tego Wojciecha synem był chłopiec z dużą kędzierzawą głową — również Wojciech.

Koledzy przewali syna „Wojtek”, a profesor Luceński nie zaniedbał Krystka przefasonować na „Antychrystka”.

Wojtek miał małe zdolności, ale był zawzięty. Zawziął się dostawać dobre stopnie i — dostawał je. Niewiele rozumiał z tego, co się uczy, ale każdą lekcję wykuwał doskonale na pamięć i wypowiadał nauczycielowi jednym tchem, z zamkniętymi do połowy oczyma, — jakby w obawie, żeby jakie niespodziane wrażenie wzrokowe szyków mu nie popsulo.

Za to w zwykłej rozmowie płynnym bynajmniej nie był. Zawadzała mu tu samogłoska „a”, którą wtrącał co kilka słów bez żadnej potrzeby, wymawiając ją przez nos i ponad wszelką miarę przeciągając.

Pytał go kto:

— Wojtek! Pójdiesz na „ciarki”?

On w głowę się drapał i usta szeroko otwierał.

— A... pójdę! Co nie miałbym... a... pójść!

To, że jego ojciec był prostym robotnikiem, nikogo nie raziło. „Niebieskie mundurki” nie znały różnic stanowych — przynajmniej tam, w tym cichym, dobrym miasteczku, gdzie Sarbiewski swe pierwsze rymy składał, a Skarga i Wujek z kazalnicy przemawiali.

Syn stolarza, syn urzędnika i syn obywatela ziemskiego żyli w szkole na jednych prawach, całowali się i czubili bez żadnych wyróżnień.

Czasem tylko rzemiosło Wojciecha Krystka budziło ciekawość w kolegach jego syna.

— Słuchaj, Wojtek! — zagadywali — to ty wiesz, jak się robi szafę?

— A... wiem.

— Krzesło?

— Też wiem.

— Stół, komodę, łóżko, ławkę?

— Wszystko... a... wiem. Jakbym się uparł, tobym sam... a... każdą rzecz zrobił.

„Arystokraci klasowi”, umiejący zaledwie domki z kart ustawiać, kręcili głowami z podziwu.

— To ci dopiero... — powtarzali, przejęci szacunkiem dla kolegi.

Czasem na przechadzce, gdy znaleźli kilka deszczulek, przynosili je Krystkowi, a on, zasiadłszy w rowie na kamieniu przydrożnym lub pod drzewem w polu, tłumaczył im metodą pogładową: jak to powstają stoły, łóżka, szafy...

Słuchali wykładu z nadzwyczajnym zajęciem. To wszystko było dla nich takie nowe! Takie ciekawe!

Krystek miał stały przywilej budzenia w kolegach podziwu. Raz na przykład pokazywał im zrobiony przez siebie „garnitur” maleńkich, lilipucich mebelków. Pomimo że całość, złożona ze stołu, kanapy, dwóch foteli i sześciu krzeseł mieściła się wygodnie na wierzchu zwykłej uczniowskiej teki, każda sztuka była wykończona jak najdokładniej, mocno sklejoną i pokryta błyszczącą politurą.

Koledzy zachwycali się w równym stopniu dziełem i twórcą. W nowym też, ponętym świetle ukazywało im się — rzemiosło.

— Wiesz, Witek — mówił Dembowski do Sprężyckiego — chciałbym zostać stolarzem...

— Ja też! — wzdychał tamten.

Obaj zaś mieli zamożnych rodziców, którzy pragnęli uczynić swych synów co najmniej — mecenasami.

— Wojtek! — dopytywali „mistrza” koledzy — dla kogoś ty zrobił te śliczności?

— A... dla księdza-stryjka.

— Lubisz go?

— A... lubię! Daje mi na książki, na kajety; szkołę za mnie... a... opłaca.

— Pewnie chce, żebyś został księdzem?

— A... chce.

— I ty zgadzasz się na to?

— A... nie.

— Pewnie wolisz być stolarzem?

— A... broń Boże! Ja wolę... a... „wykierować się” na — aptekarza.

— Pigułki kręcić, lukrecję smażyć, robić pomadę i maść na odciski?

— A... tak.

Koledzy mają nowy powód do dziwienia się.

Kilku chłopców objawiło chęć odwiedzenia Wojtka, a właściwie — jego ojca. Warsztat Wojciecha Krystka ciągnie ich do siebie, wydaje się im czymś nadzwyczajnym. Pragnęliby zobaczyć z bliska heble, piły, świdry, śrubsztaki, winkielaki, piony, bory,

bankajzy — te wszystkie nadzwyczajne narzędzia, o których tyle się nasłuchali od młodego Krystka...

Ale on kręcił głową dwuznacznie.

— A... trudno to będzie. Mój „tатko” nie lubi, jak mu kto w robocie przeszkadza. Czeladnik też na gapiów... a... pomstuje...

Nie brzmiało to zachęcająco — na tytuł „gapia” nikt nie chciał zasłużyć. Jednak ciekawość niezaspokojona nie przestawała chłopcom dokuczać.

Jednego dnia Krystek nie przyszedł do szkoły. Nie przyszedł drugiego dnia i trzeciego. Rozeszła się wieść, że jest chory ciężko, może śmiertelnie.

Sprężycki i Kozłowski postanowili odwiedzić kolegę. Za Sprężyckim pociągnął nieodstępny jego towarzysz Dembowski. Do Dembowskiego przyczepił się Sitkiewicz. Sitkiewiczowi narzucił swe towarzystwo Bellon. Nie brakło też Piotrusia Mieczkowskiego, który musiał być wszędzie, gdzie znajdował się Kozioł.

Liczna gromadka pociągnęła wieczorem ku drewnianemu domowi, ozdobionemu zielono-czerwonym znakiem.

Brukowana sień, „na przestrzał”, przepoławiała niewielki dom, oddzielając od siebie dwa mieszkania i dwa warsztaty. Po prawej stronie mieszkał szewc, po lewej stolarz.

Gromadka zatrzymała się w sieni; najśmielszy i najryzykowniejszy Sprężycki przysunął się do drzwi od mieszkania pana Wojciecha Krystka. Panowała tam cisza zupełna — w warsztacie zawieszono już widocznie robotę.

Sprężycki zapukał — ze środka nie odpowiedziano. Nacisnął klamkę — drzwi otworzyły się same. Wszedł zalękniony, bąkając nieśmiało: „dobry wieczór” — na co również nie otrzymał odpowiedzi.

W dużej izbie warsztatowej było prawie ciemno. Światło małej olejnej lampki zaledwie pozwalało rozeznąć przedmioty. Niedokończone meble, deski oparte o ścianę, szafy z próżnymi, czarnymi wnętrzami, stosy wiórów na środku i po kątach — wszystko tworzyło dziwny, fantastyczny, ponury zamęt.

Sprężycki chciał się cofnąć — ale w jednym kącie poruszyły się nagle wióry — spomiędzy wiórów wybiegło jakby ciężkie, przeciągłe westchnienie...

Lampka jasno to miejsce oświecała — chłopiec zapuścił tam wzrok niespokojny a ciekawy.

W tejże chwili włosy zjeżyły mu się na głowie — krzyknął głośno i wybiegł pędem do sieni.

Pędził tak szybko, że koledzy zdążyć za nim nie mogli. Przytrzymali go dopiero na ulicy, przerażonego, drżącego...

— Gadaj, co się stało?...

— Czemuś „dał nura?”...

— Diabłaś zobaczył, czy co?...

— Dajcie mi pokój!... — odpowiadał tamten na wszystkie pytania. — Com ja widział... ach! com ja widział!...

— Gadajże, Sprężyk!... Nie bądź głupi!

— Już po naszym Wojtku... ach! Już umarł!... Już w trumnie leży... Ledwie się rusza — i tak jęczy, jęczy!...

Chłopcy skamienieli z przerażenia. Przez kilka chwil stali z otwartymi ustami, nie będąc w stanie przemówić.

Pierwszy oprzytomniał Kozioł. A że był sprytny i trzeźwo patrzył na rzeczy, wystąpił zaraz z uwagą krytyczną:

— Przecież jeżeli umarł, to nie mógł jęczeć...

— Ani ruszać się! — poparł przyjaciela Piotruś.

— Nic nie wiem, nie rozumiem — tłumaczył się Sprężycki — ale zapewniam was, że nie kłamię. Jak ojca kocham, jak Matkę Boską kocham: widziałem Wojtka w trumnie!

Zaczęli wszyscy krzyczeć, sprzeczać się, radzić, ośmielać się nawzajem — wreszcie postanowili jednogłośnie: zawrócić i na własne oczy sprawdzić, co powiedział Sprężycki.

Trzęśli się i zębami szczękali ze strachu — jednak przemogli trwogę, odemknęli drzwi od warsztatu i do środka zajrzeli.

Nie było już żadnej wątpliwości: Wojtek naprawdę leżał w trumnie!

Trumna była duża, szeroka, czarno malowana — on leżał w niej wygodnie, jak w łóżku, łokciem wspierając się na poduszce.

Na widok kolegów poruszył się, głową im skinął przyjaźnie...

Ale ten ruch i to skinienie jeszcze bardziej ich przerażyły. Trzęśli się wszyscy jak galareta i starali umieścić się w ten sposób, żeby choć jedna noga każdego znajdowała się za progiem.

Wreszcie Kozłowski z trudnością wykrztusił:

— Bój się Boga... Wojtek... prawdę gadaj... Umarłeś ty... czy nie?

Na to zaś głos z trumny:

— A... po co miałbym umierać! Ani mi się śniło. Czym to głupi... a?... Poczekajcie — wstanę, to wam wszystko... a... opowiem.

I siadłszy na śmiertelnej pościeli, zaczął nogę z owego trumniska wyciągać.

Tego już było za wiele. Chłopcy z błyskawiczną szybkością drapnęli do sieni, i przepychając się, przewracając, poszturchując, jak garść wystrzelonych kartaczów, wypadli na ulicę.

Każdy biegł w swoją stronę, nie oglądając się za siebie, jakby go śmierć z kosą goniła. Spotkali się dopiero nazajutrz — w szkole.

Pierwszym kolegą, który ich tam powitał, był — Krystek.

Nie przestraszyli go się i nie uciekli przed nim. W świetle dziennym (a tego dnia słońce wyjątkowo jasno świeciło) cała rzecz przedstawiła się inaczej: naturalnie i prawie wesoło.

Wojtuś nie wyglądał ani na umarłego, ani na zmartwychwstańca. Prosto, jak zawsze, trzymał swą dużą głowę — oczy miał tylko trochę podsiniałe, a we włosach więcej niż zwykle drobnych wiórków stolarskich.

Zarzucono go krzykliwymi pytaniami. Wszyscy krzyczeli razem, tarosząc go i szczypiąc, tak ich paliła ciekawość.

Stolarczyk przez długi czas nie mógł przyjść do słowa, powtarzając tylko swoje:

— A... a... a...

Dopiero na pauzie, gdy słuchacze przeszkadzać mu nie mogli, mając usta zapchane ciastem, serdelkami i owocami, wszystko im wytłumaczył.

Ojciec Wojtusia miał zawsze na składzie kilka trumien gotowych. Największa z nich i najszersza — tak wielka i szeroka, że dotąd jeszcze żadnego nieboszczyka nie można było do niej „dopasować” — stale służyła chłopcu za łóżko.

Wynikało to z koniecznej potrzeby. Mieszkanie państwa Krystków było bardzo szczupłe. Przy dużej izbie warsztatowej jeden mały pokoik i mniejsza jeszcze kuchenka — to wszystko. A rodzina składała się z ośmiu osób.

Pokoik służył za sypialnię rodzicom i pięciorgu drobnych dzieci. W warsztacie jadano, razem z czeladnikami, obiad i wieczerzę; tu również, po skończonej robocie, Wojtuś odrabiał lekcje i sypiał. A że na łóżko miejsca nie było, więc sypiał — w trumnie.

Jemu wydawało się to zupełnie naturalne i zrozumieć nie mógł, dlaczego dziwią się temu inni.

Ale było już widać przeznaczeniem Wojtusia budzić zawsze podziw wśród kolegów...

VI. Artyści klasowi

Deszcz ze śniegiem, błoto, wiatr...

Nawet na wielką pauzę nikt z klasy nie wychodzi. Jeden tylko odważył się wybiec na dziedziniec, szukając Judkowej z obwarzankami — okazało się przecie, że i jej nawet nie ma na stanowisku.

W klasie mniej hałasu, niżby kto myślał. Wprawdzie kilku chybionych akrobatów skacze przez ławki i usiłuje chodzić na rękach, jeden gra na grzebieniu, dwóch rzuca w siebie papierowymi strzałami — większość jednak zachowuje się spokojnie i przyzwoicie.

Podzielili się na małe gromadki; każda gromadka w poważnym milczeniu przypatruje się czemuś czy komuś.

W pierwszej z brzegu gromadce uwagę kolegów skupia na sobie studencik gładko uczesany z miłą, rumianą, nadzwyczaj spokojną i prawdziwie wypogodzoną twarzą — wypisujący w kajecie ozdobnymi literami tytuł: Zagadnienie VI-te.

Jest to Welinowicz, pierwszy w klasie kaligraf — o którym Łypaczewski, nauczyciel kaligrafii, wyrzekł:

— Welinowicza czeka wielka przyszłość. Jeśli nauczy się w dużym B dolny brzusek czynić wypuklejszym od górnego, może z czasem zająć tam, dokąd ja zaszedłem!

Marzeniem jest kolegów Welinowicza posiadać kajety z „wysztychowanymi” przez niego tytułami. Proszą go o to, jak o łaskę największą. Gdyby chciał swój talent sprzedawać, mógłby zjadać codziennie po tuzinie bułek z zimną pieczenią, po garncu jabłek, gruszek lub śliwek.

Ale on „iskrą Bożą” nie kupczy, swe mistrzowskie, nadzwyczajnymi „fliglasami” i „wykrętasami” zdobne inicjały wypisuje wyłącznie — przyjaciołom. Toteż wszyscy starają się przyjaźń Welinowicza zdobyć i utrzymać.

Drugie jest trudniejsze jeszcze niż pierwsze. Doświadczył tego na sobie Sprężycki. Jeden z jego najpiękniejszych kajetów w turkusowo-niebieskiej „morowej” okładce, przekładany kolorową bibułką, wychuchany, wycackany, nosił na pierwszej karcie taki zadziwiający tytuł:

ĆWICZ.....Witolda Sprężyckiego.

Słowo „ćwicz” było wypisane, a raczej wyrysowane i wymalowane tak pięknie, jakby je wyjęto ze wzorów kaligraficznych i rysunkowych. Umieszczone pod nim imię i

nazwisko wyglądały nieco skromniej, jednak swym świetnym, perłowym, tuszowo-czarnym „rondem” „ujawniały również rękę — artysty.

Dlaczego Witold Sprężycki miał być „ćwiczony”? Od kogo pochodził rozkaz w tak surowej, a zarazem tak estetycznej formie wydany?

Wszystko to odnosiło się do pewnego pamiętnego dnia, w którym Sprężycki i Welinowicz, doówczas przyjaciele najserdeczniejsi, poróżnili się ze sobą.

Welinowicz był zajęty właśnie wykonywaniem wspaniałego nagłówka na „Ćwiczeniach polskich” kolegi, i po wyszytchowaniu rondem jego nazwiska, kończył piątą literę tytułu — gdy Sprężycki odezwał się nagle, ni stąd, ni zowąd:

— Mickiewicz miewał z kaligrafii same dwójki...

„Artysta”, całkowicie pochłonięty swą pracą, mruknął tylko przez zęby:

— Nie wierzę...

Zapalczywszy od niego kolega Bellon zawołał:

— Bajki! Geniusz musi wszystko robić, a więc i pisać — genialnie!

— Jednak upewniam cię — ciągnął tamten — że Mickiewicz pisał „jak kura pazurem”...

Welinowicz odjął pióro od papieru.

— W takim razie Mickiewicz nie był geniuszem — stanowczo oświadczył.

I zabrał się na powrót do wykończenia swego przepięknego Z.

Sprężycki aż podskoczył z oburzenia.

— Co ty będziesz ubliżał Mickiewiczowi! Ty... „czwarty od końca”!...

Ostatnie wyrażenie odnosiło się do tego, że Welinowicz był czterdziestym trzecim uczniem w klasie, która liczyła wszystkich uczniów czterdziestu sześciu.

Artysta nie był obraźliwy — poprzestał tylko na uwadze:

— Z kaligrafii jestem pierwszy.

— To i cóż! — krzyczał tamten, nie mogąc się uspokoić. — Do kaligrafii nie trzeba wielkiego rozumu! Wszyscy znakomici ludzie pisali brzydko! Za to każdy kancelista „sztychuje” jak sam Łypaczewski!

W gromadce odezwały się śmiechy złośliwe...

Welinowicz przestał rysować. Otarł starannie pióro kawałkiem irchy, który nosił zawsze przy sobie, schował do kieszeni flaszeczkę z czerwonym atramentem, wstał i odszedł — pozostawiając na ławce kajet z niedokończonym tytułem.

Wszystko to zostało spełnione z pogodnym spokojem i imponującą powagą. Koledzy milczeli, nie wiedząc jak się zachować...

Sprężycki pobiegł za przyjacielem, przepaszając, zapewniając, że nie miał bynajmniej zamiaru ubliżyć... Tamten odpowiedział spokojnie, że wcale się nie gniewa, ale... już mu kajetów „opisywać” nie będzie.

Słowa dotrzymał. Żadne późniejsze prośby, umizgi, podarki nie pomogły. Nieszczęsne „Ćwiczenia” pozostać miały na zawsze już z dwuznacznym na pierwszej karcie napisem: „Ćwicz... Witolda Sprężyckiego”.

Druga gromadka skupiła się przy koledze rysującym. Ten budzi większy jeszcze zachwyt, połączony z szacunkiem. Niebieskie mundurki, choć cisną się przejęte ciekawością, czynią to bardzo ostrożnie, aby pracującemu nie przeszkadzać, aby go, broń Boże, nie „trącić”...

Każdy trzyma i podsuwa artyście papier i ołówek, każdy pragnąłby pozyskać choćby mały szkic jego ręki genialnej. Niektórzy przynieśli przygotowane umyślnie w tym celu zeszyty z przytwierdzonymi na jedwabnych wstążeczkach ćwiartkami różnokolorowej bibułki angielskiej.

Ze wszystkich stron słyhać nieśmiałe, zająkliwe prośby:

— Wyrysuj mi, kochany Konopko, myśliwego!

— A mnie, mój złociutki — charta!

— A mnie, mój brylantowy — zająca!

Konopka, tęgi, pleczysty wieśniak, nieustannie poświstujący lub podśpiewujący pod nosem melodię znanej piosenki: ”Pojedziemy na łów, na łów”... spełnia ohotnie wszystkie pragnienia. Wyciąga rękę to na prawo, to na lewo, bierze najbliższy papier, zarysowuje go, oddaje, sięga po następny i zaspakaja kolejno każdego kolegę. Po chwili, ten już ma zająca, ten charta, ten myśliwego — wszyscy są zachwyceni — wszyscy też wielbią go, kochają i szanują.

Na nieszczęście urok sympatycznego chłopca słabiej oddziaływa na nauczycieli i wskutek tego na liście klasowej Konopka bardzo blisko sąsiaduje z Welinowiczem. Poza tym, dwaj ci artyści trzymają się z dala od siebie i jeden drugiemu okazuje lekceważenie.

— Cóż to jest kaligrafia! — szydzi rysownik, wargę dolną wysuwając. — Możesz z tym co najwyżej „zajechać” do biura powiatu na „wolnonajemnego” z pensją stu złotych na kwartał!

Kaligraf, uśmiechając się pogodnie, dowodzi:

— Kaligrafia jest podstawą wszystkiego. Na kaligrafii świat stoi. Weźcie któregokolwiek z rysowników, a nie potrafi napisać pięknie nawet dużego A, choć to

najłatwiejsza litera w alfabecie. Tymczasem każdy dobry kaligraf, gdy zechce, będzie doskonale piórem rysował...

Aby słowa poprzeć czynem, bierze arkusz papieru i jednym posuwistym „cugiem”, pióra od papieru nie odejmując, wypisuje prześlicznego aniołka w chmurach, z kędzierzawą główką, z rozpostartymi szeroko skrzydłami!...

Koledzy wykrzykują na różne tony: „a!...” „aa!...” „aaa!...”

Konopka zaś z rękoma w kieszeniach, z twarzą zwróconą do okna, poświstuje: „Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój”...

Jednak sfera pomysłów tego pewnego siebie Konopki nie jest zbyt rozległa. Zając, pies, myśliwy — to wszystko, na co zdobyć się potrafi. Jedynym urozmaiceniem jego „dzieł” są kombinacje tych trzech motywów. Czasem myśliwy idzie w pole szukać zająca, a zając tuż za jego plecami wesoło sobie skacze; to znów pies i zając biegną w przeciwne strony, a myśliwy stoi pośrodku, broń oparł o drzewo i spokojnie pociąga sobie z oplatanej butelki; to wreszcie pies stoi wyprężony i gotowy do skoku, a myśliwy strzela do zająca kulą — przy czym widać tę kulę wylatującą z lufy i zmierzającą po linii matematycznie prostej (artysta wykreśla ją przy ekierce) w biednego szaraka...

Klasa posiada innych jeszcze artystów, w rodzaju niższym cokolwiek, ale za to — praktyczniejszym.

Są to nie tyle artyści, co majsterkowie, w swojej drobnej specjalności niezrównani i niezastąpieni.

Trudno na przykład wyobrazić sobie, co by niebieskie mundurki poczęły i jak by sobie radziły bez kolegi „Hefajstosa” — tak przezwanego stąd, że jest na podobieństwo bożka owego kulawy.

Los, upośledzając go pod względem nóg, wynagrodził go za to zwiększoną zręcznością ręki. Nikt w klasie nie dorównywa Hefajstosowi w talencie — „temperowania” piór.

W szkole P-skiej stalówki znajdują się pod klątwą — uczniowie są obowiązani pisać wyłącznie piórami gęsimi.

— Strzeżcie się piór stalowych! — powtarza przy każdej sposobności nauczyciel kaligrafii. — One psują rękę i charakter!

Ostrzeżenie groźne... — na szczęście nauczyciel ma na myśli tylko tak zwany „charakter pisma”, czyli samo pismo.

Ponieważ gęsi nie noszą w skrzydłach piór gotowych do pisania, trzeba zatem te pióra przed użyciem poddać operacji, która się zowie „temperowanie”. Mozolna to czynność i wymagająca specjalnego uzdolnienia.

Każdy wprawdzie, kto posiada dobrze wyostrzony scyzoryk i jakie takie pojęcie o narzędziach do pisania, potrafi zastrugać sobie pióro w ten sposób, że umaczane w czernidle, będzie cieńsze i grubsze kreski na papierze zostawiało — takie jednak pióro służyć może tylko do pospolitszej, brulionowej roboty. Pisać takim piórem „na czysto”, a tym bardziej ozdobnie „kaligrafować” niepodobna.

Hefajstos do zatemperowania jednego pióra używa aż trzech ostrz. Największym, umiarkowanie ostrym, nadaje zwykłemu pióru ogólny, jakby szkicowy kształt pióra do pisania. Średnim, bardzo ostrym, rozcina je częściowo w kierunku długości. Najmniejsze, a zarazem najostrzejsze, służy mu do przycinania „noska”.

Czynność ostatnia jest w równym stopniu trudna i ważna. Od przyciętego tak lub inaczej „noska” zależy: czy pióro ma służyć do cieńszego lub grubszego pisma, do liter pochyłych, „angielskich”, czy też do prostego, okrągłego „ronda”. W ogóle „nosek” stanowi o całej wartości pióra.

Nie można przycinać noska na żadnej sztucznej podkładce. Służy do tego wyłącznie paznokieć wielkiego palca osoby temperującej. Ten paznokieć u Hefajstosa jest zawsze pokryty mnóstwem mniej lub więcej głębokich nacięć i skaleczeń.

Hefajstos nie pracuje wyłącznie dla idei jak Welinowicz i Konopka. Za zdolność swą i usługi każe sobie płacić. Honorarium pobiera stałe: od każdego zatemperowanego pióra — bułka.

Pracuje zwykle podczas wielkiej pauzy, zasiadłszy na wierzchu ławki, przy oknie, otoczony gromadką „klientów” i ciekawych. Zarobione bułki — a zdobywa ich na jednym posiedzeniu pięć, sześć, aż do dziesięciu — chowa do teki, następnie zjada wszystkie do ostatniego okrucha.

Żarłoczność Hefajstosa jest zdumiewająca. Potrafi jeść w każdej porze i wszystko, co mu dadzą. Wygląda zaś jak głodomór. Twarz ma szeroką, kościstą, policzki zapadnięte, usta rażąco szerokie, niedomykające się, z których wyzierają duże, ostre zęby.

Prócz zwykłego temperowania, podejmuje się jeszcze ten majsterek robót wyjątkowych, takich jak „woskowanie” piór i ich „hamburyzowanie”. Te roboty wykonywa u siebie w domu — przy pomocy sobie tylko znanych i trzymany w tajemnicy sposobów. Pobiera za nie zapłatę wysoką, dochodzącą do całej kwarty

ułęgałek lub do trzech groszy w gotówce za sztukę. To też na ten zbytek pozwalać sobie mogą tylko bogatsi i najwybredniejsi.

Tu objaśnić trzeba, że pióra „woskowane” odznaczają się przedziwną miękkością, a zarazem sprężystością, pozwalającą na wykonywanie najsubtelniejszych kaligraficznych „cugów”. Niezrównaną zaś zaletę pióra „hamburyzowanego” stanowi to, że atrament nigdy z niego nie spływa.

Hefajstos zdobywa sobie względy nauczycieli dostarczaniem na katedrę — bezinteresownie rozumie się — piór, doskonale temperowanych, woskowanych i „hamburyzowanych”.

Zupełnie odrębną kategorię artystów klasowych przedstawia Olszewski, przezwany, nie wiadomo dlaczego, kataryniarzem.

Olszewski-kataryniarz, chłopiec pod innymi względami upośledzony, asinus asinorum, potrzebujący sześciu lat na przecięnięcie się przez pierwsze dwie klasy — jest najlepszym na całą szkołę i w specjalności swej niezrównanym „piłkarzem”.

„Piłkarz” w gwarze szkolnej oznacza człowieka wyrabiającego piłki do grania.

W miasteczku nie ma ani jednego sklepu, w którym można by kupić piłkę gotową. A ponieważ zapotrzebowań na tę rzecz jest bardzo wiele i każdy z niebieskich mundurków, których liczba do 350 dochodzi, prędzej by się obył bez jedzenia, niż bez piłki, więc uczniowie własnym przemysłem i własnymi rękoma ten przedmiot niezbędny przygotowują.

Wszystkich jednak prześcignął na tym polu Olszewski. Ten rudy, piegowaty chłopiec, z dużym zakrzywionym nosem, prowadzi jakby fabrykę piłek, którymi handluje z całą szkołą. Rzec można, że zmonopolizował w swych rękach cały handel piłkowy. Mówią też, że zarabia na tym dużo pieniędzy, które wydaje następnie na jedyną namiętność swoją: hodowlę gołębi.

O piłkach używanych w szkole P-skiej można by książkę napisać. Istnieje pięć głównych typowych ich odmian: parcianka, wyrabiana z wyprutej ze starych pończoch bawełny; przeplata się ją wąską krajką i oszywa grubym zgrzebnym płótnem; krowianka, z sierści krowiej przygotowana w ten sposób, że kawałek wosku umieszcza się na grzbiecie krowy, a potem dłonią kręci się go, czyli „kulga” dopóty, aż do wosku przyłgnie tyle włosów, że utworzą piłkę, (czynność połączona z niebezpieczeństwem, gdy się natrafi na krowę „ligającą”); zwijanka vel skrętka, wyrabiana ze starych gumowych czyli „gumulastycznych” kaloszy, które tnie się na długie, jak najcieńsze paski, te zaś paski zwija się następnie w kłębek; rzeczą główną jest skrócenie pasków

tak mocno, żeby piłka tworzyła całość prawie jednolitą; dętka czarna, (odróżnić ją należy od dętki białej, będącej u uczniów w pogardzie i pozostawionej wyłącznie dziewczynom), mająca za podstawę także gumę kaloszową, przerabianą jednak odpowiednio rękami fabrykanta — na masę plastyczną; lanka, rodzaj najwyższy, przez poważnych jedynie graczy używany; dla przygotowania jej krają kalosze na drobniutkie kawałeczki, gotują w ukropie i gorące jeszcze zlepiają i zaokrąglają za pomocą kręcenia pomiędzy dłońmi — przy czym trzeba być zawczasu przygotowanym na bolesne oparzenia skóry, na bąble i rany.

Produktem pobocznym, przy fabrykowaniu piłek gumowych otrzymywanym, jest tak zwana „guma strzelająca”. Piękna to rzecz i przez znawców wysoko ceniona. Ale jak trudne, mozolne i... wstrętne jest jej przygotowanie!

Kataryniarz, który usadowił się na ostatniej ławce wśród mało inteligentnego towarzystwa „zjadaczy chleba” (w dosłownym tych słów znaczeniu), po całych godzinach, podobnie jak i oni, porusza szczękami. Ale gdy ci wychowańcy wiejskich zaścianków mocnymi, zdrowymi zębami miął razowiec, on żuje — kawałek starego kalosza...

Wiele godzin, a nawet i dni poświęcić trzeba na to niemiłe żucie, aby z twardej, śliskiej, skrzypiącej wśród zębów gumy otrzymać wreszcie do czarnego ciasta podobną, która daje się w palcach ugniatać jak wosk.

Małe kulki tego ciasta kupują na wagę złota uczniowie — najmłodszy co prawda. Kupują je do zabawy. Zabawa na tym polega, że kulkę najpierw rozplaszczą się, na kształt małego naleśnika, następnie brzegi tego naleśnika zlepiają się ze sobą jak najszczelniej, z pozostawieniem w środku pustej, a właściwie: powietrzem wypełnionej przestrzeni. Ta uwięziona kulka powietrza tworzy bąbelek, który, po naciśnięciu palcem, pęka, wydając lekki trzask...

Właśnie dla owego trzasku nazywa się ta guma „strzelającą”.

Kataryniarz, którego kieszenie zawsze są wypchane parciankami, krowiankami, dętkami itp., zawsze również, dla chętnego i gotówką płacącego nabywcy, ma przygotowany, między zębami lub pod językiem — kawałek „strzelającej gumy”.

Z uznaniem dla niebieskich mundurków zaznaczyć należy, że posiadając wśród siebie czterech wymienionych „artystów”, umieją każdemu wymierzać co mu się należy.

Konopkę wielbią, Welinowicza chwalą, Hefajstosa lubią, Kataryniarza zaś płacą i — w oczy mu mówią, że jest „marny geszefciarz”...

VII. Nauczyciel starej daty

Dzień upalny. W klasie duszno i sennie. Tuż koło okien otwartych przelatuja jaskółki z ostrym, przenikliwym piskiem.

Chłopcom oczy przymykają się do snu. Są jakby nieprzytomni od upału. Niektórzy na pół drzemia, kilku zupełnie zasnęło.

Co chwila ktoś wychodzi napić się wody przy pompie szkolnej. Wraca z włosami mokrymi, cały zmoczony. Nie tylko ugasił pragnienie, ale i głowę zimną wodą oblał. Inni patrzą nań z zazdrością, jednak naśladować go nie śpieszą. Obezwładniło ich lenistwo, nie pozwalające ruszyć się z miejsca.

Na katedrze siedzi Skowroński, nauczyciel polskiego, stary, gruby, z białymi włosami naczesanymi na czoło i skronie, a z tyłu spadającymi w długich pasmach na plecy. Twarz ma zawsze wygoloną, szyję owiazaną kilkakrotnie białą chustką; olbrzymie, wysunięte spod chustki kołnierzyki, w których tłuste jego policzki — zwłaszcza gdy głowę pochyli — do połowy się kryją. W całości przypomina owe szanowne postacie z początku stulecia, których wizerunki przechowały się na starych litografiach.

I nauczyciel odczuwa przygnębiający wpływ upału. Nie wydobył katalożka, nie rozłożył nawet dziennika klasowego — o lekcji właściwej wcale nie myśli.

Przyniósł ze sobą książkę na szarym, bibulastym papierze, otworzył ją i czyta. Głos ma potężny, teatralny, patetyczny — taki, jakim na publicznych posiedzeniach Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk odczytywać musieli swe utwory jego członkowie.

Silnie skandując i długie zgłoski nad miarę przeciągając, deklamuje, jakby śpiewał:

*Już mdle bydło szuka cienia
I ciekącego strumienia,
A pastyrze, chodząc za nim,
Budzą echa swoim graniem.*

Prosty, klasyczny, Wergiliuszowy obrazek, tchnący świeżością wsi, łąki, gaju, w sposób cudowny oddziaływa na niektórych. Otwierają oczy, prostują się — każdy ma jakby przyjemne widzenie na jawie.

Zwłaszcza Sprężycki całą duszą zatonął w wierszu sielankowym. Żywy jak iskra, zawsze figlować gotowy, skłonny też bywa do marzenia i głębokich zamyśleń.

W tej chwili i obraz poetyczny i śpiewny rytm wiersza tak go ukołysały, że stracił niemal poczucie rzeczywistości.

Nie jest mu już gorąco, ani duszno; czuje na policzkach świeże, wilgotne tchnienie gaju olchowego; słyszy tęskne, przeciągłe tony ligawki, które las powtarza echem wielokrotnym...

Jakże przyjemny wiaterek przeciąga od chłodnego strumienia! Jak pachnie mięta wśród gęstej, puszystej, jak aksamit miękkiej i połyskującej trawy! Rozkosznie byłoby położyć się pod drzewem, patrzeć na sunące po niebie lekkie, srebrzyste obłoczki — słuchać gwizdania wilgi, przelatującej z drzewa na drzewo, liczyć listki na najbliższej gałązce — i marzyć... marzyć...

— Sprężycki, nie śpij!...

Chłopiec prostuje się, otwiera na całą szerokość oczy. Znow jest w klasie, znow mu gorąco — znow widzi na katedrze granatowy frak, białą chustkę, czerwone, zgrzane policzki, wychylające się z nakrochmalonych kołnierzyków, jak z wielkiej, porcelanowej misy.

Nauczyciel wciąż czyta śpiewnym, teatralnym głosem z niedużej, na bibule drukowanej książeczki.

Błogosławiona, cuda czyniąca książeczka! Błogosławiony i ten, co umie tak zawładnąć myślami, tak je do swego wykładu przynęcić!

...Inna chwila — inne wrażenie.

Jesień omgłiła ulice, zmatowała szyby w klasie, napełniła ją żółtym, smutnym, jakby chorym światłem.

Wszystko wygląda osowiale, brzydko. Klasa wydaje się mniejszą i brudniejszą, niż zwykle. Na suficie widać smugi kurzu, w jednym z kątów — pajęczynę.

Chłopcy tłumią ziewanie; siedzą milczący, bez humoru. Nawet figlować im się nie chce.

I znow na katedrze zasiadł ten sam stary nauczyciel; rozłożył też samą niewielką, na bibule drukowaną książkę — czyta...

Głos jego brzmi inaczej, niż latem. Jest tak samo jak szyby zmatowany, głuchy. Ale jak zawsze, przelewa się rytmicznie, to słabnąc, to podnosząc się, z teatralną deklamacyjnością, która działa na młodych słuchaczy jak muzyka.

Nauczyciel czyta:

*Cicho skradł się wiek sterany,
W smutną starość pchnąwszy mnie...*

Zatrzymuje się, poprawia okulary. Głowa zasuwa się głębiej w kołnierzyki: siwe włosy niżej na plecy opadają.

*Płynie ze mną w kraj nieznany —
Żegnam was, młodości dnie!*
Kładzie szeroką dłoń na książce; nie patrząc na nią, powtarza:

Żegnam was, młodości dnie!...

Sprężycki uczuwa nagle ścisnienie serca. Pełną piersią zaczerpuje powietrza, co wygląda, jakby głęboko westchnął.

Żółtawe światło, sączące się oknami, głucha cisza na korytarzach, smutna, niby rozjęczona deklamacja nauczyciela — wszystko na wrażliwego chłopca działa przygnębiająco.

A z katedry płynie głos coraz żałośniejszy i jakby stopniowo gasnący:

*Kiedy oczy śmierć zaciemni,
Lnianej płachty będzie dość...
W czterech deskach... w sążniu ziemi...
Dobrze się ten wyśpi gość...*

Znów dłoń szeroka zakrywa kartę — głos nauczyciela, zmieniony w echo, powtarza lękliwie: „W czterech deskach... w sążniu ziemi”...

Sprężycki sięgnął machinalnie po chustkę — oczy ociera. Jest niewątpliwie najwrażliwszym z kolegów — wszakże i inni odczuli tchnienie smutku, wypełniające izbę szkolną. To tchnienie, pod którego działaniem nawet najweselsi posępnieją, wydobywa się w równym stopniu z dnia jesiennego, z wiersza, z głosu starego nauczyciela, z jego całej niedzisiejszej, niby mgłą oddalenia przesnutej osoby...

Wiersz utkwił chłopcu w pamięci. Wracając do domu, w myśli go sobie powtarza. Znajduje się tak całkowicie pod wpływem elegijnej poezji, że wraca umyślnie zaułkami, aby mu koledzy śmiechem niewczesnym nastroju duszy nie psuli.

Wieczorem, zanudza domowników strofami: „Cicho skradł się wiek sterany”... „Kiedy oczy śmierć zaciemni”... — przy czym stara się naśladować najwierniej jęczący głos i teatralną wymowę nauczyciela. Zauważa przy tym, że jego deklamacja wzrusza silnie matkę, która prosi go, żeby „dał pokój tym strasznym wierszom”, i która potem odkłada robotę, twarz ukrywa w dłoniach i siedzi długo w milczącej zadumie...

Napełnia go to dziwnym, obcym mu dotąd uczuciem: zaczyna poznawać potęgę słowa. Z szacunkiem myśli o poezji i o swym starym nauczycielu.

Ale i ta poezja i ten nauczyciel niepokoją go swą nadzwyczajną nieprzystępnością. Nie ma sposobu zbliżenia się do nich...

Nieprzystępny jest zwłaszcza nauczyciel. Inni, choć otoczeni powagą, choć po jowiszowemu brwi ściągający, choć zamieszkali na wyżynach, oku chłopięcemu ledwie widnych, zstępują jednak niekiedy na ziemię, przemawiają, żartują, gotowi są nawet figlować, jak zwykli ludzie. Jeden Skowroński występuje zawsze w roli półboga.

Gdy wyklada, nie patrzy na uczniów. Ciężkie, głośnie, starannie odmierzone słowa rzuca w przestrzeń. Nawet, gdy uczeń wydający lekcję stoi tuż przed nim, nie widzi go, nie chce widzieć. Oczy jego ponad głową chłopca wybiegają daleko, wysoko...

Jednak o oschłość serca posądzać go nie można. Miewa czasem łzy w oczach — wówczas, gdy wiersze elegijne wygłasza. Uczniów swych kocha, wypożycza im książki ze swej biblioteki, ćwiczenia ich nadzwyczaj starannie poprawia, na marginesach wypisuje upomnienia nie tylko stylistyczne, lecz moralne i obywatelskie.

Ale bardziej, niż uczniów, kocha przedmiot, który wyklada. Żyje też raczej przeszłością, niż dniem obecnym.

Przedmiotem najgorętszych jego umiłowań literackich jest wiek osiemnasty i pierwsze lata dziewiętnastego. Najwymowniej wychwala, najczęściej cytuje poetów, w tych dwóch okresach żyjących.

Krasicki, Naruszewicz, Książnin, Karpiński, Osiński, Dmochowski — to jego bożyszczą.

Każdy poeta nosi u niego pewien stały tytuł. Krasicki to „książę poetów”; Naruszewicz — „poeta-dziejopis”; Karpiński — „poeta serca” albo „śpiewak Justyny”; Dmochowski — „polski Boileau”.

Uczniowie muszą znać te przezwiska. Gdy który się pomyli, gdy nazwie, broń Boże, „poetą serca” Naruszewicza, a „śpiewakiem Justyny” Krasickiego — stary nauczyciel pieni się z gniewu.

Cokolwiek bądź, na lekcjach języka polskiego panuje zawsze nastrój poważny. Z wyjątkiem kilku „głębów”, zajętych żuciem razowca lub gumulastyki, wszyscy inni przejmują się żywo wykładem, uczą ochotnie zadanych wierszów, wygłaszając je nie tylko w klasie, lecz i na zebraniach koleżeńskich, na „ekskursjach”, na „majówkach” — prowadzą nawet niekiedy spory o wyższość „poety serca” nad „księciem poetów” lub odwrotnie.

Sprężyckiego pociągają najbardziej wiersze żartobliwe oraz rzewne, liryczne. Umie na pamięć całe strofy z Myszeidy, umie cały Powrót na wieś, cały Pacierz staruszka.

Cienkim, prawie dziewczęcym głosem, ale z wielkim zapalem i przejęciem się deklamuje:

*Gończe złotego słońca! różana jutrzeńko!
Jużeś to w chatki mojej zajrzała okienko?
O, jak ślicznie z twej twarzy promień bije czysty
Przez te młode gałązki leszczyny krzewistej!...*

Pochyla drobną postać, jakby ciężarem lat przygiętą — głos mu drży, słabnie...

*Kiju mój! ty, starości mej wierna podporo !
Prowadź mnie... już bez ciebie w tym wieku niesporo.
Za tym sobie ogródkiem na wschód słońca siędę
I łąkom się zielonym przypatrywać będę...*

Nikt tego w żart nie obraca. Koledzy przysłuchują się wierszowi z powagą. Dobrzy, prości, wrażliwi chłopcy tak silnie odczuwają urok poezji, że Sprężycki wydaje im się niemal prawdziwym staruszkiem.

A on, wyprostowawszy się i ręce ku otwartemu oknu, lub — gdy znajdują się na przechadzce — ku gąszczom leśnym wyciągnawszy, ze słodkim rozrzewnieniem kończy:

*Wietrzyku! co tu sobie lekko polatujesz,
Jedne ziółka kołyszysz, a drugie całujesz,*

*Nie gardź tą siwą bródką — a przez wdzięczne wianie,
Daj i jej nad miód słodszych ust pocałowanie!*

Koledzy zachwycają się deklamacją Sprężyckiego — nauczyciel zarzuca jej brak „kadencji” oraz dykcję „śmietankową”, „maślaną”... Chłopiec czyni największe wysiłki, aby się z tych wad poprawić — przechodzi to wszakże jego możliwość.

Jeden tylko Kucharzewski, olbrzym klasowy, z głosem dojrzałego mężczyzny, przerastający wzrostem najwyższych nauczycieli — zadowala pod tym względem profesora Skowrońskiego. On tylko z dostateczną energią języka umie wypowiadać wiersze, w których słychać jakby warkot bębna, jakby poryw lwa...

*Zdrrrajco! z twarrrejd Taurrrów wygrrrryżłeś się skały,
A Hitrrrzańskie tygrrrryce pierrrs ci podawały!...*

Stary nauczyciel promienieje zachwytem i jak żółw ze skorupy wychyla się ze swych olbrzymich kołnierzy, gdy Kucharzewski głosem potężnym wygrzmiewa Naruszewiczowskie „aleksandryny”:

*Już widzę... jako wdziawszy hart niezłomnej zbroje,
Zmiata z karków niewiernych odęte zawoje;
A posoką i prochem ozdobnym okryty,
Tratuje zdradne członki końskimi kopyty!
Na wzrok jego ogromny, na blask płytkiej stali,
Kupami się od Wiednia zbita gawiedź wali.
Stoi zdrętwiały Dunaj, że na bystrym grzbiecie
Most mu, z trupów usłany, pławne barki gniecie!*

W deklamacji Kucharzewskiego każde r warczy jak brytan na łańcuchu, każde z i s syczy jak żądło węzowe, każde wi, wia wie, gwizdże jak kartacz lecący — a w wyrazie „kopyty” słychać wyraźnie tętent pędzącego konia...

Kucharzewski ma zawsze z polskiego stopnie „celujące”; Sprężycki zdobywa zaledwie „bardzo dobre”. Ale Sprężyckiemu obce jest uczucie zawiści; uczy się też nie dla stopni, lecz przez gorące ukochanie przedmiotu.

Jest tak nasiąknięty poezją XVIII wieku, że ile razy wraca ze szkoły, deklamuje głośno na korytarzu:

*Oto mój dom ubogi — też lepione ściany;
Też okna różnoszybne, piec niepolewany...*

— A właśnie, że polewany! — sprzeciwiają mu się domownicy.

Nie wyobraża sobie, by mogła istnieć na świecie poezja piękniejsza od poezji Karpińskiego, Krasickiego, Naruszewicza. Ułamek Iliady w przekładzie Dmochowskiego, odczytany kiedyś przez nauczyciela, dostarczył mu na kilka dni wątku do marzeń najrozkoszniejszych...

Podziela te upodobania jego najbliższy przyjaciel i powiernik: Dembowski. Ale ostatni jest powściągliwy w zachwytach — na rzeczy patrzy spokojniej, krytyczniej.

Pewnego dnia, wolnego od lekcji, Dembowski przyszedł do Sprężyckiego z miną tajemniczą, trzymając coś pod rozpiętym na piersiach mundurkiem. Wywołał go na podwórze; potem zaproponował, żeby poszli do „pustelni”.

„Pustelnię” nazywali chłopcy „odkryty” przez siebie cichy, odludny placyk nad Narwią, pomiędzy spichrzami, gdzie można było spokojnie czytać, rozmawiać, grać w piłkę, ryby na wędkę łowić...

Rosło na tym placyku wierzb kilka oraz kilka zdziczałych drzew wiśniowych, rodzących owoc, nawet dla uczniowskiego podniebienia zbyt kwaśny. Tu i ówdzie widniały ślady zagonów, szczątki rozebranego ogrodzenia, niedobitki krzewów bzu, jaśminowych, wreszcie jedna, prawie całkowicie pozbawiona liści, czeremcha.

Placyk był niegdyś widocznie ogrodem. Tradycja tego przechowała się między ptakami, które na wiosnę gęsto tu zalatywały. Nierzadkim gościem bywała wilga, pogwizdująca co kilka chwil to tu, to tam, jakby drażniąc się z chłopcami. Odwiedzały też ustroń nadrzeczną kraski, których seledynowo-żłociste upierzenie, powabnie mieniające się w słońcu, olśniewało wzrok, nadając zakątkowi znamię egzotyczne. Chłopców wydawało się niekiedy, że chodzą po ogrodach Szeherezady — że sami są bohaterami Tysiąca i jednej nocy...

W tej to pustelni Dembowski wyciągnął spod mundurka i Sprężyckiemu pokazał rzecz przyniesioną. Była nią książka — tom Mickiewicza, zawierający Konrada Wallenroda, Dziady...

Nie zwlekając, usiedli na klockach pod spichrzem, czytać zaczęli.

Czytali na przemian, głośno — a cudnym wierszom Narew do taktu pluskała, ptaki dziwiły się zmieszany mi krzykliwie głosami, przytakiwał w równych odstępach czasu zegar, wybijający kwadransy i godziny na wieży Farskiej.

Na czytaniu kilka godzin im zbiegło. Dzwony kościelne oddzwoniły już „Anioł Pański”, rozplynęły się w powietrzu rytmiczne, uroczyste, posępne dźwięki, „poległym w bojach z niewiernymi” poświęcone — oni jeszcze czytali.

Dopiero ciemność, niepozwalająca rozróżnić liter, oderwała ich od książki. Podnieśli się, wzdychając:

— Cóż, Witek? — zagadnął Dembowski — podobało ci się to? Gadaj!

Ale Sprężycki nie był w stanie „gadać”. Wybuchy romantyczne wieszczą, którego znał dotąd tylko ballady i spokojną, prawie klasyczną Grażynę — oszołomiły go. W milczeniu kolegę pożegnał.

Nazajutrz nie było mowy o Mickiewiczu. Tego dnia szła wspaniała „ekstrameta” na jednym z placów nadrzecznych, z którego uprzętnięto drzewo budulcowe. Sprężycki, liczący się do najzapaleńszych i najzręczniejszych „ekstramecistów”, rej tam wodził. Gdy postawiony na „mecie” kręcił się, jak wrzeczono i podskakiwał, równie trudno było trafić go piłką, jak zabić kulą jaskółkę w locie. Gra całkowicie go pochłonęła — zapomniał o wszystkich poetach na świecie.

Dopiero w kilka dni później powrócono do tego przedmiotu.

— Cóż Konrad Wallenrod, he? — zapytał go Dembowki, gdy chodzili po ogrodzie publicznym, trzymając się pod ręce i zajądając kupioną do spółki kwartę sapieżanek.

— Prześliczny! — osądził, ogryzając starannie ogonek gruszki.

— A Dziady?

— Cudowne!

— Wiesz? Ja za jednego Mickiewicza oddałbym tych wszystkich, których nam Skowron każe wykuwać!

Sprężycki milczał, ocierając starannie nową sapieżankę.

— Cóż to za poeta ten tam Krasicki! Albo ten jakiś Naruszewicz!

Sprężycki na kolegę nie patrząc, zauważył tylko:

— Iiiii...

— Jak stary zacnie prawić o swoim „poecie serca”, „śpiewaku Justyny”, to jak Bożię kocham, język gryzę, żeby nie wybuchnąć śmiechem!

— Ooooo! — mruknął znów tamten dwuznacznie.

— Albo czy nie śmieszny i ten twój Pacierz...

— Jaki Pacierz?

— Wiesz... „Gończe złotego słońca”... czy też „Słońce złotego gońca”... już nie pamiętam.

Sprężycki cisnął niedojedzoną gruszkę na ziemię, wyrwał rękę spod ramienia kolegi i obracając się doń twarzą, wyrzekł dobitnie:

— Głupiś!

Dembowski, znacznie spokojniejszy, uśmiechnął się na to „filozoficznie”.

— Dlaczego mam być głupi? — zapytał bez gniewu.

— Bo nie możesz zrozumieć, że... że...

Zaciął się — trudno mu było myśl swą wyrazić słowami.

— No, że... jedno drugiemu nie przeszkadza! — dokończył wreszcie głosem podniesionym.

Tamten kręcił głową, naprawdę nic nie rozumiejąc.

Usiedli na ławce. Sprężycki długo milczał, napiętkiem ziemię rozgrzebując, wreszcie rzekł:

— Widzisz, Bronek, to jest tak. Czy ty lubisz na przykład — sapieżanki?

— Ba!

— Czy one są, podług ciebie, dobre?

— Wyborne!

— Wyborniejsze od innych?

— Hm... pewnie, że tak...

— Dobrze. Teraz więc słuchaj. Jeżeli sapieżanki są wyborne, może nawet od innych wyborniejsze, to — pytam cię, Bronek — czy te wszystkie inne, a więc: małgorzatki, bery, panny, jedwabnice, diuszesy i tak dalej, trzeba wziąć i wieprzkom do koryta wyrzucić?

— Co znowu! Szkoda byłoby tylu dobrych owoców!

— Więc uważ, Bronek. Jeżeli szkoda owoców dobrych, to czyż nie większa szkoda dobrych wierszów? Czyż to obok Mickiewicza nikt już więcej istnieć nie może? Czy dlatego, że Konrad Wallenrod śliczny a Dziady cudowne — reszta polskich poetów ma iść na śmietnik?

Dembowski potrząsnął głową przecząco.

— Ależ nie — doprawdy nie... Wiesz, Witek? Przekonałeś mnie. Jak Bożię kocham, przekonałeś.

Tamten ciągnął z zapalem:

— Porywa mnie Mickiewicz, ale Karpiński mnie wzrusza. Ile razy mówię jego Powrót na wieś, mam łzy w oczach. Zawsze też będę odmawiał przy modlitwie Kiedy ranne wstają zorze i Wszystkie nasze dzienne sprawy... I nigdy nie zapomnę Pacierza staruszka...

Wstał — głos podniósł.

— „Gończe złotego słońca! różana jutrzeńko!”... Jaki to śliczny początek! Pamiętasz ten wschód słońca, który widzieliśmy na majówce? Zawsze on mi się przy tych wierszach przypomina.

— Jednakże — wziął na odwagę Dembowski — nigdyś nie słyszał od Skowrona wierszów, które... jakby to powiedzieć?... Świdrem wkręcają się w głowę — jak na przykład niektóre śpiewki z Dziadów albo ballada o Alpuharze...

Sprężycki zamyślił się.

— Słuchaj Broniek — rzekł po chwili uroczyście — pamiętasz ty ten dzień jesienny, kiedy to była taka mgła paskudna i kiedy to Effenberger wyrzucił za drzwi Kamińskiego, bo przyszedł zabłocony, ze spodniami w cholewach?... Tego dnia była lekcja polskiego i Skowroński czytał nam ze swej bibulastej książki wiersz, nie wiem czyj, co się zaczynał: „Cicho skradł się wiek sterany”... Wiesz?... Ja od tego wiersza odżegnać się nie mogę. Nie lubię go — mogę nawet powiedzieć, że go się boję — ale, chcę czy nie chcę, powtarzać go muszę. A ile razy go powtarzam, zawsze staje mi przed oczyma nasz stary nauczyciel, taki znękany, smutny, przygarbiony, z obwisłymi, poźółkłymi policzkami... I zdaje mi się zawsze, że wtenczas, gdy on nam ten wiersz odczytywał, myślał o sobie, o własnej starości, o własnym grobie...

Sprężycki wsunął rękę pod ramię kolegi — zaczęli znów chodzić po ulicach ogrodu, wśród wydłużonych cieni drzew, wśród purpurowo-złoty smug gasnącego na zachodzie słońca.

Opuściła ich zwykła chłopięca pustota. Chodzili skupieni w sobie, poważni. Sprężycki deklamował z cicha, naśladując przeciągły, śpiewny, nieco drżący głos starego nauczyciela:

*Cicho skradł się wiek sterany,
W smutną starość pchnąwszy mnie...
Płynie ze mną w kraj nieznaną —
Żegnam was, młodości dnie!*

Gdy tak nasiąkali obydwą poezją słowa i poezją przyrody, rozkołysało się nagle powietrze od potężnego huczenia dzwonów farskich. Nigdy w zwykłych okolicznościach o tej porze nie dzwoniono — przy tym i samo dzwonienie było niezwykle. Spizowe tony niosły jakąś wieść posepną, modliły się, płakały...

Dembowski szepnął:

— Ktoś umarł...

Chłopcy zdjęli czapki, przeżegnali się. Sprężycki pociągnął kolegę do wyjścia.

Gdy znaleźli się na rynku, podbiegł do nich Kozłowski.

— Umarł Skowron! — mówił zdyszany. — Dziś po południu apopleksja go tknęła. Pojutrze szkoła idzie na pogrzeb — lekcji nie będzie...

Zmrok już padał na miasto, gdy Sprężycki wracał do domu. Było mu smutno i strasznie. Chciał zapomnieć o starym nauczycielu, a widział go nieustannie przed sobą. Chciał myśleć o grze w piłkę, o figlach szkolnych, o wesołej książce, którą dostał do czytania — a usta jego powtarzały bezwiednie:

*Kiedy oczy śmierć zaciemni,
Lnianej płachty będzie dość...
W czterech deskach... w sężniu ziemi...
Dobrze się ten wyśpi gość...*

VIII. Dawid i Goliat

Nadzwyczajną uciechę miała raz szkoła: Kucharzewski przyniósł Wrońskiego — w tece.

Kucharzewski — to olbrzym klasowy, z szeroką pierśią, grubym karkiem, ciężki i niezgrabny, lecz wyjątkowo mocny. Wroński — istne kurczątko.

Nie tylko klasa, lecz i szkoła cała podziwiała siłę Kucharzewskiego. Niczym dla tego chłopca wziąć w zęby ciężki stolik stojący na katedrze i obnosić go po klasie, nie podtrzymując rękoma. Niczym posadzić na fotelu profesorskim czterech kolegów i, zarzuciwszy sobie ten „ładunek” na plecy, swobodnie z nim chodzić. Niczym nawet: gruby, szkolny pogrzebacz żelazny zgiąć i wyprostować...

Tego dnia olbrzym, idąc do szkoły, spotkał wątłego koleżkę, który po niedawnej chorobie ledwie nożyny włókł za sobą. Niewiele myśląc, wypróżnił swą kolosalną tekę,

książki i kajety po kieszeniach pochował, i chwyciwszy półzartem malca, wsadził go do teki, przykazując, żeby rękami trzymał go za szyję.

Słaby i trochę lękliwy chłopiec spełnił rozkaz — i przyniesiony został w ten sposób do szkoły wśród wrzasku kolegów i gawiedzi ulicznej.

— Goliat i Dawid... parole! — osądził profesor Luceński, gdy się o tym zdarzeniu dowiedział.

— Niech no jednak — dodał, do tabakiereczki swej sięgając — ten Goliat strzeże się, żeby mu Dawidek głowy nie uciał. Bo teraz „Dawidkom” dowierzać nie można — parole!

Wywołuje ich obu do lekcji — każe stawać przed katedrą jednemu obok drugiego. Dawid sięga ledwo do pasa Goliatowi.

— Kucharzewski, tłumacz: „Koń mego sąsiada — zjadł — żonę starego generała”.

Goliat usta szeroko otworzył — śmieje się.

— To być nie może... — mówi grubym głosem.

— Co nie może być?

— Żeby koń zjadł... hi, hi, hi... kobietę.

Profesor uderza trzcina w stolik.

— Ciebie nie pytają o zdanie! Każą ci tłumaczyć i basta!

— To dla mnie za trudne; ja nie wiem, jak to będzie po francusku.

— Bien. Masz „pałkę” i możesz iść na miejsce.

Profesor skrzypiącym piórem smaruje w katalożku wielką jedynekę. Teraz olbrzym wykrzywia się do płaczu.

— Nie wiem, za co pałka?... — mruży basem, odchodząc od katedry. — Pierwsze słyszę, żeby konie... Może tak jest we Francji, ale u nas...

Trzcina znów grzmi na katedrze.

— Milczeć — bo do dziennika zapiszę!

Olbrzym wtłoczył się do ławki, głowę wsunął między ramiona — różkiem chustki oczy ociera.

— Dawidku!... — zwraca się Luceński do drugiego ucznia — powtórz, o com zapytywał.

Cieniutki, ale rezolutny głosik odpowiada:

— Pan prosor wymienił trzy zdania oddzielne i kazał przetłumaczyć je na francuski. Pierwsze zdanie: „koń mojego sąsiada”... le cheval de mon voisin; drugie zdanie „zjadł”... il a mangé; trzecie zdanie: „żonę starego generała”... la femme d'un vieux général.

Luceński wy dostał swą małą tabakierkę, raz po raz z niej zażywa i palce wyciera o rudą perukę. Jest widocznie bardzo zadowolony.

Podsuwa tabakierkę uczniowi.

— Jesteś zuch, Dawidku... Tu es un brave garçon! Zażyj, boś wart tego.

Chłopiec zanurza koniuszek palca w tabace i do nosa przykłada.

— Jesteś zuch i masz głowę na karku. A Kucharzewski jej nie ma. Stało się, com przepowiedział: Dawid uciął głowę Goliatowi!

Dowcip zdobywa uznanie klasy. Wszyscy, z wyjątkiem zawstydzonego i czerwonego ze złości olbrzyma, pokładają się od śmiechu.

Niedługo potem przypadła lekcja religii. Ksiądz prefekt, wysłuchawszy innych, zwrócił się do Kucharzewskiego:

— No, Kucharzesiu, popisz się! — mówi ze zwykłym sobie łagodnym, żartobliwym uśmiechem. — Powiedz nam wszystko, co wiesz o Mojżeszu.

Niestety, „Kucharzesio” nic prawie o Mojżeszu nie wie.

Nastaly właśnie dni gorące — olbrzym, którego zdrowa, silna organizacja domaga się ruchu, wysiłków fizycznych, obcowania z przyrodą, wszystek czas pozaszkolny spędza na kąpaniu się w Narwi, pływaniu łódką, wycieczkach dalekich na ryby. Od książki coś go odpycha. Gdy chce zmusić się do nauki, litery tańczą mu przed oczyma, zdania nie dają się pochwycić — osłabły, niepokonaną sennością zmożony, zasypia z otwartymi oczyma, powtarzając bezwiednie koniugacje łacińskie, lub zawiła teorię arytmetyki.

Wywołany do lekcji wstaje, przeciąga się, tłumi ziewnięcie, wpatruje się w księdza i milczy.

— No, rybko, panie święty, któż to był Mojżesz? — dopytuje ksiądz prefekt.

— Mojżesz był synem... był synem...

Dalej „ani w ząb”.

— To już wiemy — zauważa ksiądz. — Córką przecie być nie mógł. Zapewne też był synem swego ojca i swojej matki. Ale cóż więcej, rybko, panie święty?

Kucharzesio długo milczy, rzucając na prawo i lewo wymowne spojrzenia, błagając o „pomoc koleżeńską”, wreszcie bierze na odwagę i podtrzymywany przez „podpowiadaczów”, zaczyna — pływać.

— Mojżesz wyprowadził Egipcjan z niewoli żydowskiej... Pokazywał cuda przed królem Salomonem i ożenił się z jego córką Plagą... Potem pobił Filistyńczyków i zatopił

ich wojsko w morzu Chanaan... Na puszczy kazał odlać cielca złotego, sam mu się kłaniał i innym kłaniać się kazał...

— Dosyć, panie święty, dosyć!... — krzyczy prefekt, uszy sobie zasłaniając. — Gorączkę masz, rybko!... Bredzisz, panie święty!

Kucharzewski staje w miejscu, jak ściągnięty uzdą rumak. Przez chwilę porusza jeszcze ustami, żując niezrozumiałe wyrazy, potem od razu milknie i wpatruje się w księdza niecierpliwie, jakby mówił:

— Może nareszcie da mi ksiądz prefekt już pokój z tym Mojżeszem?...

Ksiądz, naprawdę strapiony, rękę załamał...

— Rybko, panie święty, co się z tobą dzieje? Taki słuszny kawaler i tak prawi od rzeczy! Gdzież ty podział głowę, Kucharzesiu?

Ledwie ksiądz wspomniał nieszczęsną „głowę”, we wszystkich ławkach podnoszą się krzyki. Trudno zrozumieć treść krzyków, bo wszyscy krzyczą równocześnie. Słyszać wciąż słowa: Goliat... Dawid... olbrzym... proca...

— Prymus, panie święty! — woła ksiądz, za głowę się chwytając — czego chcą te Filistyńczyki?

Prymus raportuje:

— A to, proszę księdza prefekta, oni mówią, że Dawid uciął głowę Goliatowi.

— Toż wiem o tym, rybko. Ale cóż to ma do Kucharzewskiego?

— A bo właśnie Kucharzewskiego pan profesor Luceński nazwał Goliatem.

— Co mówisz, rybko panie święty! Gdzież w takim razie Dawid?

Tu już prymusa zakrzykują inni. „Dawid, pokaż się księdzu prefektowi”... „Wrona, wyjdź na środek!”... Niebawem maleńki Wroński, wypchnięty przez kolegów, staje przed księdzem z wystraszoną, bynajmniej nie bohaterską miną.

— Niegodziwce, panie święty! — wpada na niego ksiądz prefekt z udaną zawziętością — jak mogłeś pozbawić kolegę najpotrzebniejszej części ciała? Cóż wart uczeń bez głowy? Gdzież on teraz, niebożątko, pomieści naukę? Przecież jej w kieszeń nie schowa, ani do teki. A tu nadchodzą egzaminy — a tu Kucharzesio drugoroczny... Oj, Dawidku! Dawidku! Coś ty narobił, panie święty!

Ksiądz ociera czoło czerwonym fularem i nie tracąc miny poważnej, kończy:

— Słuchajże, Dawidku — rybko, co ci tu przykazuję. Chociaż Kucharzesio Filistyńczyk, bo Goliat, na żaden sposób bez głowy zostawić go nie można. Bo i to zważ, panie święty, że gdyby on promocji nie dostał i na grzyby poszedł, musiałbyś, rybko,

koszyk za nim nosić. Pamiętajże. Pamiętajże, rybko, panie święty, że obowiązkiem jest twoim, abys mu głowę na powrót przyprowadził!

Powszechna wesołość. Śmieją się wszyscy — prócz Dawida i Goliata. Ostatni ma minę zakłopotaną i złą; na twarzy pierwszego maluje się wytężenie umysłu. Przejął się słowami księdza prefekta — rozmyśla nad tym, w jaki sposób rozkaz usłyszany wypełnić, krzywdę wyrządzoną koledze naprawić?

Tymczasem, mimo upału, który rozleniwia i osłabia, wszyscy energicznie uczą się, żeby przy egzaminach nie „obciąć się” i roku nie stracić. „Ekstra” i „palant” poszły w zapomnienie, o „gumę strzelającą” nikt Kataryniarza nie pyta — nawet talenty Welinowicza i Konopki mniejszym, niż zwykle, cieszą się uznaniem. Za to Hefajstos tryumfuje; podczas pauzy wszyscy cisną się do niego z piórami, których teraz tak wiele się zużywa. Nadażyć nie może z temperowaniem i... z pochłanianiem bułek zewsząd znoszonych.

I w Kucharzewskim obudziła się ambicja — postanowił za wszelką cenę egzamin złożyć i promocję dostać. Wyrzekł się na kilka tygodni Narwi i jej ponęt — całymi godzinami siedzi nad książką lub kajetem, ciężko dysząc i wzdychając. Uf! Jakże go męczy gramatyka łacińska! Jakże go wyczerpują ułamki dziesiętne i „reguła trzech”! Zdaje mu się, że gdyby przepłynął kilka wiorst pod wodę, lub berlinkę kilka godzin holował, mniej czułby się znużonym.

Nawet na pauzę z klasy nie wychodzi, lecz skulony jak kariatyda, powtarza wciąż w kółko, grubym głosem, jedną i tę samą lekcję, która w żaden sposób utkwic mu w pamięci nie może.

Jednego dnia, wyjątkowo upalnego, pozwolono uczniom iść na godzinę do domu. Nauczyciel zachorował, a nie było komu go zastąpić. Jak ptaki, gdy ujrzą drzwi klatki otwarte, rzucili się chłopcy do wyjścia. W kilka sekund klasa opustoszała — pozostali tylko: Kucharzewski i Wroński.

Wroński, nadzwyczaj pilny, korzysta z wolnej godziny, aby przepisać kilka kart z drogiej, od kolegi pożyczonej książki, na której kupienie był za biedny. Już prawie całą książkę miał przepisana pięknym wyraźnym rondem, którym celuje i które raczy pochwalać sam mistrz Welinowicz.

Kucharzewski wcisnął się w najdalszy kąt i zgrzany, spotniały, męczy się nad gramatyką łacińską.

Pochylił swe wielkie ciało — wyraźnie, choć niezbyt głośno, czyta:

— „Rzeczowniki na is są rodzaju żeńskiego”.

Przeczytawszy, prostuje się, zamyka oczy i zaczyna jęczeć monotennie:

— Rzeczowniki... rzeczowniki... rzeczowniki. Na is... na is... na is. Są rodzaju żeńskiego... żeńskiego... żeńskiego.

Wbiwszy już sobie w głowę to zdanie, znów pochyla się, żeby z książki nową szczyptę mądrości zaczerpnąć. Przypomina ptaka pijącego ze źródła.

— „Wyjątek stanowią rzeczowniki: vis, lapis, crinis, cannabis, ignis”... Ojoj! Jeszcze nie koniec?... „Pulvis, panis, piscis”... Jak Bożię Kocham, nie wytrzymam!

Ociera spocone czoło — ciężko, z głębi piersi wzdycha. Przez chwilę na jego twarzy maluje się walka. Niespokojne spojrzenie rzuca w otwarte okno, za którym widać młode, kwitnące kasztany, słysząc huczenie chrabąszczów, ćwierkanie jaskółek, krzyki chłopców grających w palanta...

Wyraz jego twarzy jest taki, jakby chciał powiedzieć:

— Ej! Rzucę ja to wszystko... do kąpielii pójdę, potem na ryby... Bierz licho promocję i szkołę!

Zwyciężył pokusę — oczy odwrócił od okna — wzniosł je w górę z wyrazem rezygnacji. Potem oczy zamyka i znów jęczy...

— Vis... vis... vis... Lapis... lapis... lapis... Crinis... crinis... crinis...

Co chwila, to zagląda do książki, to się od niej oddala, kiwając się, jak Żyd nad Talmudem. Idzie mu ciężko. Ledwie nauczył się trzeciego wyrazu, już dwa pierwsze ulatują mu z pamięci. Wraca do nich — tamten gdzieś mu się zapodział. A tych wyrazów tak wiele! Prawie pół stronicy zajmują. Czyż on kiedykolwiek potrafi się ich nauczyć?..

Wzdycha, odpoczywa — znów jęczy:

— Cannabis... cannabis... cannabis. Ignis... ignis... ignis. — To już umiem. A tamte?

Przypomina sobie i przypomnieć nie może. Wyfrunęły pewnie otwartym oknem na ulicę bując się z chrabąszczami, grać w piłkę z dziećmi, śmiać się i bawić z całym światem...

Ściska czoło obiema dłońmi — przez długą chwilę milczy.

— Kucharzewski!...

Ktoś woła nań cieniem, nieśmiałym głosem.

Nie odwracając się, nie otwierając zamkniętych oczu, odpowiada szorstko:

— Idź sobie — nie przeszkadzaj!

— Pomogę ci, jeśli pozwolisz...

Odmyka oczy, wpatruje się bystro w poczciwą zarumienioną twarz Wrońskiego.

— Oj, pomóż! Pomóż... — mówi głosem dziwnie spokojnym. — Łeb mi pęka, a nic wykuć nie mogę.

— Widzisz... jest na to sposób. Nauczył mnie go pewien akademik z Warszawy.

— Jakież to sposób?

— Ułożono z tych wyjątków — wierszyk.

— Wierszyk?... Do deklamacji?...

Twarz olbrzyma wypogodziła się. Lubi niezmiernie wiersze — ma szczególną zdolność do zapamiętywania ich i wygłaszania.

— Posłuchaj więc uważnie.

Malec wypręża się, mówi głosem podniesionym:

Trzydzieści sześć na is

Masculini generis:

Panis, piscis, crinis, finis,

Ignis, lapis, pulvis, cinis...

Kucharzewski przerywa mu wybuchem śmiechu.

— Wiesz, Wrono, że to paradne! Powtórz no początek.

Wroński powtarza — on zaraz po nim z zupełną łatwością deklamuje:

— Trzydzieści sześć na is — masculini generis... Wyborne!... panis, piscis, crinis, finis... Ha, ha, ha, Wrono — daj pyska!

Powrócił mu humor; zrywa się, podnosi malca w górę i w oba policzki ogniście wycalowuje. Urodzony deklamator zapalił się do wiersza, od razu zatrzymuje w pamięci całe szeregi wyrazów, nadaje im brzmienie melodyjne — potem je wygłasza z teatralną gestykulacją, potężnym głosem, jak odę Naruszewicza.

Tegoż dnia, profesor Izdebski wyzwawszy Kucharzewskiego do lekcji, zdumiał się płynnością, z jaką on wyśpiewał wszystkie co do jednego „wyjątki”.

— Bój się Boga, Kucharzesiu! — mówił, wytrząsając czerwoną chustką, jak sztandarem — musiałeś dziś prawą nogą wstać z łóżka. Odpowiadasz jak z nut. — Bacność, uwaga — jeszcze nagrodę wziąć możesz!...

I nasmarował mu w „katalogu” wielką, dla całej klasy widoczną, piątkę.

Gdy wracali do domu, olbrzym podskakiwał z uciechy — co go czyniło podobnym do tresowanego słonia. Nie mógł też wytrzymać, żeby w jakikolwiek sposób nie okazać

wdzięczności koledze. Wymownym nie był, poprzestał więc na tym, że go kilkakrotnie „poklepał” po plecach.

Jakże silnie Wroński odczuł tę „pieczętkę”! Uśmiechał się wprawdzie do kolegi, ale miał łzy w oczach. Potem przez kilka dni bolała go łopatką.

Nazajutrz, Kucharzewski znów się poci, znów wzdycha, znów stęka. Tym razem nie z łacińskimi słówkami mocuje się, lecz z arytmetyką. W żaden sposób nie może dać rady „regule trzech”, która przedstawia mu się w postaci jakiejś olbrzymki, silnej jak Samson i Herkules w jednej osobie.

Wroński w swoim kąciku przepisuje w dalszym ciągu drogocenną książkę, śpiesząc, żeby ją skończyć przed egzaminami.

— Wrona! — woła nagle olbrzym przez całą szerokość pustej klasy.

Malec ogląda się.

— Tyś taki mądry, Wrona — poradź mi, co zrobić z tą bestią regułą?

— Przecież to łatwe...

— Ale ba!

— Jeśli pozwolisz...

— Co pytasz? Chodź i ratuj!

Po chwili, maleńki Wroński siedzi na kolanach u wielkiego Kucharzewskiego i cieniutkim głosikiem wyklada teorię arytmetyczną. Wyklada po prostu, przystępnie i tak jakoś przekonywająco, że olbrzym, dość tępy z natury, wszystko bez trudu pojmuje i zapamiętuje.

— Wiesz, Wrona — mówi, kończąc tryumfująco zadanie i kreśląc pod nim zamasztygo wykrętasa — ty mógłbyś być belfrem!

Wroński przyjmuje z uśmiechem te słowa, jako niezasłużony komplement — i wraca spokojnie do przerwane przepisywania.

I tym razem Kucharzewski odpowiada wzorowo z arytmetyki i od nauczyciela, który jest bardzo wymagający, dostaje czwórkę z plusem. Ale już teraz sprawca tego cudu na nagrodę nie czeka. Zmyka czym prędzej do domu, czując, że go jeszcze zanadto boli łopatką...

Od tego czasu olbrzym z malcem nie rozłączają się prawie. Codziennie, przed wieczorem, Wroński przychodzi na stancję do Kucharzewskiego. Celem tych odwiedzin nie jest ani piłka ani gra w „cztery kąty”, „farby”, lub „ślepa babkę”, lecz — wspólna nauka. Chłopcy przysposabiają się do egzaminów — właściwie zaś Kucharzewskiego przysposabia do nich Wroński.

W ciągu tych przygotowań, wzajemny stosunek kolegów zmienia się stopniowo do gruntu. Dawniej stanowczą przewagę miał olbrzym, teraz ona przechodzi nieznacznie do maleńkiego Wrony. Ostatni, któremu przypadła rola mistrza, przybiera mimo woli w głosie i całym obejściu się odcień pewnej wyższości — tamten zaś milcząco tę wyższość uznaje i głowę przed nią pochyla.

Ach! Trzeba widzieć obu chłopców przy lekcji! Wroński, wspinając się na palce, rysuje kredą trójkąty i kwadraty na drewnianej ścianie chlewka, zastępującego tablice — tamten stoi przy nim, śledząc jak najpilniej oczyma każde poruszenie kredy, łowiąc wyteżonym słuchem najmniejsze objaśniające słówko.

Dochodzi do tego, że Kucharzewski względem wątłego koleżki zaczyna stawać się nieśmiałym — już nie tylko nie nazywa go Wroną, lecz nawet z trudnością niejaką mówi mu: „ty”...

Szacunek opiera się w tym razie na przyjaźni i wdzięczności. Wszakże to tylko dzięki Wrońskiemu, Kucharzewski, dla którego dawniej osobliwością była „trójka z minusem” — składa teraz wszystkie egzaminy na stopień dobry, bardzo dobry i celujący.

Niebawem cud wypełnia się do końca. Na popisie publicznym, gromadzącym sam „kwiat” miejscowego towarzystwa, inspektor wywołuje Kucharzewskiego, żeby mu wręczyć — list pochwalny.

Olbrzym jest niemal przerażony swym szczęściem. Nieoczekiwany zaszczyt wzrusza go i przygnębia. Idąc po nagrodę, jest tak zgięty i skurczony, że wydaje się prawie małym.

Gdy Wroński i Kucharzewski razem powracają do domu, pierwszy dźwigając czerwoną, wyłacaną książkę, drugi zwinięty w trąbkę list pochwalny, każdy od pierwszego spojrzenia poznaje, że to przyjaciele. Ale mały Pilades ma tu widoczną wyższość nad wielkim Orestesem — naturalnie wyższość moralną tylko, gdyż pod względem wzrostu daleko mu do niego.

Pochylając się, uniżony, szacunkiem dla młodszego kolegi przejęty olbrzym wygląda, jak słoń prowadzony przez kornaka.

Kucharzewski, w imieniu matki swej, zaprasza kolegę na „poczęstunek”. Biedna wdowa, widząca całą przyszłość swą w synu, jest do łez rozrzewniona dobrocią Wrońskiego i wszystkim, co on uczynił dla jej jedynaka. Ścisza mu ręce, w głowę go całuje, potem zasada do nakrytego stołu, gdzie przygotowała wiosenne przysmaki: młodą rzodkiewkę, świeże maselko, twaróg ze szczypiorkiem, jajecznicę...

Radość otrzymanych nagród pozbawiła chłopców apetytu — jednak Wroński, aby nie sprawić przykrości pani Kucharzewskiej, wszystkiego po trosze próbuje i wszystko wychwala.

Kolega odmienia mu talerze, przysuwa półmiski, zachęca do jedzenia. Ogromną ma ochotę „poklepać” Wrońskiego po plecach — ale spojrzawszy na swą olbrzymią łapę i wątle barki kolegi, odpędza od siebie tę pokusę.

Wprost chłopców siedzi matka olbrzyma, kobiecina niewielkiego wzrostu z żółtą, chorobliwą twarzą. Nic nie mówi, tylko uśmiecha się, wzdycha i wzrok rozpromieniony przenosi co chwila z jednego na drugiego. Nieustannie też chustkę do oczu przykłada.

Po śniadaniu pani Kucharzewska prosi Wrońskiego do ogródka, gdzie rosną dynie — przedmiot jej szczególnej troskliwości i dumy. Owoc ich zielony jeszcze, niewielki, wymaga kilku miesięcy do zupełnego dojrzenia. Prosi Wrońskiego, żeby sobie wybrał najpiękniejszą i najokazalszą z młodych dyń — potem na tej dyni, wyjętą z włosów szpilką, wykuwa jego cyfrę i datę.

— Po wakacjach, niech pan Edzio po swoją dynię przyjdzie. Będzie wówczas o!... taka... — pokazuje, ręce szeroko rozkładając — a żółciutka jak złoto dukatowe...

Nazywa Wrońskiego „panem Edziem”, dotąd zaś mówiła mu wprost: — „Edziu”...

Chłopcy zapominają na chwilę o powadze potrzebnej „laureatom” i zaczynają biegać po ogródku, jak rozhasane na łące źrebce. Potem Kucharzewski chwyta Wrońskiego na rękę i obnosi dokoła, okrywając pocałunkami.

A pani Kucharzewska patrząc na to, uśmiecha się i lzy ociera.

...Spełniła się przepowiednia profesora Luceńskiego i życzenie księdza prefekta.

Dawid uciął Goliatowi głowę — a potem mu ją na powrót przyprawił.

IX. „Stancje”

Więcej niż połowa uczniów szkoły P-skiej pochodzi ze wsi. Są to synowie obywateli ziemskich, dzierżawców, oficjalistów i drobnej, zagonowej szlachty. Włościanie jeszcze nie odważają się posyłać dzieci do szkół — jednak już o tym niejeden przemyśliwa.

Przybysze ze wsi na czas nauki szkolnej zamieszkują przy rodzinach mieszczańskich, czyli — jak się mówi powszechnie — „stoją na stancji”.

Stancje w P. są urządzone patriarchalnie, w sposób niewiele zapewne zmieniony od czasów jezuickich. Wszystkie znajdują się pod ścisłą kontrolą zwierzchności szkolnej;

bardziej zaludnione posiadają nadto swego „dozorcę”, wybieranego spośród uczniów najstarszych, piątoklasistów.

Opieką nad uczniami, czyli według utartego wyrażenia, „trzymaniem uczniów na stacji” zajmują się przeważnie wdowy niezamożne. Mała ilość chłopców, synów bogatszych obywateli, mieszka u profesorów. Ci chłopcy odznaczają się przyzwoitym wyglądem i statecznością, uczą się dobrze i dostają promocję — ale na ich twarzach maluje się zawsze nuda.

Inni za to, choć im często brakuje guzika u mundurka, choć daszki słabo trzymają się ich czapek, a czupryny wyrastają do zabronionej regulaminem szkolnym długości — są weseli, pełni życia i prawdziwie chłopięcego animuszu.

Całą połąć ulicy Benedyktyńskiej wprost ogrodu, klasztoru i gmachu szkolnego zajmują małe, drewniane, parterowe domki, w których mieszczą się stacje. Nie brak stacji i w innych stronach miasta, tu wszakże jest ich główne ognisko.

Dwojakie są warunki, na których przyjmuje się uczniów na stację. Różnice między nimi wyraźnie określają wyrażenia: „z wiktem” i „bez wikt”, albo: „na własnym wikcie”.

Kategoria pierwsza otrzymuje od „gospodyni” wszystko: mieszkanie, jedzenie, opranie, opiekę macierzyńską i dozór nad nauką.

Kategoria druga wyłącza z tej listy jedzenie, Pozycję nadzwyczaj ważną, pierwszorzędną.

Chłopcy na „własnym wikcie” przywożą ze sobą ze wsi worki kaszy, mąki i grochu, półcie słoniny oraz wielkie bochny chleba razowego. To wszystko oddają „pod rachunkiem” gospodyni, lub też trzymają we własnych, zamkniętych skrzyniach, wydzielając codziennie tyle tylko, ile potrzeba na śniadanie, obiad i wieczerzę.

O herbacie, kawie, kakao, czekoladzie i tym podobnych „babskich” wykwiatach na zwykłej stacji nie słyhać. Rano pija się tam żur — latem zimny, w zimie gorący; intermezza między obiadem i wieczerzą wypełnia się — razowcem.

Każdy z uczniów stojący na stacji posiada tak zwaną „skrzynkę”. Jest to kufer drewniany, na kłódkę zamykany, u dołu węższy niż u góry, z wiekiem wypukłym, półokrągłym. Ten sprzęt, kupowany zwykle na jarmarku, odznacza się odrębnym miejscowym stylem, uwydatniającym się najbardziej w zdobiącym go malowaniu.

„Skrzynki” bywają stale: albo barwy ceglanej z żółtymi i zielonymi kwiatami, albo zielonej z kwiatami czerwonymi. Trzeba mieć zdrowe oczy i krzepkie nerwy, żeby się bezkarnie w to malowidło wpatrywać. Są tacy, co od tego bólu zębów dostają...

Niewiele miejsca zajmują w skrzynce: odzież, bielizna i książki; główną jej zawartość stanowią – wiktuały. Zwykle zapas tych wiktuałów w ciągu roku szkolnego odnawia się trzykrotnie: po wakacjach, po Bożym Narodzeniu i po Wielkanocy. Nic też dziwnego, że przy końcu kwartału właściciele skrzynek do dzielenia swego chleba i sera używać muszą już nie noży i scyzoryków, lecz – siekiery.

Zanim wiejski „knot” pozna doskonalsze, duchowe rozkosze, jakie daje nauka, czytanie książek, rozmowa z kolegami itp., najprzyjemniejszym dla niego czasem jest ten, który spędza przy otwartej skrzynce. Gdy jest samolub, czyni to wówczas dopiero, gdy towarzysze zasną; w przeciwnym razie nie tylko od towarzystwa nie ucieka, lecz owszem sam się o nie stara.

Na początku każdego kwartału można słyszeć umawiających się chłopców:

– Dziś idziemy do Mieszka. Ma szynkę i placek.

– To nic – ale Wicek przywiózł baumkucha!

– Nie powąchasz go. Wicek skąpiec!

– Zapraszam was na babkę puchową.

– A ja na zimną cielecinę.

– Te, Pietrek! Podobno masz ser z kminkiem?

– A bo co?

– Może się zamienisz? Dam ci miodu.

– Przynieś – zobaczę.

Przy otwartych skrzynkach rodzą się najczulsze afekty, zawiązują najtrwalsze przyjaźnie. Na wędkę wiejskich przysmaków dają się łowić nawet Katonowie szkolni. Niezlomny Żebrowski, syn nauczyciela historii, ogryzając udo pieczonego indyka, ofiarowane mu przez kolegę Szymczaka, mówi z błyszczącymi od tłuszczu policzkami:

– Co do chronologii, to już ty się, głupi, nie bój! Jak cię fater wyrwie, patrz tylko na mnie: każdą datę na palcach ci pokażę.

– A ostatni stopień w katalogu widziałeś?

– Widziałem. Postawił ci fatrowski tróję z minusem.

– O rety! To tyleż co dwójka. Że też to tego diabłego minusa skasować nie można!

Żebrowski sięgając po świeżo ukrajany łom wybornej babki waniliowej, mruży filuternie oko...

– Ehe!... A od czego guma?...

Jednak na stancjach zajmują się nie tylko opróżnianiem zapasów skrzynkowych.

Oto na przykład ostatni miesiąc roku szkolnego, pora przedegzaminowa, uroczysta, przejmująca wszystkich powagą i strachem.

Zajrzyjmy do którejkolwiek liczniejszej stacji — ot, choćby do tej w Rynku, utrzymywanej przez panią Pórzycką, osobę okazałej tuszy, z policzkami kwitnącymi zdrowiem, które zdaje się udzielać sympatycznie i pupilom jej, dobrze odżywianym, wesołym i zawsze gotowym do figlów i bójki.

Pani Pórzycka mieszka w domu małym, bardzo małym, zupełnie do jej figury niedopasowanym. Trudno zrozumieć, jak w tych kilku niskich, w ziemię zasuniętych izdebkach może pomieścić się z tyloma „żbikami”, nie licząc dwóch siostr, jednej siostrzenicy, jednej dziewczki służebnej i całego stada kur, spijających w sieni, w kuchni, po trosze także we wszystkich bez wyjątku izbach. Zdaje się, że wytłumaczenie tego cudu mieści się w dwóch właściwościach jej charakteru: jest wyrozumiała na wybryki młodości i — nie żałuje swym pensjonariuszom „wiktu”.

Jednak w to gorące, czerwcowe popołudnie najwyrozumialszym nawet stało się zbyt ciasno i duszno. Zabrali książki i wylegli na podwórko oraz do małego warzywnego ogródka.

Powietrze jest pełne zapachu brzoź i czeremchy, brzęku komarów i muszek. Nad małym podwórkiem wisi olbrzymia, bezdenna otchłań czystego jak kryształ błękitu. Zdaje się, że z nieba i ziemi, z dalekich pól, łąk i borów płyną głosy wzywające do odpoczynku, do marzeń, do nasycania się niezrównanymi czarami wiosny i młodości...

Chłopcy rozłożyli książki, uszy zakryli dłońmi i krzyczą na całe gardło, jakby chcieli owe głosy kuszące zakrzyczeć.

Zakrzykują wiosnę i zakrzykują nawzajem siebie samych.

Jeden siedzi na niskim daszku obórki; drugi na przystawionej do ściany drabince; trzeci urządził sobie siedzenie między uschłymi konarami starej jabłoni; czwarty wlaźł na górkę stajenną, położył się z książką na sianie, głowę dymnikiem wychyla; piątego lichy zaniósł aż na dach domku — co prawda, parterowego tylko — gdzie zucha udaje, choć mu dym z komina kręci w nosie jak tabaka.

Żadna z dam nerwowych nie wytrzymałaby w tym wrzasku ani minuty. Niczym cheder, ani gęsiarnia. Ale pani Pórzycka stoi przy obórce ze spokojną, wypogodzoną, uśmiechniętą twarzą, pilnuje dziewczki dojącej krowę i wydaje polecenia dotyczące podwieczorku.

Nad jej głową, na kształt kartaczów, przelatują urywane, krzyżujące się zdania:

– Meklemburg-Strelitz, miasto stołeczne Strelitz!... Meklemburg-Szwerin, miasto stołeczne Szwerin!... Hessen-Darmstadt... Sachsen-Weimar!... Badeński!... Toskańskie!...

– Siedm krów chudych pożarło siedm krów tłustych!... Siedm krów tłustych pożarło siedm krów chudych!... Siedm krów chudych!... Siedm krów tłustych!...

– Nominativ: das Buch... das Buch... das Buch... Genitiv: des Büches... des Büches... des Büches... Dativ...

Szymczak, kołysząc się na gałęziach, wykuwa monotonnym głosem historię powszechną – opuszczając daty, na zasadzie konwencji zawartej z Żebrowskim.

Nad tym całym chórem panuje przenikliwy dyszkant Gembarzewskiego, który na szczycie dachu, w sąsiedztwie komina, skanduje bajkę Fedra:

– Ad rivum eundem Lupus et Agnus venerant...

Przeróżne dziwy z tą bajką wyprawia. To ją śpiewa na nutę krakowiaka, to deklamuje tonem na przemian: groźnym, błagalnym, wesołym, jęczącym... Wyrazy najfantastyczniej przerywa, a potem wiąże ze sobą...

– Ad-ri-vum-e.. ad-ri-vum-e... Un-dem-lu... un-dem-lu... Pus-et-a... pus-et-a... Gnus-ve-ne... gnus-ve ne... Rrrant! rrrant!... rrrant!

Stancje znajdują się pod nadzorem zwierzchności szkolnej. Co pewien czas, to ten, to inny z nauczycieli zachodzą tam, aby sprawdzić: czy wszystko w porządku. Wszelkie dostrzeżone uchybienia są zapisywane do specjalnej „księgi wizyt”, którą następnie ogląda i poświadcza inspektor.

Znaczniejsza ilość złych świadectw może spowodować zamknięcie stancji i odebranie prawa utrzymywania uczniów.

Do przestępstw najbardziej zawzięcie tropionych i najsurowiej karanych należy picie trunków i palenie tytoniu. Do mniej ciężkich: przebywanie poza stancją w czasie przeznaczonym na uczenie się lekcji. Do tolerowanych: przewracanie koziółków na pościeli i granie w piłkę.

Starsi uczniowie, golący się scyzorykiem i używający pomady „topolowej”, lubią czasem w ukryciu wypić kieliszek likieru i zaciągnąć się dymem tytoniowym. Czynią to głównie dla stwierdzenia swej dojrzałości, w którą świat jakoś nie bardzo chce uwierzyć...

Te dwie rzekome przyjemności są w gruncie rzeczy dwiema obrzydliwościami. Jeśli chłopcy ubiegają się za nimi, to podobno dlatego tylko, że należą do zabronionych.

Trudno uwierzyć, żeby komuś, mającemu normalne zmysły, mogła zasmakować zwyczajna gorzałka, zaprawiona sokiem z buraków i melasą, albo żeby z upodobaniem wciągał w siebie dym gryzący z mocnego, ordynarnego tytoniu, zawiniętego w gruby papier, wydarty z brulionu.

Gdyby inspektor zamiast sadzać tych uczniów do kozy, kazał im za karę pić ów likier i palić owe papierosy, uciekaliby z pewnością przed jednym i drugim, jak pies przed kijem. Ale że to był owoc zakazany, więc go spożywali łakomie, choć im niesmak usta wykrzywiało.

Cały dowcip chłopców wysiła się na to, żeby dozorca szkolnemu nie dać się przyłapać na gorącym uczynku. Zwykle, gdy kieliszek i tytoń pojawiają się na stole, przed bramą któryś z młodszych uczniów stoi „na pikiecie”.

Jednak te środki ostrożności nie zawsze pomagają. Są nauczyciele, co podejść się nie dadzą; są inni, którzy sami posługują się podejściem.

Najtrudniej uniknąć śledczych pościgów Salamonowicza, nauczyciela matematyki.

Ten niewielki człowieczek umie najprzebieglejszych wyprowadzić w pole.

„Pikieta” alarmuje na przykład obóz krzykiem:

— Salamon idzie!

W mgnieniu oka nikną papierosy i przysmaki — wszyscy w skupieniu ducha kiwają się nad otwartymi książkami.

„Pikieta” wraca na stanowisko.

Po kilku chwilach nowa uspokajająca wiadomość:

— Salamon minął bramę — poszedł w rynek — skręcił na Warszawską...

Niebezpieczeństwo zażegnane. Sok buraczany z melasą i gryzący „drajkenig” w bibule tryumfalne na stół wracają. „Pikiety” ściągnięte, obóz oddaje się swobodnej, niczym nie krępowanej zabawie.

Nagle drzwi otwierają się cichuteńko — we drzwiach staje niewielka postać w czapce z gwiazdką, w krótkim, niewielkim płaszczku, zwanym „ponszo”, bez wąsów i brody, z siwiejącymi faworytami.

Postać wykonywa ruch, wyrażający razem: przerażenie i zawstydzenie i mówi łagodnym, śpiewnym głosem:

— Ooo!... nie można!

Chłopcy stają wyprostowani, usiłując zasłonić sobą dowody przestępstwa. Zanim nauczyciel zdążył zdjąć czapkę i rozpiąć „ponszo”, już papierosy w towarzystwie kieliszka powędrowały przez otwarte okno do ogródka.

— Nie można... nie można... — powtarza Salamonowicz, kręcąc się po pokoju.

— Co takiego, panie psorze? — pyta najspokojniej w świecie Szymczak.

— Lekceważenie przepisów... ruina zdrowia... bezceństwo!... Nie można... stanowczo nie można.

— Czego pan psor od nas chce? Myśmy nic złego nie robili!

— Nic złego?... Ha, ha!... A to co?

Wysuwa długi nos, zaczyna wciągać powietrze. Uczniowie idą za jego przykładem. Przez chwilę odbywa się ogólne węszenie.

— Dym... co?... Dym! A wy mówicie: nic złego... Ha, ha, ha!...

Śmieje się krótkim, urywanym, pełnym wewnętrznego zadowolenia śmiechem. Siada przy stole, ręce zaciera.

— Proszę cię, kochaneczku — zwraca się do Szymczaka — podaj mi z łaski swej „księgę”...

— Księga u gospodyni.

— Pofatyguj się, chłoptysiu, do pani Pórzyckiej, powiedz, że pan „nadzorca” kłania się pięknie i o „księgę” prosi.

Najstarszy z uczniów, Łaguna, występuje na środek.

— O cóż pan psor posądza?

— Paliliście... A to nie można... nie można...

— I cóż to paliliśmy podług pana profesora?

— Ooo!... to już bagatela. Może gelb wirginien... może „drajkenig”... może „turecki mocny”...

Łaguna przybiera minę obrażonej niewinności.

— Pan profesor jest w błędzie. Myśmy palili — trociczki.

Wchodzi pani Pórzycka — uśmiechnięta, dygająca.

— A, pan prefesor... Jakie szczęście!

— Witam kochaną panią i — proszę o książeczkę!... Będę miał przyjemność zapisać małam notam...

— Święty Pafnucy!... A cóż to się stało?

— Chłopcy palili... Tak nie można... I to już po raz drugi... Kochana pani Pórzycka otrzyma wezwanie do inspektora. Stancja może być zamknięta...

— Agnieszka! Nakryj no w ogródku — tu zaduch... Pan prefesor pozwoli na poziomki ze śmietaną...

Posuwa się ku maleńkiemu nauczycielowi i swą olbrzymią postacią prawie wypycha go z pokoju.

— Ależ nie można... nie można... — mówi Salamonowicz, cofając się tyłem przed otyłą niewiastą. — Lekceważenie przepisów... ruina zdrowia... przy tym po raz drugi...

W ogródku zasadziwszy nauczyciela do salaterki z poziomkami, pani Pórzycka objaśnia jakby tylko nawiasem:

— A wedle owego dymu... to pan profesor „powsiadł” na tych biedaków przez nijakiej racji... Piec u mnie dymi i swąd do uczniowskiej izby zalatuje — a panu profesorowi Bóg wie co się wydało...

— Swąd?... Łaguna powiedział, że — trociczki.

— Eeee... to tylko tak bez delikatność!

Burza zdaje się zażegnana. Ale nauczyciel zachowuje się dziwnie niespokojnie. Można by sądzić, że o wiele więcej od poziomek i śmietany, zajmują go... chwasty rosnące w ogródku.

Tym chwastom przygląda się długo, długo...

Nagle wstaje, wydobywa chustkę, ociera spocone czoło, postępuje kilka kroków, chustkę upuszcza, podnosi ją i pośpiesznie chowa do kieszeni.

Po chwili najuprzejmiej dziękuje za poziomki i najśłodziej prosi o „księgę wizyt”. Musi w niej, według zwyczaju, ślad bytności swej pozostawić. Czyni to szybko, księgę zamyka i na dygania pani Pórzyckiej odpowiadając najuniżeńszymi ukłonami, z pośpiechem stancję opuszcza.

Po jego odejściu pozostali odczytują świadectwo tej treści:

„Podczas dzisiejszej wizyty odkryłem karygodne nieporządki. Starsi uczniowie palili tytoń i pili słodką wódkę. Corpora delicti pod postacią nadtłuczonego kieliszka od wódki i niedopałków papierosowych, wydobywszy z pokrzyw, gdzie były podstępnie ukryte, zabrałem ze sobą. Lekceważenie przepisów i ruina zdrowia na stacji wielmożnej pani Pórzyckiej dochodzą do granic niemożliwych. Władza będzie wiedziała, jak z tym postąpić”.

„Nieporządki” nie na wszystkich stancjach panują.

Jedna z nich stała się głośna stąd, że wychowuje niemal zawodowo kandydatów na księży.

Panuje tam zawsze cisza klasztorna; gospodyni jest tercjarką; z każdych drzwi wyziera obrazek Matki Boskiej, przy każdym wyjściu wisi naczynie z wodą święconą.

W każde święto uczniowie wraz z domownikami odczytują głośno żywoty świętych i śpiewają pieśni nabożne.

Uczniowie, opuszczający tę stancję, prawie zawsze wstępują do seminarium.

Inne stancje mają nastrój artystyczny. Słychać tam zawsze gamy i „egzercycje”, wygrywane na fortepianie, skrzypcach i flecie — niekiedy na wszystkich instrumentach razem. Często tam gościem jest profesor Effenberger, którego energiczne „raz, dwa!... raz, dwa”!... w letnie wieczory, przy oknie otwartym, rozlega się donośnie po pustej uliczce.

Stancji, na których by w szerszym zakresie zajmowano się czytaniem książek, literaturą, nauką, w miasteczku nie ma. Mały tam jest jeszcze dostęp i wpływ słowa drukowanego.

Gazety czytają tylko osoby starsze i to w liczbie bardzo ograniczonej. Między młodzieżą krążą w nielicznych, podartych, wyłuszczonych, zdefektowanych egzemplarzach tłumaczone powieści Aleksandra Dumas, Eugeniusza Sue i — Pawła de Kock.

Za to w każdej bez wyjątku stancji codziennie o szarej godzinie drżą ściany i brzęczą szyby od wrzaskliwego chóru:

Pijmy zdrowie Mickiewicza!

On nam słodkich chwil użył!...

X. Kąpiele i katastrofy

Gdyby mieszkańcowi P. powiedział kto, że są miasta pozbawione rzek, leżące nad wąskimi, błotnistymi strugami, lub nawet zmuszone czerpać wodę wyłącznie ze studzien — nie uwierzyłby; uwierzywszy zaś — przeraziłby się.

Czy można żyć bez sąsiedztwa rzeki? Nie widzieć wspaniałych zachodów słońca, odbijających się w wodzie; nie słyszeć rytmicznego plusku fal; nie czuć tchnień świeżych, idących od chłodnej toni; nie móc pływać łodzią, kąpać się o każdej porze dnia, rzucać na fale wianków i gonić wzrokiem za odpływającymi, aż w dali błękitnej przepadną — ach! To okropne!

Mieszkańcom P. nie braknie wody. Narew dwiema odnogami, niby dwojgiem ramion, do uścisku wyciągniętych, opasuje i oplata miasteczko. Rzeka obmywa mury starego zamku i miejskie ogrody; wrzyna się w cichą, do przechadzek służącą ulicę, aby

utworzyć przystań spokojną dla berlinek; przepływa środkiem miasta, przegradzając falą, a łącząc mostami dwie jego dzielnice; obraca koła młyńskie, dźwiga prom, unosi rybackie łodzie i czółenka.

Obecność rzeki czuje się nieustannie, nawet gdy się jej nie widzi. Któż to, jeśli nie ona w chłodne ranki i wieczory, nawiewa na miasteczko mlecznobiałe i opalowe mgły; gdzież, jeśli nie w płytkich jej zatoczkach, nocami wiosennymi rechoczą żaby tak głośno, że spracowanym mieszczuchom spać nie dają; skądże, jeśli nie z jej nurtów pochodzi to mnóstwo ryb, którymi w dniu piątkowe zasypane są wszystkie targi!

W tych warunkach, jakże tu mogą nie kwitnąć wodne sporty, rybołówstwo, wioślarstwo, kąpiele. Uczniowie oddają się im ze szczególną namiętnością — poświęcając, zwłaszcza kąpielom, wszystkie wykradzione nauce chwile.

Kąpią się po trosze wszędzie, jak kaczki — w dwóch wszakże miejscach pluszczą się ze szczególnym upodobaniem: w bliskości młynów, gdzie woda posiada pożądaną głębokość, oraz na Kępie Wierzbinowej, gdzie drzewa dają cień przyjemny i gdzie są duże ławice piasku, na których w upał, po wyjściu z kąpiele, można się wygrzewać na słońcu na podobieństwo jaszczurek.

Rej tu wodzi Kucharzewski, pierwszorzędny pływak, odważny do bohaterstwa, śmiały, nieustraszony. Jego popisy nieraz dreszcz i grozę budzą w patrzących...

Wszyscy, co wspólnie z Kucharzewskim nosili w P. niebieskie mundurki, zachowali niezawodnie w pamięci jego słynny „skok śmiertelny” (salto mortale) z koła młyńskiego.

Woda przy młynie jest bardzo głęboka. Mówią, że gdyby ustawić dziesięciu Kucharzewskich, jednego na drugim, jeszcze by stojący na szczycie nie sięgnął powierzchni wody. Rybacy nazywają to miejsce „kotliną” — i w istocie zawsze się tam woda kotłuje, nawet przy spokojnym zupełnie powietrzu.

Każdy zwykły pływak omija kotlinę z daleka — od czasu zwłaszcza, gdy kozak, pławiący konia, utonął w niej wraz z wierzchowcem. Ale co innych odstrasza, Kucharzewskiego pociąga. Silny, atletycznie zbudowany, nie tylko nie ucieka przed niebezpieczeństwem, lecz sam idzie naprzeciw niemu.

Aby zrozumieć dobrze, na czym „skok” Kucharzewskiego polega, trzeba uprzytomnić sobie kilka szczegółów.

Na osi koła młyńskiego są osadzone drewniane, z desek niezbyt szerokich, skrzydła, zwane w młynarsko-rybackiej gwarze „pierzydłami”. Przez napór wody „pierzydła”

podnoszą się w górę i wykonywają nieustanne, powolne obroty naokoło osi. Rozbijana nimi woda pieni się, tworząc silne bałwany i lejkowate wiry.

Gdy młyn w ruchu, w pobliżu jego koła szumi, wre i białą pianą bryzga istna otchłań wodna.

Otóż Kucharzewski po wejściu do wody, lekko, swobodnie, jednym tylko ramieniem fale rozgarniając, zmierza ku owej otchłani.

Przez pewien czas widać go, jak zalewany pianą walczy z wirami i prądem gwałtownym, zwyciężył wreszcie przeszkody, pod obracające się koło podpłynął. Lewym ramieniem i lewą nogą wykonywa ruchy, utrzymujące go na powierzchni — prawą ręką sięga po „pierzydło”.

Przypatrujący mu się z brzegu milkną i oddychać przestają. Zdaje im się, że są świadkami walki człowieka ze smokiem.

Raz, drugi i dziesiąty, mokra, wodnymi porostami oślizgła deska z dłoni mu się wymyka. Widzowie chcieliby, żeby dalszych wysiłków zaniechał — żeby wszystkiemu dał spokój. Ale on nie jest z tych, którzy ustępują.

Oto wreszcie udało mu się deskę pochwycić. Przypiął do niej jedną rękę, potem drugą. Widać mięśnie jego silnie naprężone, żyły na skroniach i szyi nabrzmiące, twarz szkarłatną...

Przez chwilę sądzić można, że koło zatrzymał — ale to złudzenie. On tylko wskoczył na „pierzydło” i siadł na nim skulony jak żaba.

W tej chwili wydaje się małym, marnym. Na tle potężnego koła, wśród spienionych, kipiących, strasznych fal, ta niewielka bryłka barwy cielistej przedstawia się jak coś znikomego, słabego, co tylko wypadkiem przyczepiło się do olbrzyma i z czego olbrzym natychmiast się otrząśnie...

Nie otrząsa się jednak.

Deska, wodą ociekająca, wynurza się z fal i idzie z wolna w górę, unosząc na sobie przyrosłego do niej chłopca.

Kucharzewski, w miarę podnoszenia się „pierzydła”, prostuje się stopniowo, starając się wygiętymi stopami trzymać jak najkrzepiej śliskiego drzewa.

Patrzącym serca zamiera na widok niebezpieczeństwa, jakie mu w tej chwili zagraża.

Gdyby poślizgnęła mu się stopa, gdyby na chwilę stracił równowagę — już po nim! Obracające się koło zdruzgotałoby mu kości, zanim by jeszcze zdążył wpaść do wody.

Im wyżej wznosi się deska, tym bardziej prostopadle przybiera położenie. Trzeba prawdziwych cudów ekwilibrystyki, żeby się na niej utrzymać.

Kucharzewski już się cały rozkurczył — już tylko w pasie zgięty — już wyprostował się na całą wysokość — już gotuje się do skoku...

Ręce złożył nad głową, w klin, i wyprężony jak cięciwa, przesuwał ostrożnie stopy na samą krawędź „pierzydła” — czeka. Czeką aż deska dojdzie do największej wysokości, aż stanie zupełnie prostopadle.

Stanęła — w tejże chwili on rzuca się w przepaść głową naprzód, rozbija zapienioną, wirującą powierzchnię wody — znika.

Koło młyńskie dalej się obraca, rozbita na chwilę piana znów zbiera się na falach, lejkowate wiry zaczynają na nowo kręcić się, szumieć, kipieć — pływaka ani śladu...

Na brzegu odzywają się niespokojne, przelękłe głosy:

— Gdzie Kucharzewski?... — Co się stało z Kucharzewskim?... — Niestety! Niestety!...

Nagle głośny krzyk przygłusza lamenty:

— Wypłynął!... Wypłynął!... O... tam, pod wierzbami... Widzicie?

W odległości kilkudziesięciu kroków od młyna, gdzie odnoga rozszerza się, mając jeden z brzegów zarosły wierzbina — wychyliła się z wody najpierw głowa, potem pierś, wreszcie cała postać pływaka.

Ocieka wodą jak tryton, rzuca głową, parska, i szybko dopłynawszy do brzegu, w kilku susach jest już przy płocie, gdzie wisi jego ubranie. Siny, szczękający zębami, nie słucha pochwał, nie odpowiada na pytania.

W kilka sekund ubrał się i nie odpoczywając, pędzi do matki — na gorącą kawę ze śmietanką i rogalikami.

Jest to jego wieniec wawrzynowy — ciężkim, śmiertelnym wysiłkiem zdobyty!

Szkoda, że świadkami popisów Kucharzewskiego bywają tylko jego koledzy. Gdyby je widział ktoś starszy, poważniejszy, pewnie by „mistrza” osypał pochwałami, udzielił mu zasłużonej nagrody, a zarazem — postarałby się, żeby już nigdy, nigdy nie powtórzyły się te skoki.

Matka Kucharzewskiego nie ma nikogo na świecie prócz swego jedynaka — który jest jej całą pociechą na dziś, całą nadzieją na jutro...

W letnie wieczory w Narwi i jej odnogach ani jedna ryba nie cieszy się spokojem. Gromady chłopców kąpiących się zewsząd ją wypłaszają krzykiem, śmiechami, pluskaniem...

Mistrza równego Kucharzewskiemu nie ma pomiędzy nimi — są jednak adepci, uzdolnieni to w tym, to w owym kierunku.

Jeden umie pływać w pozycji stojącej, w czapce na głowie, na którą nie prysnie ani jedną kropelką wody; inny pływa, leżąc na wznak i paląc przez cały czas papierosa. Jest taki, który potrafi przepłynąć trzykrotnie rzekę w miejscu jej największej szerokości; nie brak i takiego, który wrzuciwszy do głębin spory kamień, potem dawszy nurka, znajdzie go na dnie i z wody wyniesie.

Są artyści, ale są też i niedołęgi, których tamci nazywają wzgardliwie „fuszerami” lub „partaczami”.

Pocziwy tłuściosek Piotruś Mieszkowski należy, niestety, do ostatnich.

Ileż napracował się nad nim przyjaciel Kozłowski! — A jednak dotąd pływać go nie nauczył. Okrągły, pulchniutki Piotruś unosiłby się sam, bez żadnego wysiłku na powierzchni wody, jak jabłko, gdyby tylko miał odwagę powierzyć się falom z ufnością — na nieszczęście, na tej odwadze całkowicie mu zbywa.

Gdy tylko czuje, że mu woda sięga powyżej kolan, zaczyna płakać, w przekonaniu, że już tonie. Kozioł, który nienawidzi tchórzów, zżyma się na to, niecierpliwi i gotów by nawet poczęstować „zmokłą kurę” kuksańcem — powstrzymuje go tylko pamięć na ślubowaną „zmokłej kurze” przyjaźń.

Po długich, bardzo długich staraniach, doszedł do tego tylko, że nauczył Piotrusia pływać z pęcherzami pod pachą. Pęcherze zabezpieczają najzupełniej od pójścia na dno. Trzeba tylko spokojnie na nich leżeć, poruszając tylko od czasu do czasu rękoma i nogami.

Ale Piotruś, nawet pod ochroną pęcherzów, nie pozbywa się strachu i odważa się używać tylko tam, gdzie może każdej chwili dostać piętą gruntu.

Pewnego dnia lekcja pływania odbywała się w pobliżu mostu benedyktyńskiego. Kozłowski stał na moście dyrygując; Piotruś z nieodstępnymi pęcherzami udawał, że pływa.

Woda przy brzegu była płytka, dzięki czemu używały w tym miejscu kąpieli nawet małe dzieci; dalej jednak pogłębiała się stopniowo, a na środku były nawet niebezpieczne głębiny. Nauka szła żwawo; Piotruś okazywał mniej, niż zwykle, strachu. Kozioł z mostu komenderował, tłuściosek starał się posłusznie rozkazy wypełniać.

— Krok naprzód... pół kroku w lewo... — idzie z mostu komenda — głowa do góry... usta zamknąć... oddychać nosem... Teraz piętami ostro: raz, dwa... raz, dwa...

Piotruś posuwa się, gdzie mu kazano, zamyka usta, nosem oddycha, wierzga piętami, ile ma siły. Nie zaniedbuje przy tym macać gruntu stopą.

— Jeszcze krok w lewo i — całą siłą naprzód!

Chłopczyna chce usłuchać rozkazu, choć go to „naprzód” przeraża — ale w tejże chwili uczuwa, że mu dno spod stopy uciekło. W największym przerażeniu zaczyna krzyżeć, płakać i rzucać się. Wskutek gwałtownych ruchów, pęcherze wysuwają mu się spod pachy — Piotruś znika pod wodą.

Szybko, jak błyskawica, Kozłowski przesadza poręcz mostu i jak stał, w mundurze i czapce, rzuca się do wody.

Doskonały pływak, łatwo poradziłby sobie z niebezpieczeństwem, ale przeszkadza mu ubranie, silne zaś prądy przy palach unoszą go w stronę przeciwną. Z trudem posuwa się naprzód, płynąc przeciw wodzie i upatruje na falach głowy przyjaciela. Ale Piotruś, raz pogrążywszy się, nie wypływa; może zaplątał się w zielskach wodnych, które w tym miejscu dno zarastają...

Wypadek był tak nagły, że nie zwrócił nawet niczyjej uwagi. Zresztą przechodniów zawsze tu mało.

Kozłowski zanurzył się raz i drugi, a choć sił mu braknie, nie przestaje nurkować, szukając przyjaciela.

Wreszcie głowa Piotrusia ukazała się w znacznym oddaleniu. Kozłowski śpieszy tam, ostatek sił wyężdżając. W tej chwili jednak chwyta go kurcz — czuje, że idzie na dno i z krzykiem „ratujcie! ratujcie!”, pogrąża się w falach...

Dopiero ten krzyk usłyszano. Ludzie zbiegają się, podnoszą lament — nikt jednak tonącym chłopcom nie śpieszy z pomocą.

Nagle czyjeś silne ręce roztrącają tłum — na brzegu staje wysoki, krzepkiej budowy młodzieniec w niebieskim mundurku.

Kucharzewski.

W jednej chwili zrzucił mundur, buty — już jest w wodzie — zanurzył się z głową — nurkuje.

Nie upłynęły dwie, trzy minuty, już jest na wierzchu i płynie ku brzegowi, jedną ręką rozgarniając wodę, drugą podtrzymując nieprzytomnego Piotrusia.

Złożył chłopca na brzegu, otrząsnął się, przeżegnał — i znów: chlust do wody!

Tym razem szło mu ciężiej. To wypływa, to zanurza się, daje się unosić fali, lub walczy z nią zajadle. Nagle pogrążył się w przepaść — zniknął...

Między tłumem na brzegu długa chwila tragicznej, grobowej ciszy — potem buchnęły krzyki:

— Czólna!... Wioseł!... Bosaków!... Ratujcie, kto w Boga wierzy!

Znalazło się jedno i drugie czółno; wypłynęły na środek, zaczęły gorączkowo krążyć to w tę, to w ową stronę, upatrując śladów na rzece. Ale rzeka była wszędzie, jak okiem zasięgnąć, rozpaczliwie gładka.

Dopiero po długiej chwili wynurzyła się z wody — ręka. Skierowali się tam, podsunęli wiosło. Ręka chwyciła je kurczowo. Zaczęli ciągnąć połączonymi siłami — z trudem nadzwyczajnym wciągnęli do łodzi dwóch chłopców, splecionych ze sobą tak silnie, że tworzyli jakby jedno ciało. Jeden dawał słabe oznaki życia, drugi zdawał się martwy. Obu oplatały długie, giętkie łodygi zielsk wodnych.

Po chwili, na piasku nadbrzeżnym leżeli obok siebie całkowicie nieprzytomni: Piotruś i Kozłowski.

Kucharzewski, wysadzony na ląd, zatoczył się i padł obok kolegów bez czucia.

Ale było to tylko przemijające omdlenie. Po chwili sam się ocknął i porwał na nogi.

Tymczasem topielców taczano po piasku; przywołany felczer udzielał im doraźnej pomocy.

Z wielkim trudem przywołano do życia najpierw Piotrusia, później jego przyjaciela. Zjawił się inspektor; z całego miasta zbiegły się niebieskie mundurki.

Ocaleni, na pół nieprzytomni, nie wiedzieli, co się z nimi dzieje. Kazano ich przenieść do domu i oddać pod nadzór lekarza.

Teraz dopiero wszyscy zwrócili się do Kucharzewskiego — bohatera i wybawcy. Ale nie było go w tłumie. Olbrzym, gdy tylko dostrzegł, że koledzy otworzyli oczy, kopnął się do matki na swą zwykłą gorącą kawę ze śmietanką i rogalikami.

Nazajutrz przyszedł do klasy, taki jak zawsze: spokojny, trochę ociężały.

Na lekcji religii wszedł inspektor i nie tracąc surowego wyrazu twarzy, w krótkich słowach, stylem urzędowym, opowiedział o wczorajszym wypadku. Skończywszy, wyzwał Kucharzewskiego i kładąc rękę na jego ramieniu, oddał mu krótką oficjalną pochwałę.

Olbrzym zdawał się tym bardzo zdziwiony.

— Przecież, panie inspektorze — bąkał, ramionami wzruszając — każdy na moim miejscu zrobiłby to samo.

Inspektor oświadczył, że zrobi urzędowe podanie, aby Kucharzewskiemu przyznano medal za ratowanie tonących.

— A mnie co po tym! — wykrzyknął przestraszony i wrywając się prawie siłą zwierzchnikowi, chciał uciec do ławki.

Powstrzymał go ksiądz prefekt.

— Ależ, rybko, panie święty! Dla twojej matki będzie to honor, pociecha...

Wspomnienie matki rozrzewniło siłacza.

— Ha, to już niech będzie ten tam medal!... Ale żeby to nie kosztowało... — dodał, oczy spuszczać. — Bo moja matka biedna.

W kilka dni później obie ofiary wypadku były już na nogach: Kozioł taki sam jak zawsze, Piotruś nieco szczuplejszy i bledszy.

Matka Piotrusia, którą sprowadzono ze wsi, chciała w najgorętszych słowach podziękować wybawcy swego syna. Okazało się to połączone z niemałymi trudnościami. Kucharzewski przed podziękowaniem uciekł i tak się ukrył, że żadną miarą nie można go było odnaleźć. Kozłowski na wszystkie wyrażenia wdzięczności odpowiadał spokojnie, czapkę w rękach obracając:

— Eeee!... Co tam, proszę pani. Nie ma o czym mówić!...

Potem, wzięwszy kolegę na bok, oświadczył mu energicznie:

— Twoja matka ubliża mi! Pamiętasz przecież, że wówczas, przy tym miodzie z orzechami, ślubowałem ci przyjaźń. Więc gdybym teraz porzucił cię w nieszczęściu, nie byłbym Kozłem, ale...

Tu wymienił nazwę pewnego zwierzęcia, nieodznaczającego się ani szlachetnością charakteru, ani czystością.

Mieszkańcy miasteczka, w pierwszej chwili żywo wzruszeni wypadkiem, później odczuwali go stopniowo coraz słabiej — wreszcie zupełnie o nim zapomnieli.

Ale przyszła katastrofa, która niezatartymi śladami odbiła się w ich pamięci. Dotąd ją niezawodnie wspominają.

Stało się to w środku zimy, zima zaś była w owym roku bardzo ostra.

Przed wieczorem pewnego dnia styczniowego, czterej uczniowie ślizgali się na zamrzniętej odnodze Narwi. Nagle dwaj z nich, przerywając zabawę, pobiegli pędem do miasta i wpadłszy do mieszkania urzędnika Grąbczewskiego, zaczęli krzyczeć wniebogłosy:

— Lutek i Władek!... Olaboga!... Lutek i Władek!

Nic więcej nie byli w stanie powiedzieć — łamali tylko ręce i zalewali się łzami.

Lutek i Władek byli to synowie Grąbczewskiego — jeden z drugiej klasy, drugi z trzeciej.

Rodzice zrozumieli od razu, że chłopcom przytrafiło się nieszczęście i pośpieszyli w towarzystwie tamtych na łód. Szczęściem mieszkali prawie nad samą rzeką.

Tu dowiedzieli się okropnej prawdy: synowie ich, jeden po drugim, wpadli do przerębla i dostali się pod lód.

Matka chciała się rzucić za dziećmi w przepaść. Ojciec, zrozpaczony, a nie tracący przytomności, myślał o środkach ratunku.

Niestety! Rzeka, jak okiem zasiągnąć, była pokryta jednolitą skorupą lodu, gdzieniegdzie tylko połyskiwały małe, do czerpania wody wyrąbane, przeręble.

Jęknął głucho biedny ojciec, dłońmi ścisnął czoło — zdawało się, że oszaleje...

Nagle wykrzyknął:

— Tam, przy moście, gdzie berlinki!...

I razem z ludźmi, którzy się na miejscu wypadku zgromadzili, puścił się jak strzała brzegiem rzeki.

W odległości blisko wiorstowej stamtąd, znajdował się most, przy moście przystań berlinek; przy berlinkach duża przestrzeń, oczyszczona z lodu.

W styczniu zmierzch szybko zapada. Gdy przybyli do mostu, już zaczynało się stawać szaro. Na szczęście, berliniarze, zręczni, inteligentni Niemcy, od razu rzecz zrozumieli.

W mgnieniu oka spuszczone łodzie, zapalono pochodnie — przy ich blasku kilkudziesięciu ludzi z bosakami zaczęło przeszukiwać rzekę.

Woda, wolno tocząca się pod lodem, powinna była w to miejsce przynieść ciała topielców.

I przyniosła.

Po śmiertelnie długich chwilach oczekiwania, wyciągnięto te biedne ciała nieruchome, skostniałe, do brył lodu podobne.

Ogromny tłum stał na brzegu, przypatrując się smutnemu widowisku. Całe miasteczko wyległo, przerażone katastrofą.

Tuż przy moście znajdowała się cukiernia z restauracją i bilardem. Do tej cukierni przeniesiono ciała topielców, rozebrano je, ułożono na zielonym suknie bilardu, niby na stole anatomicznym.

Przybyli lekarze, felczerzy; zaczęto stosować wszelkie środki ratunkowe.

Długo przeciągały się te wysiłki, nie dające żadnego wyniku. Zniechęceni lekarze mieli już prób zaniechać i oddać rodzicom nie synów, lecz ich zwłoki — gdy nagle starszy z chłopców rozemknął oczy i głosem cichym, jak szelest liści, szepnął:

— Gdzie Władek?...

Władek był to brat młodszy.

W tejże chwili oczy jego padły na leżące obok sztywne ciało... Poznał je — i zemdłał. Lekarze podwoili wysiłki. Zemdlonego ocucono. Ale natychmiast po ocuceniu przeniesiony został gdzie indziej. Na nowe zapytania o bracie dano mu odpowiedź uspokajającą, przykazując, żeby o nim nie myślał.

Chłopiec usnął... był ocalony!

Ale Władka, po najdłuższym nawet śnie, zobaczyć już nie miał...

Młodszy, słabszy chłopczyzna, który w dodatku o kilka minut dłużej pozostawał w wodzie, nie mógł już być przywołany do życia.

Śmierć jego przez długi czas ukrywano jak najstaranniej przed Lutkiem. Jednego dnia wszakże ten ostatni, przebudziwszy się wcześniej niż zwykle, przywołaj matkę i rzekł spokojnie:

— Wiem już wszystko o Władku...

— Co wiesz?... Skąd?... — wykrzyknęła matka, silnie zaniepokojona.

— Sam mi powiedział. Przed chwilą był u mnie, za szyję mnie objął, pocałował i oświadczył, że martwić się o niego nie potrzebuję, bo tam jest mu zupełnie dobrze...

Tegoż dnia Lutek po raz pierwszy podniósł się o własnej sile. Poszedł najpierw do kościoła, a stamtąd zaraz — na cmentarz...

XI. Dzień chrabąszczowy

Sprężycki siedzi w swoim pokoju przy otwartym oknie, książkę przed sobą rozłożył — męczy się nad jeografią.

Z publicznego ogrodu nadpływa zapach bzów, które tylko co zakwitły.

Słońce przed chwilą zaszło — pociąga miły, świeży wietrzyk, jakby wywołujący z czterech ścian pokoju na świat Boży, na szerokie, otwarte przestrzenie.

Od strony rzeki słyszeć jękliwe „kumkanie” żab. Co pewien czas, zagłusza je na chwilę rozgłośny tryl słowika, który prześpiewawszy kilka taktów, milknie, jakby tylko głosu próbował do wieczornego koncertu.

Niebo ma barwę złocisto-różową, która u samego zenitu rozblękitnia się, a na wschodzie szarzeje i przechodzi w srebrzystą popielatość.

Sprężycki, nadzwyczaj wrażliwy na barwy, głosy, zapachy, wszystko to dostrzega, odczuwa — wszystkim zachwyca się i przejmuje. W tym podnieceniu, nauka, zwykle przychodząca mu z łatwością, niesłychanie go nuży.

Przeciąga się, ziewa, odkłada książkę, znów ją bierze, czyta po cichu, czyta głośno — ale w pamięci nic mu nie pozostaje.

A tu, jak na złość, profesor Żebrowski kazał wyuczyć się na jutro nazwisk wszystkich stanów, składających Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Prawdziwe morze do wypicia!

Sprężycki czyta po raz pięćdziesiąty nerwowym, zirytowanym głosem:

— Nowy Hemszir, stolica Portsmut... Wermont, stolica Windsor... Massaczuzet, stolica Boston...

Zniecierpliwiony, zaczyna pędzić, krzycząc na cały głos:

— Rod-Island!... Konnektikut!... Nowy-Jork!... Nowy-Dżersej!... Pensylwania!... Delawar!... Maryland!... Wirdżinia!... Kentuki!... Teneze!... Karolina Północna!... Karolina Południowa!...

Ścisnął skronie obiema rękami.

— O, Jezu!... — jęczy — Głowa mi pęka... Ja tego nigdy nie zapamiętam... nigdy się nie nauczę!

Mimo to, znów wraca do książki — znów usiłuje wbić sobie w głowę nazwy, które wydają mu się niesłychane, barbarzyńskie, potworne...

Nagle w powietrzu rozlega się brzęk — cichutki, ledwie dosłyszalny brzęk, który jednak doświadczone ucho chłopca od razu złowiło i rozpoznało.

Odkłada książkę — ucho nadstawia. Na jego twarzy maluje się radosne zdziwienie.

Brzęk zbliżył się, uwyraźnił — jest teraz podobny do stłumionego huczenia.

Przez otwarte okno wpadł chrabąszcz, ciężkim lotem przefrunął tuż przy uchu chłopca — huczac głucho, krąży dokoła jego głowy.

Sprężycki nie chwyta go. Z czułością, prawie z rozrzewnieniem, wpatruje się w latającego — ręce doń wyciąga, jak do przyjaciela, jak do wybawcy...

Już się teraz jeografii nie lęka; już mu Żebrowski nie straszny.

Książkę odepchnął z lekceważeniem, zagwizdał — szuka czapki, żeby wybiec na podwórze, na rynek, wpaść do którejś stacji, umówić się z kolegami o dzień jutrzejszy.

Umowa zawarta, warunki obgadane — Sprężycki wraca do domu i kładzie się spać, mało się troszcząc o profesora Żebrowskiego i o Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Nazajutrz niebieskie mundurki kupią się gromadkami przed gmachem szkolnym, na korytarzach. U każdego w tece, oprócz książek, kajetów i obwarzanków, kryje się rzecz tajemnicza, o którą wzajemnie się dopytują.

— Przyniosłeś?

— Przyniosłem.

— Ile?

— Sześć?

— Mało... Ja dwanaście.

— Ja piętnaście!

— Ja dwadzieścia!

— Wiecie? Kataryniarz ma całe pudło — chce sprzedawać po sześć za bułkę.

— Niech się obędzie smakiem. Mogę mieć darmo, ile zechcę. Żeby mnie tylko wpuścili do ogrodu benedyktyńskiego.

— Ba, nie wpuszczą...

— To i cóż! Będzie dosyć tego, co jest!

Zaczęły się lekcje. Pierwsza — łacina. Profesor Izdebski, ceniący nad wszystko ciszę, ukazuje się we drzwiach, z podniesioną do góry ręką, w której dwóch palcach: wielkim i wskazującym trzyma szczyptę tabaki.

Wygłosiwszy swoje zwyczajne: „Bacność! uwaga!” Izdebski wśród najgłębszej ciszy przechodzi na palcach do katedry, na stoliku kładzie czapkę daszkiem do góry, w czapce umieszcza chustkę czerwoną, tabakierkę, katalog i — każe odmawiać modlitwę.

Klasa jest dziś spokojniejsza, niż kiedykolwiek. Chłopcy zgarbieni nad książkami i kajetami, zdają się prócz nich nic na świecie nie widzieć.

Profesor, dobrze usposobiony, postanawia być wspaniałomyślnym.

— Książki zamknijcie! — dyryguje z ręką wciąż podniesioną, jak u wodza naczelnego. — Korneliusza dziś nie będzie. Przypomnimy sobie rzeczy dawniejsze — ważne — bardzo ważne — najważniejsze...

Nauczyciel mówi przez nos, wolno, z przestankami. Szczyptą tabaki długo w powietrzu potrząsając, wciąga ją nareszcie do potężnego nosa. Zwraca się potem ku stolikowi i z wnętrza czapki wyciąga wielką, czerwoną, kraciastą chustkę.

— Będą „koniugacyjki”... — szepcą do siebie uczniowie, którzy już odgadli znaczenie tego wstępu.

Rzucają sobie zarazem porozumiewawcze spojrzenia: potem je kierują w stronę pieca.

— Podstawą języka łacińskiego — ciągnie Izdebski — są deklinacje i koniugacje. Bez Korneliusza, Owidiusza, Wergiliusza możesz zostać choćby biskupem — ale jeśli nie znasz deklinacyjki i koniugacyjki, nie będziesz nawet dobrym...

— Organistą! — kończy któryś z chłopców, na pamięć już znający tę przemowę, przez wszystkie klasy nieustannie powtarzaną.

Nauczyciel ma osobliwą słabość do początków gramatyki; wyższe jej części traktuje z lekceważeniem i niechęcią.

— Bacność, uwaga... — ostrzega, podnosząc rękę, w której trzyma już nie tabakę, lecz chustkę czerwoną. — Nie wiadomo... kto — będzie — mówi!...

Zawsze ta groźba budzi niepokój. I teraz uczniowie kreca się niespokojnie na miejscach. Izdebski długo milczy, upatruje wśród ściśnionych szeregów ofiary.

Znalazł...

— Smoliński! — pada komenda, jak wystrzał.

Smoliński patrzył właśnie w okno, niczego się nie spodziewając.

Jest to „pocziwości” chłopiec, tłusty, szerokopleczysty wieśniak, mówiący przez nos. Posiada szczególną skłonność do przeciągania ostatnich wyrazów w zdaniu tonem śpiewającym. Nazywają go koledzy: „Bonuś” albo „Omega”. Ostatnie przezwisko dostał już później z powodu przeciągłego wymawiania ostatniej litery alfabetu greckiego. Bonusiem był od początku, i to przezwisko z dziwną trafnością przystawało do jego pocziwej, nieco ciężkiej figury.

— Smoliński, bacność, uwaga! Napisz na tablicy cztery słowa czynne: amo, moneo, lego, audio.

Siedzący obok prymusa Sprężycki, widząc, na co się zanosi — ziewnął szeroko.

— Durniu! — krzyczy, dostrzegłszy to, Izdebski. — Mów zaraz co znaczy amo!

— Amo kocham, moneo upominam, lego...

— Stój, bestio! — wstrzymuje go łacinnik. — Pytałem tylko o amo!

Ale tamten, jak puszczona w ruch pozytywka kończy, nie mogąc się powstrzymać;

— Lego czytam!... audio słucham!... Tryb bezokoliczny: amare, monere, legere, audire!... Czas przeszły dokonany: amavi, monui, le...

W tejże chwili rozczapierzona ręka nauczyciela spada mu na czuprynę. Pozytywka od razu grać przestaje.

Tymczasem Smoliński zdążył już wypisać kredą żądane słowa.

W chwili, gdy łacinnik odwrócił się do tablicy, Sprężycki, choć mu się łzy w oczach kręca, zamienia porozumiewawcze uśmiechy z tym i owym kolegą.

— Smoliński, bacność, uwaga. Napisz praeteritum imperfectum od amo, moneo, et caetera.

Kreda głośno skrzypi — Bonuś w pocie czoła wykonywa swe zadanie.

- Durniu! Bestio jedna! — rozlega się nagle głos Izdebskiego. — Coś ty napisał?
- Napisałem, co kazał pan profesor.
- Czytaj!
- Amo, moneo et caetera.
- Po coś napisał et caetera?
- Pan profesor tak dyktował.
- Zwariowałaś, durniu!
- Niech klasa powie, czy kłamię. Wszyscy słyszeli.

Klasa tłumi śmiech. Izdebski wyciąga rękę do czupryny Bonusia — ale cofa ją zaraz, gdyż chłopiec ma włosy przy samej skórze ostrzyżone. Więc poprzestaje tylko na gniewnym mruknięciu:

- Zetrzyj to wszystko!

Bonus ściera.

- Mów, durniu: jak będzie czas przeszły niedokonany od amo?
- Ami... ame... ama... — bąka Smoliński, dziwnie w tych sprawach tępy.

Do najwyższej pasji doprowadzony łacinnik zaczyna krzyczeć, podnosząc pięść zaciśniętą:

- Czas przeszły niedokonany... praeteritum imperfectum... we wszystkich czasownikach łacińskich... kończy się na bam!... bas!... bat!...

Przy wygłaszaniu końcówek: bam, bas, bat, pięść łacinnika, w równych odstępach czasu, spada na szerokie plecy Bonusia. Chłopiec ugina się pod każdym uderzeniem — oczy nabrzmiewają mu łzami.

- Panie prosorze! — odzywa się w tej chwili Sprężycki, uważając, że czas już położyć koniec tej egzekucji. — Chrabąszcz łazi po panu prosorze!...

Nauczyciel przerażony chwyta się za kark, za łysinę, maca po plecach, szyi, głowie.

- Sprężycki, kochanku — prosi wreszcie — zdejmij no ze mnie to paskudztwo.

Sprężycki wychodzi z ławki i pod pozorem zdjęcia jednego chrabąszcza, przyczepia ich do nauczyciela dziesięć.

Niebawem odczuwa Izdebski obecność ich na sobie. Łaje głośno Sprężyckiego, przyzywa na pomoc prymusa, zrzuca frak mundurowy — na wszelki sposób stara się oswobodzić od skrzydlatych, drapiących owadów. O Smolińskim, jego plecach i czasie przeszłym niedokonanym zupełnie zapomina.

Na tych utarczkach schodzi reszta lekcji. Odzywa się zbawczy głos dzwonka. Bonus, zgrzany i spocony, ale już o swoje plecy bezpieczny, tryumfalnie na miejsce powraca.

Na krótkiej pauzie „spiskowcy” odbyli energiczną wymianę słów i myśli. Zaraz potem rozpierzchli się i cichuteńko na swych miejscach przycupnęli.

Następowała lekcja geografii. Gdy profesor Żebrowski — ten sam, który wykładał historię powszechną — wchodził do klasy, wzorowa cisza panowała na wszystkich ławkach.

Sztywny, chudy, wysoki, z siwymi, krótko ostrzyżonymi włosami nauczyciel jest uosobieniem powagi. Za ledwie usiadł na katedrze, wydobywa katalog, ślini w ustach ołówek i odchrząknawszy, wywołuje do lekcji — Sprężyckiego.

Chłopiec, choć od katastrofy ubezpieczony, zadrżał. Z kilkudziesięciu stanów Ameryki Północnej za ledwie pięć lub sześć utkwily mu w pamięci.

Ociąga się umyślnie z wyjściem, udaje słabego, kuleje, potyka się o nogi kolegów — jednocześnie to tu, to tam rzuca niespokojne, pytające spojrzenia.

Staął wreszcie przed katedrą, z nogi na nogę przestępuje — milczy długo, pilnie nasłuchując.

— No, gadajże! — nalega nauczyciel.

Sprężycki zaczyna cedzić słówko po słówku, ale tak wolno i z takim trudem, jakby nagle stracił władzę w języku.

W tejże chwili, w oddalonym kącie klasy, gdzieś tam blisko pieca, odzywa się cichy brzęk. Jeszcze go nauczyciel nie zauważył — już Sprężycki przestał odpowiadać i ze źle tajoną radością mówi:

— O... chrabąszcz!

Żebrowski zmarszczył się.

— Mów dalej! — rozkazuje.

Ale już bliżej i dalej piskliwe głosy wykrzykują:

— Chrabąszcz!... Chrabąszcz!...

— Ciszej tam! — tupnął nogą Żebrowski. — Prymus, wyrzuć tego owada, a ty, Sprężycki, dalej odpowiadaj.

Prymus idzie do pieca, na palce się wspina — ale chrabąszcz lata pod sufitem.

W ławkach słychać półgłose uwagi.

— Złapie... Nie złapie... Właśnie, że złapie... Właśnie, że nie złapie...

Sprężycki przy katedrze milczy — udaje, że czeka na koniec tej wyprawy.

Nagle odzywa się brzęk w przeciwnej stronie klasy. Odwracają się tam natychmiast wszystkie głowy — też same co poprzednio głosy krzyczą alarmująco:

— Ooo!... Drugi chrabąszcz!

Znów brzęk, znów krzyki:

— Ooo!... Trzeci!... Czwarty!... Piąty...

Niebawem całe stado chrabąszczów buja po klasie. Huk taki jakby grano na organach.

— Otworzyć okna! — rozkazuje nauczyciel.

Rzuca się do niego pierwszy Sprężycki.

Stare, okute, ciężkie okniska z trudnością dają się odmykać. Kilku najsilniejszych chłopców pracuje nad tym przez kwadrans blisko, wśród ogłuszającego huczenia owadów i nieznośnego krzyku chłopców.

Po otwarciu okien, nowy kłopot. Chrabąszcze jednym oknem wylatują, drugim wracają. Co gorsza, wracają nie same, lecz w towarzystwie nowych, których wielkie mnóstwo krąży dokoła pobliskich kasztanów.

Nauczyciel wyszedł na środek, brwi ściąga, nogą tupie — po krótko strzyżonych włosach dłoń nerwowo przesuwa.

— Panie prosoze — doradza z udaną troskliwością Sprężycki — lepiej będzie okna zamknąć.

— Zamykajcie!

Przy zamykaniu hałas bardziej się jeszcze wzmacnia — dochodzi nareszcie do takiego natężenia, że nauczyciel jest zmuszony opuścić klasę.

Po jego odejściu zjawia się inspektor.

— Co wy tu wyrabiacie, nicponie? — grzmi od progu swym basem urzędowym.

Prymus raportuje.

— A to, proszę pana inspektora, „ktoś” nawpuszczał do klasy chrabąszczów.

— Kto śmiał to zrobić? Kto? — piorunuje srogi zwierzchnik.

— To pewnie ci z pierwszej... — objaśnia z miną potulną Sprężycki.

— Nie, nie! — poprawia go drugi — to tamci z czwartej. Oni tak zawsze!

Znalazł się trzeci, który stawia nową hipotezę:

— To najpewniej te chłopaki z ulicy! Nikt, tylko chłopaki.

— Winni będą wykryci i ukarani! — grozi Jowisz szkolny i krokiem majestatycznym klasę opuszcza.

Po jego wyjściu, wszczyna się harmider nieopisany. Nie ustaje on nawet po dzwonku, gdy do klasy, wojskowym, rytmicznym krokiem, głośno stukając okutą trzcina, wkracza profesor Effenberger.

— Ach, tak, panie, tak! — krzyczy na całe gardło. — Co wirabiacie, wariaty, baranie głowy, szpicbuby? Cicho mi tam!

Chłopcy uciszają się na chwilę — ale po to tylko, aby tym swobodniej przygotować i wypuścić na wroga nowe hufce. Wrogiem jest nauczyciel; wojsko wyobrażają trzymane w pudełkach chrabąszcze.

Effenberger siada na katedrze i w tejże chwili zrywa się z fotela. Po kałamarzu łązi chrabąszcz. Cała katedra jest podminowana chrabąszczami.

— Prymus, wirzuc za drzwi ten robak! — woła nauczyciel.

Sprężycki z miną niewinną zauważa:

— To nie robak, panie prosorze, to — chrabąszcz!

— Krabonsz jest robak! — upiera się tamten.

Prymus otwiera drzwi na korytarz, udaje, że wyrzuca chrabąszcza i powraca z nim do klasy.

Sprężycki nie ustępuje.

— To dopiero! — dziwi się. — Pan prosor mówi, że to robak, a pan psor Salamonowicz uczył nas, że robaki i owady to zupełnie co innego. Więc my teraz nie wiemy, kogo słuchać.

— Sprężycki, marsz do lekcji! — przerywa mu czerwony od gniewu Niemiec. — Gadaj wiersz!

Sprężycki próbuje ciągnąć dalej swą politykę opozycyjną i kunktatorską.

— Sroki i papugi gadają; człowiek mówi. Tak nas uczył psor Skowroński. Więc czy ja jestem sroka, albo papuga?

Koledzy nie mogą powstrzymać się od śmiechu. Odzywają się zewsząd głosy, przytakujące Sprężyckiemu.

— Ach, tak, panie tak! — krzyczy doprowadzony do ostatniej pasji Effenberger i wyciąga rękę, aby chwycić Sprężyckiego za ucho.

Ale chłopcu przychodzą z pomocą posiłki. Armia chrabąszczów rozpoczęła właśnie atak ogólny.

Kilkadziesiąt owadów, jakby na komendę, z huczeniem organowym uniosło się w górę. Kilkadziesiąt innych wpełzło na profesora, drapiąc go po rekach, twarzy i szyi.

Effenberger cofa szybko rękę, a przy tym gwałtownym ruchu wywraca stolik, który spada z katedry z wielkim łoskotem. Z kałamarza wylał się atrament i czarną strugą płynie po dzienniku szkolnym.

Powstaje hałas piekielny. Chłopcy wybiegają z ławek na pomoc, przy czym potrącani przez nich olbrzymi kałamarz coraz obfitsze strugi wylewa ze swej bezdennej czeluści. Niemcowi spadły i potłukły się okulary. Krzyczy, klnie, wymachuje laską, tego i owego chwytą i targa mocno za ucho. Targani płaczą, towarzysze ich śmieją się, Sprężycki udaje zrozpaczonego i rozwodzi głośnie lamentsy. Stolik, o własnej sile podnieść się nie mogąc, wciąż leży na podłodze, zmieniając tylko pozycje gdyż go chłopcy, pod pozorem podnoszenia, w różnych kierunkach przewracają. Obok stolika znajduje się niebawem i fotel, niby wypadkiem z katedry zrzucony. Wszyscy chłopcy opuścili swe miejsca; na środku klasy przepychają się, przewracają — tworzą zamęt nadzwyczajny. A ponad całą bezładną masą ludzi i rzeczy, z brzękiem rozgłośnym unosi się chmura chrabąszczów.

O lekcji mowy nawet nie ma. Zresztą Effenberger, wyczerpawszy swój zapas wymysłów i pasji, zrejterował, pozostawiając na miejscu walki potłuczone okulary.

Inspektor nie zjawia się, nie chcąc powagi swej nadwerężyć. Zwycięstwo zostało przy uczniach.

I znów odzywa się dzwonek; odbyć się ma czwarta z kolei lekcja. Wchodzi Łypaczewski, nauczyciel kaligrafii.

Ale popisy kaligraficzne odbywać się nie mogą. Uczniowie twierdzą jednoznacznie, choć różnogłośnie, że „wszystek atrament wylał się” i — nie mają czym pisać.

Rozpoczynają się spory, w których zapalczywy nauczyciel stara się przekrzyczeć uczniów, uczniowie zaś — nauczyciela.

Tymczasem zjawia się stróż z nowym kałamarzem i ścierką do wycierania atramentu. Na przyprowadzaniu katedry do porządku upływa co najmniej dwadzieścia minut.

Przez ten czas nauczyciel opędza się chustką od nacierających nań owadów, a uczniowie udają, że się szykują do pisania. Kałamarze pochowali, oświadczają, że pióra maczać będą na katedrze. Wszystko to ma na celu zyskanie na czasie oraz przygotowanie nowej sztuki, do której łapki i ogonki chrabąszczów są maczane w atramencie.

Łypaczewski „wyszychował” kredą na tablicy i każe uczniom przepisywać w kajetach zdanie ze „Wzorów” Oleszczyńskiego:

„Honor jest jak przepaścista skała”...

Zaledwie ten i ów wypisał w kajecie ozdobne H, rozlegają się krzyki:

— Panie psorze! W żaden sposób pisać nie można!

- Dlaczego?
- Chrabąszcze nie dadzą!
- Jak to nie dadzą? Czyście zwariowali?
- Niech pan psor sam zobaczy... O... o... o...

Kilku, potem kilkunastu, chłopców wtyka nauczycielowi pod nos kajety, na których chrabąszcze umaczanymi w atramencie łapkami porysowały różne hieroglify.

Łypaczewski przygląda się, wzrusza ramionami, mruczy coś pod nosem — wreszcie postanawia:

- Ha, nie ma co!... Musicie się wszyscy wziąć do wypędzania.

„Sprzysiężonym” tego tylko było trzeba. Otwierają powtórnie okna, chustkami, czapkami, kajetami wyganiają latające owady, wykrzykując na różne głosy:

- A sio!... A sio!... A sio!...

Ogólne podniecenie udzieliło się i Łypaczewskiemu. W ogóle należy on do nauczycieli, którzy z trudnością utrzymują powagę wobec uczniów. I teraz, zgrzny bieganem, zrzucił frak mundurowy — wspólnie z chłopcami, prawie jak ich rówieśnik, zajmuje się łowieniem i wyganianiem uprzykrzonych owadów.

Już to nie jest lekcja, lecz jakaś zabawa sportowa, gdzie wszyscy prześcigają się w zręczności, w pomysłach niezwykłych i w głośnych krzykach.

Dzwonek szkolny kładzie kres tym nieolimpijskim igrzyskom a zarazem i lekcjom przedpołudniowym. Chłopcy, odmówiwszy modlitwę, — z hałasem, z wybuchami śmiechu, z głośnym potrząsaniem tek, z poszturchiwaniem się wzajemnym wybiegają na ulicę.

Cel sprzysiężenia osiągnięty: nie odbyła się normalnie ani jedna lekcja, pomimo ogólnego nieprzygotowania się ani jeden nie dostał „pałki” — nic też na przyszłą lekcję nie zadano. Wreszcie na domiar szczęścia, była to środa, w środy zaś i w soboty po południu do szkoły nie przychodzono.

Zresztą jak przed południem, tak i po południu młodzież szkolna nie widzi nic, niczym się nie zajmuje, o niczym nie myśli, prócz chrabąszczów. W ogrodach i ogródkach, na pobrzeżu Narwi, na Górze Benedyktyńskiej, na cmentarzach przykościelnych — wszędzie, gdzie się choć kilka drzew zieleni — widać biegające, zadyszane, z zadartymi w górę nosami pilnie upatrujące „zwierzyny” gromadki niebieskich mundurków.

Z trzęsionych drzewek senne owady sypią się na ziemię, jak dojrzałe śliwki. Co chwila któryś, rozwinąwszy skrzydła, z brzękiem ulatuje w górę, a chłopcy za nim,

krzycząc i na palce się wspinając, żeby go dostać. Co chwila rozlega się krzyk przeraźliwy, któremu towarzyszą wybuchy śmiechu... To jakiś figlarz strachliwemu koledze wsunął chrapaszczka za kołnierz albo wpuścił do rękawa. Ofiara figla rzuca się, jak ukąszona przez żmiję, a inni aż przysiadają do ziemi od śmiechu.

Po zachodzie słońca brzęk chrapaszczów, krzyki i śmiechy wzmagają się. Powietrzni rycerze, „skrzydlaci”, „własaci”, urządzają istny najazd na miasteczko. Wszędzie ich pełno. Przez otwarte okna wpadają do mieszkań, na kształt pocisków wystrzelonych uderzają o twarze przechodniów — toną tysiącami w rzece, idąc na żer wielkim rybom, które z pluskiem głośnym rzucają się na nie.

Błogosławione dni chrapaszczowe! Ileż zabawy, figłów, pustoty sprowadzają na ciche zwykle miasteczko! W zabawie dzieci biorą udział i starsi — nie ma w miasteczku człowieka, który by idąc na spoczynek, nie śmiał się, lub przynajmniej nie uśmiechał, przypominając sobie różne wesołe epizody chrapaszczowej kampanii.

Jaka szkoda, że dni chrapaszczowe przypadają tylko na wiosnę; że w roku jest tylko jedna wiosna i że tych dni nie bywa więcej niż dwa, trzy najwyżej.

XII. Poeta

Lekcja polskiego. Nauczyciela jeszcze nie ma. Klasa, przed każdą lekcją zmieniająca się w ul brzęczący, teraz jest spokojna, pełna powagi i skupienia.

Wchodzi młody, wytwornie ubrany nauczyciel i lekko głową skłoniwszy się, mówi:

— Dzień dobry panom!

On jeden uczniów klasy trzeciej nazywa „panami”.

— Dzień dobry panu psorowi! — wykrzykują chłopcy zgodnym, rześkim chórem.

Któż by się domyślił, że ten szczupły młodzieniec, ze świeżą, przyjaźnią uśmiechniętą twarzą, z włosami fryzowanymi, wesoły, delikatny, uprzejmy jest następcą — Skowrońskiego...

Nigdy jeszcze chyba młodość i starość, wiosna i zima, jutrzeńka i wieczór późny, tak jaskrawo nie odcinały od siebie.

Młody, piękny nauczyciel swą nadzwyczajną uprzejmością i swym wykwinem niesfornych chłopców oczarował i — ujarzmił. To, czego nie mogli dokonać: Luceński drwinami i grzmoceniem trzcina w stolik, Effenberger krzykiem i wymyślaniem, Izdebski darcie za włosy i bębnieniem po plecach, Salamonowicz chytrą i podszuczaniem u inspektora, sam inspektor wreszcie basem urzędowym i

dyscyplinarną srogością — bez żadnego pozornego wysiłku osiągnął od razu młody przybysz, profesor Chabrowski.

Jego wpływ na uczniów jest tego rodzaju, że — wstydziłoby się okazywać mu nieposłuszeństwo, zuchwałość, gburowatość. Nawet Kozłowski przy nowym profesorze zapomniał o psich figlach; nawet wrodzona żywość Sprężyckiego ustąpiła miejsca poważnej zadumie; nawet Bonuś Smoliński nauczył się lekkich, zgrabnych ruchów; nawet Kucharzewski wysubtelniał i zdrobnił, a „kataryniarz” Olszewski zrozumiał po raz pierwszy w życiu, że prócz piłek i gołębi są na tej ziemi inne jeszcze uwagi godne rzeczy.

Jest to już fatalnością pedagogów, że każdy z nich posiada w obejściu się coś niezwykłego, ekscentrycznego, co go od ludzi normalnych odróżnia. Tę oryginalność uczniowie umieją zawsze z błyskawiczną szybkością dostrzec i zapamiętać. Z niej też czynią broń przeciw nauczycielom nielubianym.

I profesor Chabrowski zdaje się nie być wolnym od tej specjalnej ekscentryczności. Ma on przyzwyczajenie oglądać się często na drzwi i ściany — zwłaszcza gdy chce opowiedzieć coś ciekawszego lub wygłosić jakieś nowe, piękne wiersze...

Młody nauczyciel zerwał ze starzyzną swego poprzednika. Rzadko i tylko mimochodem wspomina o Krasickim i Karpińskim, Naruszewicz jakby wcale dla niego nie istniał; Trembeckiego chwali, lecz tylko wyjątki z niego przytacza.

Za to o romantycznych poetach mówi wiele — o wiele więcej niż jest zobowiązany. Ich też cytując, najczęściej na drzwi spoziera.

Gdy przytrafi się kiedykolwiek zastępstwo chorobą lub wyjazdem innego nauczyciela spowodowane, najczęściej je przyjmuje na siebie Chabrowski. Te nadprogramowe godziny bywają poświęcane wyłącznie czytaniu.

Młody profesor czyta lub innym czytać każe z przyniesionej książki; czasem wiersze wygłasza z pamięci — niekiedy także wydobywa z kieszeni piękny, welinowy kajecik własną ręką zapisany i z jego treścią uczniów zapoznaje.

Przy odczytywaniu takich kajecików głos młodego profesora drży lekko, po twarzy przebiega rumieniec. Profesor, odczytawszy jedną stronicę, zatrzymuje się, jakby badał wrażenie uczynione na słuchaczach.

Gdy który z uczniów wyrwie się z pochwałą, gdy przy epizodach wesołych roześmieje się, a przy smutnych westchnie, czytający okazuje widoczne zadowolenie. Zdarza mu się też wówczas niekiedy przerwać czytanie i rzec, nie patrząc na nikogo:

— Słowacki wyraziłby to nieskończenie lepiej. Ale trudno równać się ze Słowackim...

Z tych napomknien domyślniejsi odgadują właściwego twórcę welinowych poematów. Uwielbienie ich bardziej jeszcze wzrasta. Wiersze wydają się im prześliczne.

Tego dnia profesor Chabrowski wchodzi z miną tajemniczą, na katedrze nie zasiada, dziennika klasowego nie otwiera. Dość długo przechadza się w milczeniu przed ławkami, wreszcie wydobywa z kieszeni książkę niewielką i mówi uprzejmym, przyciszonym głosem:

— Dziś lekcji właściwej nie będzie. Przyniosłem panom arcydzieło Mickiewicza: Pana Tadeusza. Proszę kolejno czytać je na głos. Inni niech uważają. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby każdy z panów umiał później opowiedzieć mi treść i wskazać piękności usłyszanego rozdziału.

Po tych słowach wręcza książkę siedzącemu z brzegu Sprężyckiemu.

Dumny z wyróżnienia chłopiec zabiera się od razu do czytania — ale go profesor gestem wstrzymuje.

— Podczas gdy panowie będziecie czytali — mówi — ja na minut kilkanaście wyjdę. Chcę przyjąć udział w małej uroczystości, która się przygotowuje na poczcie. Miasto nasze spotyka dziś szczęście: za chwilę zatrzyma się w nim na krótko, w przejeździe na Litwę, wielki poeta polski. Pragnę zobaczyć go, pokłonić mu się — wraz z innymi ofiarować mu kwiaty.

Sprężycki na wspomnienie „poety”, „wielkiego poety” — drgnął. Wiadomość, że przez miasteczko przejeżdża ma prawdziwy poeta, wydała mu się nadzwyczajną, niby wieść o zstąpieniu na ziemię Jowisza, Saturna lub innego z bogów mitologicznych...

Nie mógł powstrzymać się od zapytania:

— Który to poeta, panie profesorze?

Pytanie jemu samemu wydawało się dziwne. Wyobrażał sobie, nie wiadomo dlaczego, że wszyscy poeci należą do przeszłości — że o każdym, w książkach wymienianym, mówić trzeba w czasie przeszłym: „żył... umarł... napisał to i to”... nigdy zaś: „żyje... mieszka tu i tu... pisze lub pisać zamierza to i owo”...

Profesor rzucił nazwisko:

— Syrokomla...

Spostrzegł, że samo nazwisko wrażenia na uczniach nie czyni, dodał więc jeszcze:

— Autor Margiera, Dęboroga i prześlicznych Gawęd. W zeszłym miesiącu czytałem panom wyjątki z Dęboroga. Czy pamiętacie?

— Pamiętamy!... Pamiętamy!... — ozwały się tu i owdzie, cieńsze i grubsze głosy. Najgłośniej przytwierdzał Sprężycki, przed którego oczyma przesunęły się w tej chwili barwne obrazy z „szkolnych czasów Dęboroga”.

Profesor tymczasem, nakładając palto, mówi jeszcze:

— Proszę panów, abyście sprawiali się cicho i przyzwoicie. Nie chciałbym, żeby się inni o mej nieobecności dowiedzieli. Czy mogą liczyć na panów? Możecie mi dać słowo?

— Słowo honoru!... Słowo uczciwości!... Słowo szlacheckie!... — brzmią na wszystkie strony uroczyste, pełne głębokiego przejęcia się, zapewnienia.

Profesor Chabrowski wychodzi na palcach, drzwi za sobą ostrożnie zamykając...

Sprężycki zabiera się natychmiast do czytania. Inni słuchają w skupieniu ducha. Cisza taka, jakiej nie bywa nawet podczas urzędowych przemówień inspektora.

Sprężycki czyta opis grzybobrania. Czyta głosem niezbyt silnym, ale z doskonałym zrozumieniem rzeczy. Żaden obraz, ani żadna myśl poety nie giną w jego wyrazistej dykcji. Świetnego opisu ze szczególnym zajęciem słuchają chłopcy ze wsi. Nikt lepiej od nich nie zna tych przeróżnego kształtu i przeróżnej nazwy grzybów, o których mówi poeta. Czasem który z nich poruszy się niecierpliwie, zaniepokojony jakimś wierszem, jakby chciał powiedzieć:

— Ależ nie tak, nie tak!... U nas, na Mazowszu, ten gatunek nazywa się inaczej.

Uwagę swą jednak zatrzymuje w myśli i słucha dalej, milczenia ogólnego nie przerywając.

Sprężycki zmęczył się — oddaje książkę Kucharzewskiemu. Olbrzym przewrócił kilkanaście kartek — czyta opis bitwy w zaścianku Dobrzyńskim. W jego czytaniu obraz utarczki szlachty z jegrami wychodzi nadzwyczaj plastycznie. Wśród słuchaczy zajęcie, wywołane poematem, bardziej jeszcze wzrasta.

Nawet najtępsi, na wszystko obojętni „piłkarze” i „przeżuwacze” z ostatnich ławek nadstawiają uszu, żeby coś pochwycić i zrozumieć. Gdy im się to nie udaje, zwieszają głowy i drzemią.

Upłynęło w ten sposób mniej więcej pół godziny.

Sprężycki, któremu myśl o przejeżdżającym poecie spokoju nie daje, kręci się, oknem wygląda, namyśla się widocznie, co czynić. Wreszcie wstaje, bierze czapkę i szepnąwszy coś swemu sąsiadowi, po cichu z klasy wychodzi.

Znalazłszy się w korytarzu, ciska badawcze spojrzenie w prawo i lewo. Nie dostrzegł nikogo, chyłkiem wymyka się na ulicę.

Zamiar jego jest już wyraźnie określony: postanowił za wszelką cenę — zobaczyć Syrokomlę.

Na pocztę nie idzie, do czego ma kilka ważnych powodów. Najpierw, boi się zostać dostrzeżonym przez Chabrowskiego. Po wtóre, jest pewny, że go tam, w licznym zgromadzeniu miasteczkowych dygnitarzy, przed oblicze poety nie dopuszczą. Wreszcie obliczył, że uroczystość jest bliska końca, mógłby więc łatwo spóźnić się na nią.

Ostatecznie, przebywszy most benedyktyński i znalazłszy się na tak zwanym „trakcie petersburskim” nie skręca w lewo, w stronę poczty, lecz w prawo, gdzie ów trakt biegnie do Różana, Ostrołki, Łomży itd.

Wie, że dążący na Litwę poeta tędy koniecznie musi przejeżdżać. Gdy Sprężycki wynajdzie dla siebie spokojny punkt obserwacyjny, będzie mógł przypatrzeć mu się do woli.

Minął Karczmę Zieloną, już na krańcach miasta stojącą, skręcił w stronę cmentarza świętokrzyskiego, mimo którego biegła szosa.

Dzień był jesienny — szary, posepny. Zaczął mżyć drobny deszczyk. Droga opustoszała; długie wstęgi lasów, zamykające horyzont, obciągnęły się mgłą niebieską.

Sprężycki stanął pod drzewem przydrożnym; oczy wytężył w stronę miasta. Z bijącym sercem, z głową pełną myśli — czeka.

Mijają sekundy, minuty, kwadransy; deszcz mży coraz gęściejszy; lasów za mgłą nie widać; szosa, jak okiem sięgnąć, puściuteńka...

Chłopczyne, skulonego pod drzewem i jakby zgubionego wśród wielkich, płaskich, bezludnych przestrzeni, ogarnia z wolna smutek. Zaczyna też mu i chłód dokuczać. Wybiegł ze szkoły w samym mundurku, a tu wiatr pociąga zimny, deszcz zacina, jakby lodowymi igiełkami...

Aby dodać sobie energii, podniecić się zapalem, powtarza półgłosem wiersze — wiersze Syrokomli.

*Gdzie wy, jasne dni moje, moje szkolne czasy,
Kiedy serce dziecinne z wiarą i otuchą
Do grona towarzyszków i do murów klasy
Przygło, przyrosło na głucho?
Gdzie wy, drobne a wzniosłe mojej pychy cele,
By zrównać i prześcignąć najpierwszych w nauce?*

*Gdzie owo wśród igraszek serdeczne wesele,
Kiedy piłkę wysoko, wysoko podrzucę?
Kiedy w gronie swawolnym po równinach lecę,
By schwytać wyrzuconą, albo odbić w górze?
Gdzie pobożność i wiara w Najwyższej Opiece,
Gdy się modłę w kaplicy albo do Mszy służę?
Z serca chłopczyny smutek nie ustąpił — owszem, wzrastać się zdaje.*

— „Czy dzisiaj świat postarzał? Czy w oczach ściemniało?” ... — powtarza za poetą z tak głębokim przejęciem się, jakby mu tę skargę własne życie i własne doświadczenie podyktowały.

A na drodze wciąż pusto. Żaden turkot od strony miasta nie nadlatuje.
I znów sięga do pamięci — prawie na głos mówi:

*Bodaj to szkolna wiara i nadzieja szkolna,
Kiedy wierzyłem w przyszłość płomienistą duszą,
Że choć nauka trudna, choć praca mozolna,
Lecz cele nasze wielkie i spełnić się muszą!...*

Wyczerpał cały zasób zapamiętanych wierszy. Teraz myśli o ich autorze.

— Poeta... Ileż mieści się w tym słowie! Tysiące, dziesiątki, setki tysięcy zwykłych ludzi, takich jak ja, moi koledzy i moi nauczyciele — z wyjątkiem może Chabrowskiego — zdobywają się na wydanie jednego poety! Toteż on do zwykłych ludzi nie może być podobnym.

Wyraziwszy to głębokie przekonanie, Sprężycki zamyśla się i usiłuje wyobrazić sobie: jak też wygląda ta nadzwyczajna istota?

Z portretów zna jedynie: Mickiewicza z rozwichrzonym lasem włosów na głowie; Goethego, który mu się wydaje zawsze z brązu odlany, z marmuru wykuty; Szekspira, o którym myśli, że był sam i Hamletem, i królem Lirem i Ryszardem Trzecim.

Odzywa się wreszcie głos trąbki — głos jękliwy, żaloszny do ogólnej melancholii jesiennego przedwieczera dostrojony.

Z mgły wynurza się bryczka pocztowa — zwyczajna, zielono malowana ekstrapocztka, pędząca szybkim kłusem po twardo ubitej szosie.

Droga w tym miejscu jest falista. O kilkadziesiąt kroków od Sprężyckiego konie zwalniają biegu, wjeżdżają pod górę. Już on jest w stanie rozeznac postać siedzącą na bryczce. Ta postać zbliża się doń coraz szybciej, staje się coraz wyraźniejszą.

Sprężycki widzi mężczyznę średnich lat z twarzą wygoloną, z długimi, ciemnymi, wymykającymi się spod czapki i na ramiona spadającymi włosami. Jadący ma na sobie płaszcz ciemno-zielony z peleryną, którą wiatr jesienny rozwiewa. Czapkę wcisnął głęboko na oczy; w ustach trzyma cygaro zagasłe, o którym zda się, że zapomniał. Siedzi bardzo pochylony, jakby go całego wielki ciężar przygniatał. Twarz jego wyraża smutek i zniechęcenie; oczy w dół spuszczone, na nic i na nikogo nie patrzą.

Na siedzeniu, obok podróżnego, leży kilka większych i mniejszych bukietów, które podskakują, ile razy bryczka o wystający kamień uderzy.

— Więc to poeta?... — myśli chłopiec z uczuciem zawodu, a zarazem rozrzewnienia.

Wyobrażał go sobie inaczej: podobnego do Margiera i Dęboroga, z dużym, płowym wąsem, z nosem orlim, z oczyma ciskającymi pioruny.

To uczucie trwa tylko chwilę. Mary pierzchnęły — Syrokomla rzeczywisty podoba mu się i zachwyca go równie silnie, jak one. Jakżeby pragnął uścisnąć, ucałować te ręce, co tyle cudnych pieśni skreśliły!

Gdy zrównała się z nim bryczka, wychodzi spod drzewa, zdejmując czapkę i wyprostowany, jak przed inspektorem, w swym niebieskim, przez deszcz zmoczonym mundurku stoi, wpatrując się w poetę wzrokiem pełnym ukochania i zapалу.

Dojrzał go Syrokomla. Szybkim ruchem odrzuca cygaro, prostuje się, głowę odkrywa — z wbitym w chłopczynę bystrym, do głębi przenikającym wzrokiem, uśmiecha się...

Ach! Do śmierci nie zapomni Sprężycki tego spojrzenia i tego uśmiechu.

Spojrzenie jest rzeźkie i jakby gorące; uśmiech — pełen dobroci, a zarazem niewypowiedzianego, bezdenne smutku.

Bryczka przeleciała, szybko tocząc się po pochyłości wzgórza — poeta zniknął w dali we mgle jak senne widzenie.

Sprężycki stoi w miejscu, wpatrzony w mgłę, która mu ukochaną postać zakryła. Pomimo deszczu stoi bez czapki. Nie czuje zimnego wiatru, który coraz silniej od pól zawiewa.

Od wewnętrznego wzruszenia jest mu prawie gorąco.

Jednak oczy ma pełne łez.

Może mu instynkt duszy coś podszeptał...

XIII. Chora noga

Majowe, radosne, zwycięskie słońce, które strumieniami złota całe miasteczko zalało, na próżno usiłuje wdrzeć się do niedużego saloniku Sprężyckich.

Panuje tu półmrok niebieskawy od zapuszczonych kartonowych rolet, na których wymalowano fantastyczne górskie pejzaże kolorem indygo.

Jakby nie dość było tej zapory dla słońca, czyjaś ręka rozwiesiła jeszcze w oknach kapy kolorowe, które blask dzienny prawie zupełnie tłumią.

W saloniku czuć mdlący zapach jodu i wody kolońskiej. Powietrze przesycone lekarsstwami. Zwykłych mebli nie widać; fortepian wyniesiony; duże zwierciadło zakryte muślinem. Na środku stoi wielki stół zastawiony butelkami: w głębi — łóżko.

Cóż to za chłopczyna, blady, jak opłatek, na tym łóżku spoczywa? Twarz jego mówi o długich przebytych cierpieniach, o znacznym upływie krwi. Podesłano mu pod głowę i plecy tak wiele poduszek, że w łóżku prawie siedzi, — ale jedną nogę trzyma wciąż wyprostowaną, okrytą bandażami i grubym opatrunkiem.

W pokoju nie ma nikogo. Chory oczy przymknął, zdaje się drzemać. Ale i w tym na pół tylko czuwającym stanie wydaje co chwil kilka stłumione, bolesne jęki.

Ktoś z nadzwyczajną ostrożnością uchylił drzwi. Ukazał się w nich najpierw wielki bukiet; za bukietem — niebieski mundurek.

Pomimo, że przybysz szedł na palcach, chory go dosłyszał.

— Czy to ty, Broniek? — odzywa się słabe, ledwie dosłyszalne zapytanie.

— Ja! Przyniosłem ci bzu.

— Ach, daj go, daj!

Chory ożywił się. Głos jego stał się mocniejszy, oczy otworzyły się na całą szerokość.

Dopiero w tym przetworzeniu można dopatrzeć w bladym, bezsilnym chłopczynie pewnego, bardzo zresztą dalekiego, podobieństwa do rumianego, żywego jak iskra Sprężyckiego.

A jednak on to jest we własnej postaci. Jeszcze w końcu zimy wywichnął niebezpiecznie nogę w kostce. Leczone mu ją źle i wprowadzono w stan tak groźny, że już stopę miał mieć odjętą. Obyło się szczęśliwie bez tego, ale już trzeci miesiąc leży z raną ciężką w nodze, cierpiąc niesłychane bóle, które mu często i po nocach sypiać nie dają. Mimo wszystko na duchu nie upada, wesołości wewnętrznej nie traci.

— Broniek — mówi prosząco — połóż mi go tu!... — oczyma wskazuje koldrę.

Kolega kładzie bukiet na piersiach chorego.

— Przysuń bliżej, do samej twarzy... — prosi znowu.

Olbrzymia więź bzu znajduje się po chwili tuż przy policzkach chorego.

Chłopiec z wysiłkiem podnosi cokolwiek głowę; całą twarz w wonnym gąszczu zanurza. Nozdrzami, ustami, piersią całą, wciąga w siebie, pije zapach świeżych kwiatów.

Jest podniecony, rozpromieniony. Bładziutki rumieniec wystąpił na jego chude, wystające kości policzkowe.

Razem z bzem do łóżka małego męczennika przysła wiosna. On tak jej pożądał! Tyle o niej roił podczas nocy bezsennych!

Od kilku tygodni męczył domowników nieustannym dopytywaniem: czy jaskółki już przyleciały, czy akacja rozwinęła się? Czy bez zakwitł?...

Zbywano te pytania milczeniem, uważając, że w jego położeniu, od jaskółek, bzów i akacji, stokroć są ważniejsze: mikstury, okłady i maści. Ale mylono się. Wiosna posiada środki uzdrawiające takiej potęgi, do jakiej nie wzniosą się nigdy preparaty apteczne.

Gdy Sprężycki napawa się aromatem kwiatów, zdaje się, że mu sił przybywa. Błyskają mu nawet w oczach iskierki dawnej, chłopięcej wesołości.

Dembowski pochylił się, żeby powstrzymać bukiet zsuwający się koledze z piersi. On go zniemacka za nos chwyta i śmieje się cicho. Jest w tym i podziękowanie, i figiel, i pieszczota.

— Skąd go wzięłeś? — pyta, wskazując wzrokiem bez.

— Połowa z ogrodu benedyktynów; reszta od Melechowicza.

— Pozwolił?

— Nie pytałem.

Śmieją się obydwaj.

Dembowski poprawia choremu kołdrę, poduszki, potem gałązką bzu muchy od niego ogania. Jest serdeczny, koleżeński, przy tym pełen uprzedzającej, jakby kobiecej delikatności. Chodzi na palcach, przemawia głosem przyciszonym — w oczy choremu zagląda, jakby chciał w nich myśli jego wyczytywać.

Teraz usiadł na brzeżku krzesła i opowiada, co słyhać w szkole.

„Dziad” na każdej lekcji Sprężyckiego „wrywa”. Luceński gdy odczytuje listę, przy nazwisku Sprężyckiego głową kręci, tabakę zażywa i mówi: „Żeby kózka nie skakała”... Ksiądz prefekt obiecał mszę na intencję chorego odprawić. Na lekcji Astrowa, który jest

zawsze roztargniony i dotąd jeszcze uczniów nie poznał, odpowiada za Sprężyckiego ktoś inny i dostał czwóre.

— Ale wiesz, kto się o ciebie najczęściej dopytuje?

— Może Chaber?

— Zgadłeś. On cię lubi.

— I ja jego. Czytuje wam swoje poezje?

— A jakże. Wczoraj czytał powiastkę, też pewnie swoją. Tak była zabawna...

Uśmieśliśmy się wszyscy.

— Szkoda, że jej nie mógł słyszeć!...

Zasmuca się nagle.

Zauważył to przyjaciel, śpieszy z pociechą.

— Nic straconego! Pytał właśnie Chaber, czy cię może odwiedzić. Chciałby rozerwać cię czytaniem.

— O, jaki dobry! Kocham go, jak rodzonego brata!

Zamilkli obydwaj. Chory ma łzy w oczach — łzy rozrzewnienia.

— Słuchaj, Bronek — pyta po chwili głosem przyciszonym — czy jaskółki już przyleciały?

— A jakże. Wczoraj to się nawet czubiły z wróblami o gniazda przy kościele.

— A chrabąszcze są?

— Już giną. Aleśmy mieli z nimi paradną zabawę. Kozioł zrobił z papieru karetkę, zaprzął do niej aż sześć chrabąszczów i puścił Niemcowi na katedrę.

— Cóż Niemiec?

— Z początku się gniewał, potem śmiał się. I powiedział, że ten, kto to zrobił, byłby dobrym krawcem dla pcheł. Zaraz też przytoczył nam i przetłumaczył wiersz niemiecki o pewnym królu, u którego pchła była szambelanem...

— Wiem — pochwalił się chory erudycją. — „Es war einmal ein König, der hatte einen grossen Floh”...

Potem Dembowski opowiada o kolegach, o figlach szkolnych, o tym, jak Kucharzewski w czasie pauzy przeniósł całą katedrę ze stolikiem i fotelem pod piec, jak Kataryniarz przyniósł do klasy gołębia, którego mu skonfiskowano, jak Milkowskiemu wypisano na wysokim kołnierzyku całą chronologię wojen krzyżowych, którą przy wydawaniu lekcji posiłkowali się wszyscy koledzy, jak Hefajstos przy temperowaniu piór spadł z ławki i skaleczył się scyzorykiem, jak Piesiowi Mieszkowskiemu wyjadł Łaguna ukradkiem słoik konfitur i napełnił go surowymi kartoflami.

Sprężyckiego to wszystko bawi i smuci. Kiedyż będzie mógł osobiście w szkolnych figlach uczestniczyć!

Po chwili Dembowski zaczyna wypytywać troskliwie:

— Może ci podać lekarstwo?... Może chcesz pić?... Może ci co przeczytać?...

Ta ostatnia propozycja nadzwyczaj ucieszyła chorego.

— Och, tak, tak — czytaj, kochany Bronku! Mam tu pod poduszką książkę — sięgnij po nią...

Kolega książkę wy dostał.

— A! Rinaldo Rinaldini!

— Mnie czytać nie wolno... ale ukradkiem trochę przeczytał z początku. Dalszego ciągu jestem „okropnie” ciekawy.

— Tu tak ciemno — mówi tamten, przerzucając książkę — litery trudno rozeznąć. Czy tobie szkodzi światło?

— Ech, to tylko matka uparła się, żeby okna zasłaniać. A i ten mój doktor ciągle powtarza: „choremu potrzebny spokój... niech go światło nie razi”... Ale mnie nic nie razi — mógłbym patrzeć śmiało na samo słońce...

— Może uchylić trochę rolety? Inaczej wcale czytać bym nie mógł.

— Wiesz, Bronku? Teraz nikogo nie ma w domu; wszyscy w ogrodzie. Myślą, że ja usnąłem. Zrzucić, niby przypadkiem, tę kape; podnieś roletę — otwórz okno.

— Bój się Boga! Może ci zaszkodzi?

— Nie zaszkodzi — pomoże. Czuję, że świeże powietrze jest dla mnie tak konieczne, jak woda dla ryby.

— A co powie matka?

— Zanim przyjdzie, okno zamkniesz. Zresztą. Już ja to jakoś wykręcę.

Dembowski nie bez trudności uwalnia okno od ciężkich zasłon i na całą szerokość otwiera.

Potoki światła i powietrza wpadają do dusznego pokoju. Odślania się widok na ogród falami słońca zalany, na czysty turkusowy błękit nieba, po którym w różnych kierunkach z głośnym ćwierkaniem śmigają jaskółki.

Wiosna, jak wspaniała, dobroczynna królowa, przychodzi do chorego dziecka, aby je pocieszyć.

Sprężycki uniósł głowę, chudą szyję wyciągnął; oczy mu błyszczą, usta się śmieją. Na twarzy jego maluje się zachwyt.

Dopiero przy świetle dziennym widać, jak bardzo go choroba wycieńczyła. Policzki ma zapadłe, kości wystające. Nos mu się wydłużył i zaostrzył; włosy, dawno nie strzyżone, długimi kosmykami spadają mu na czoło.

Dembowski przygląda się koledze ze szczerym wzruszeniem.

— Zmizerniałeś, Witek! — mówi kręcąc głową.

— A tak, jestem teraz jasno-kościasty. Mogliby mnie wymalować zamiast „kostusi” na chorągwi żałobnej. Ale to głupstwo! Odstąp, proszę cię!

Ruchem ręki pokazuje koledze, żeby mu okna nie zasłaniał.

Zatonął wzrokiem w błękitach nieba — pierś jego szybko oddycha, wchłaniając przesycone zapachem bzu powietrze. Przez długi czas leży w milczeniu, potem mówi szeptem:

— Tak bym chciał mieć skrzydła!...

Nacieszył się wreszcie słońcem i powietrzem. Mruga na kolegę, a gdy Dembowski pochylił się nad nim, szczypie go w jedno ucho, potem w drugie i uśmiecha się do niego wesoło.

— No, Broniek — mówi rześko — teraz do czytania.

Dembowski otworzył starą, zatłuszczoną książkę — zaczyna:

„Szumiał wiatr gwałtownie nad grzbietami wyniosłych Apeninów, kołysał stuletnich dębów wybujałymi wierzchami i miotał słabym płomieniem ognia, koło którego przy skale Rinaldo i Altaverde siedzieli. Noc była ciemna, czarne chmury zakrywały księżyc, żadna gwiazda nie iskrzyła się na posępnym niebie”...

— Śliczne!... — wzdycha zachwycony Sprężycki— Ale ja to już znam. Pamiętasz, czytaliśmy ten początek zaraz po świętach na lekcji Żebrowskiego...

— Który nam zabrał książkę — ciągnie kolega.

— Którą potem Żebrowczak wykradł ojcu i nam oddał — kończy tamten.

Dembowski przewraca kilka kartek.

— „Doliny zabrzmiały trąb odgłosem”. Czy stąd zacząć?

— Trochę dalej.

— Aha, już mam! „Rozpoznawszy stanowiska nieprzyjaciół, Rinaldo dał znak i ruszył w lewo. Zaledwie sto kroków uszli, spostrzegli jakiś papier na ziemi. Podniósł go Altaverde i oddał Rinaldinemu. Ten zaczął czytać: W imię rządu, daje się przebaczenie każdemu z Rinaldiniego bandy, który opuści wodza swojego i do wojska przejdzie. Który zaś głowę Rinaldiniego przyniesie, ten oprócz wolności, otrzyma jeszcze pięćset cekinów w nagrodę”.

— Pięćset cekinów! — wykrzykuje Sprężycki. — Jak myślisz, Bronek: czy poślakomi się kto z towarzyszków Rinalda na tę nagrodę?

— Z pewnością ani Altaverde, ani Cinthio, ani Lodovico...

— O! Ja myślę, że nie znajdzie się ani jeden taki podły. Czytaj, Bronek! Umieram z ciekawości: co się dalej stało?

Dembowski ciągnie:

”Przeczytawszy, Rinaldo zawołał: — Towarzysze! To pismo obiecuje nam wolność i przebaczenie, jeżeli mnie opuścicie i na słowo oddacie w ręce żołnierzy. — Nie damy się uwieść! Przysięgliśmy ci wierność i tę zachowamy aż do śmierci — odezwał się Altaverde. — Wodzu! Wodzu! podrzyj ten papier na kawałki; zrobimy z nich ładunki, i obiecujących własnymi ich obietnicami zgładzimy ze świata!”

— Dzielni! Dzielni!... — krzyczy rozpromieniony Sprężycki. — Wiedziałem, że tak postąpią. I ja bym uczynił to samo, będąc na miejscu Altaverda.

Rinaldo jest ideałem obu przyjaciół. Nie pojmują fałszywego założenia książki, nie widzą jej częstych wykroczeń przeciw moralności — zachwyca ich jedynie śmiałość i waleczność bohaterów, wielbią żywość opowiadania, nadzwyczajną ruchliwość obrazów, przesuwających się szybko jak w kinematografie.

Ponadawali sami sobie i najbliższym kolegom imiona wzięte z powieści. Bronek Dembowski jest Altaverde, Maks Bałandowicz — Cinthio, Józio Sitkiewicz — Leonardo. Imię głównego bohatera Sprężycki zatrzymał dla siebie.

Przyjaciel skończył rozdział; chory odzywa się z mocą:

— Wiesz? Urządzimy teatr...

— Ba! — wzdycha Dembowski, spoglądając na chorą nogę kolegi.

— Do 13 czerwca muszę chodzić, choćby na kuli. Uczymy imieniny matki nadzwyczajnym przedstawieniem: „Nigdy tu jeszcze nie pokazywany Rinaldo Rinaldini, wielki bandyta włoski, czyli tajemniczy gość w zamku, czyli wpierw przestrah, potem radość”. Las z prawdziwych gałęzi, ognie bengalskie, wystrzały. Wszystko obmyśliłem. Hrabina — Walerka Bałandowiczówna; Alicja, jej siostra i powiernica — Walerka Zawistowska; Rinaldo — ja. Od ojca wezmę króciwę, burmistrz pożyczycy starego pistoletu. Jedno i drugie popsute, ale my na to poradzimy. Za sceną będzie kamień, na kamieniu kapiszon, przy kamieniu ty będziesz klęczał z młotkiem w ręce. W chwili, gdy Rinaldo przystępuje do otwartego okna i mówi: „Drż, hrabino, za chwilę ujrzysz całą bandę Rinaldiniego!”, ja podniosę pistolet do góry, a ty uderzysz młotkiem w kapiszon. Nastąpi wystrzał, Walerka spadnie z krzesła, a wy wszyscy z

okropnym — pamiętaj: z okropnym krzykiem wpadniecie na scenę, wołając: „Niech żyje nasz dowódca”!...

Zmęczony długą mową chory upadł na poduszki. Przez długą chwilę leży w zupełnym milczeniu, ciężko oddychając. Dembowski ze zwykłą troskliwością krząta się przy koledze: wachluje go gałązką bzu, od much opędza, zwilżył chustkę wodą kolońską i czoło mu naciera.

Nagle Sprężycki, coś ważnego sobie przypomniawszy, bystro spogląda w oczy kolegi.

— Dawno widział nasz kamień? — tajemniczo pyta.

— Wczoraj.

— Nieporuszony?

— Nieporuszony.

— Do kryjówki zagłądałeś?

— Trudno było. Wciąż się tam teraz kręcą ogrodnicy.

— Idź o północy, ze ślepej latarką w jednej ręce, z oskardem żelaznym w drugiej.

— Ba! Skąd wziąć oskarda?... Skąd wziąć ślepej latarki?...

— To prawda!... — zamyślił się tamten. — U nas wcale tych rzeczy nie znają. Co robić? W powieściach do podważania takich kamieni używają zawsze oskardów. Niepodobna brać ze sobą łopaty. To byłaby śmieszność zabijająca.

Wpadli obaj w zadumę — przemyślują, skąd wziąć romantycznych przyborów. Zgodzili się wreszcie na jedno: ślepej latarki i oskarda pożyczą z rekwizytorni teatru wędrownego, który na lato ma przybyć do P. Przy sposobności wezmą też stamtąd dwa sztylety...

Obaj chłopcy są niezmiernie dumni z posiadania tajemnicy. Ach! Wiedzieć coś takiego, co oprócz nas nikomu na ziemi całej nie jest znane — cóż to za rozkosz dla trzecioklasistów!

Tajemnica Sprężyckiego i Dembowskiego spoczywa zakopana w ziemi, w ustronnym kącie ogrodu zamkowego, pod dużym kamieniem, który przyjaciele, wszystkie siły wyteżywszy, na jeden cal od ziemi podnieśli.

Mieści się owa tajemnica w maleńkim, kryształowym flakoniku po perfumach; jest zaś — strach powiedzieć, a nawet pomyśleć — trucizna...

Na co chłopcom trucizna? Czyżby mieli, broń Boże, zamiar zgładzić kogo ze świata? Cóż by im jednak na czyjejś śmierci zależeć mogło? Na te pytania żaden nie umiałby dać odpowiedzi. Ale w Trzech Muszkieterach, w Monte-Chrisito, w Królowej Margot

itp. naczytali się tak wiele o truciznach, że wydało im się rzeczą, każdego porządnego bohatera obowiązującą: posiadać własną, niesłychanej mocy truciznę.

Trucizna Sprężyckiego i Dembowskiego była podwójnie ich własnością: nie tylko należała do nich, lecz i przez nich własnoręcznie została przyrządzona. Cóż to był za okropny jad! — Włosy się jeżą na samo wspomnienie!...

Do przyrządzenia swej trucizny chłopcy użyli wszystkiego, co — w ich pojęciu — ziemia posiada najbardziej morderczego. Mieścił się w niej: sok pokrzywy, rozgniecione pająki i stonogi, miało tłuczone szkło oraz wydobyte ze stłuczonego termometru żywe srebro (rtęć).

Kryjówka z trucizną znana była tylko przyjaciołom. Nikt postronny nie został przypuszczony do tajemnicy. Co więcej, obaj koledzy wykonali nawzajem przed sobą przysięgę, że do końca życia nigdy nikomu, nawet pod groźbą śmierci, tajemnicy owej nie wyjawią.

Honor Dembowskiego został niebawem wystawiony na próbę. Matka, zauważywszy brak kosztownego, pamiątkowego flakonika, posądziła o przywłaszczenie go służącą. Służąca udowodniła swą niewinność. Z kolei zwrócono się z podejrzeniem do Bronka. Sumienie małego bohatera musiało toczyć przykrą walkę. Ciężko było zwodzić matkę, kłamać i zapierać się popełnionej winy; ciężej jeszcze — złamać przysięgę, wykonaną o północy, przy bladym świetle księżyca, z sakramentalnym złożeniem dwóch palców na krzyż...

Nie wiadomo jaki przebieg i jakie zakończenie miała ta sprawa drażliwa w domu państwa Dembowskich — ostatecznie jednak tajemniczy flakonik na swym miejscu pozostał — i dotąd tam zapewne pozostaje...

Na posiadaniu tajemnicy nie kończą się tajemnice przyjaciół. Wymyślili nadto sztuczny alfabet i piszą do siebie listy „cyfrowane”, w których litery są zastąpione dziwnymi zygzakami. Próbowali nawet ułożyć własny język, ale im się to nie udało. Przy posługiwaniu się tym językiem wytwarzały się takie dziwolągi, że mimo największych wysiłków dla utrzymania powagi, żaden nie mógł powstrzymać się od głośnego śmiechu.

Jest coś rozrzewniającego w stosunku tych chłopców. Bracia rodzeni rzadko tak się kochają, jak oni. Jednego dnia bez siebie wytrzymać nie mogą. Jeśli jakaś nadzwyczajna przeszkoda nie pozwoli im widzieć się ze sobą, zaraz służące biegają z listami od jednego do drugiego.

Sprężycki cierpi na bezsenność. Brak ruchu, osłabienie, głuche, nieznośne bóle, wreszcie lekarstwa narkotyczne rozstroiły mu nerwy. Z wieczora długo zasnąć nie może; jest też pewnie ostatnim w miasteczku, któremu sen skleja znużone powieki.

Te chwile oczekiwania na spoczynek, w niebieskawym półmroku zakrytej umbrą lampy, w głębokiej, jakby cmentarnej ciszy, są dlań najboleśniejże.

Czuje się wówczas tak samotny, tak opuszczony przez wszystkich, tak nieszczęśliwy...

Domownicy, wyczerpani ciągłym czuwaniem, pozasypiali. Nawet matkę, która siedziała na fotelu z zegarkiem w ręce, pilnując pory podawania lekarstw, zmieniania okładów, sen pokonał. Słyszc tylko szelest wahadła zegarowego, cykanie „repetiera”, miarowe oddechy śpiących.

Przez okna, nie dość szczelnie zasłonięte roletami, zagląda noc, czarna jak kir na katafalku. Co pewien czas, zegar na wieży farskiej bije przeciągle godzinę. Daleko, na krańcach miasta, nawołują się warty wojskowe — głos ich drżący, smutny, oddaleniem stłumiony przedziera się przez ciemność, jak ostatni jęk konającego...

Śmiertelnie lęka się tych chwil chory chłopczyna. Gdyby przynajmniej skrócić je mógł książką lub rozmową! Niestety, i rozmawiać z kim nie ma, i czytać mu nie wolno.

Dowiedział się o tym przyjaciel. Jakże nie ulżyć cierpiącemu! Jakże nie pocieszyć opuszczonego! I oto niemal codziennie przesiaduje przy chorym do północy, książki mu czyta, zabawia go opowiadaniem — nawet panią Sprężycką w podawaniu lekarstwa wyręcza.

Dopiero gdy chory uśnie, Dembowski wysuwa się na palcach z pokoju, budzi zdrzemniętą, czekającą nań w kuchni Marysię i w towarzystwie sługi, niosącej zapaloną latarnię, pustymi, ciemnymi uliczkami powraca do domu. Matka czyni mu głośne wyrzuty, łaje go, odmawia mu wieczerzy — ale poczciwy chłopiec, zaprzysięgłszy koledze przyjaźń, wszystko dla stwierdzenia jej ścierpieć jest gotów.

Jednego dnia przyszedł smutny, pobladły, z zaczerwienionymi od płaczu powiekami. Było widoczne, że go coś głęboko wzruszyło i że to wzruszenie ukryć pragnie. Silił się na zwykły humor, starał się zabawiać kolegę żarcikami — głos mu jednak drżał, załamywał się — smutny wyraz twarzy świadczył o usposobieniu bynajmniej nie żartobliwym...

Sprężycki zauważył, że przypatruje mu się z niezwykłym natężeniem i jakby z politowaniem, że co pewien czas wzrok odwraca, powiekami mruga i szybko zerwawszy się z krzesła, odchodzi od okna, lub w ciemny kąt pokoju.

Odwrócił się raz za nim i dostrzegł, że ręką oczy ociera...

— Bronek! — zawołał zdziwiony — Ty płaczesz?

Kolega odsłonił twarz, wykrzywioną sztucznym uśmiechem.

— Co znowu?... Przywidziało ci się!

— A czemuś tarł powieki?

— Coś mi wpadło w oko.

— Kłamiesz, Bronek!

— Nie... nie kłamię. A zresztą... mówmy o czym innym. Wiesz? Dostałem trzeci tom Nędzników. Nie masz pojęcia jakie awantury wyprawia ten Valjean...

Sprężycki nadstawił uszu.

Właśnie w tym czasie arcydzieło Wiktora Hugo, wzruszające całą Europę, przedostało się w tłumaczeniu i do P., gdzie nadzwyczajne przygody Valjeana, Kozety, Mariusza i rodziny Thenardierów najwyższy zachwyt budziły w sercach dwóch przyjaciół-entuzjastów...

Chory, o wszystkim zapominając, zaczął wypytywać:

— Cóż się stało z córeczką Fantiny?... Czy stary pan kupił jej wówczas tę śliczną lalkę?... A pieniądze, zakopane pod drzewem, czy nie zginęły?... Czy Javert wciąż prześladowuje dobroczyńcę w piaskowym surducie?... Czy biskup nie upomniał się wypadkiem o swoje świeczniki?...

Zawiązała się ożywiona rozmowa. W zapale rozmowy nawet Dembowski o nurtującym go smutku zapomniał.

Wrócił jednak ten smutek nazajutrz i przez czas długi dobrego, czulego chłopca nie odstępował.

Tymczasem przy chorym odbywały się coraz częstsze konsylia lekarskie. Doktorzy dręczyli go nieustannym macaniem pulsu, wygniataniem boków, oglądaniem spuchniętej nogi, sondowaniem rany bolącej, wreszcie, najbardziej może drażniącym, łacińskim szwargotem.

Matka miewała często łzy w oczach, inni domownicy i przyjaciele domu tajemniczo szeptali po kątach, w obocznym pokoju przyciszone prowadzili narady.

Nareszcie jednego dnia zaszły przed dom konie ekstrapocztowe; ojciec Sprężyckiego siadł na bryczkę i pojechał do Warszawy.

Po dwóch dniach nieobecności wrócił przywożąc nowego lekarza — homeopatę.

Z tym lekarzem do pokoju i do duszy chorego wstąpiło jakby słońce.

Skończyły się bolesne sondowania, plastry palące jak ogień, okłady, podobne kajdanom, wstrętne mikstury, osłabiająca dieta — skończyła się przede wszystkim ponura, więzienna ciemność, otaczająca dotąd małego męczennika.

Homeopata kazał pootwierać okna na całą szerokość, zasłony wszelkie odrzucić, do rany przykładać tylko kawałki płótna nasmarowane zwykłym tłuszczem, a za jedyne lekarstwo używać wody, w której rozpuszczono kilka drobnych jak ziarnka makowe kuleczek.

Sprężyckiemu wydało się, że jakiś duch dobroczynny wydobył go z dna otchłani czyszcowej. Wrócił mu sen, apetyt, humor.

Był zdolny przez całą godzinę, z błogim na ustach uśmiechem, przyglądać się przez otwarte okno błękitowi nieba, po którym — na kształt ciemnoszafirowych błyskawic, przebiegały nieustannie jaskółki. Cieszył się światłem słońca, świeżością powietrza — życie wydawało mu się skarbem nad skarbami.

Gdy już wszystkie polecenia homeopaty zostały spełnione, kazał on podać sobie do pokoju chorego drugie śniadanie i z wielkim apetytem zabrał się do jedzenia.

Sam widok tego lekarza sprawia Sprężyckiemu wrażenie przyjemne. Jest to tłuścioch, starannie i czysto ubrany, z twarzą całkowicie wygoloną, wesołą, uprzejmie uśmiechniętą. Z chorym obchodzi się delikatnie, ostrożnie, nawet serdecznie — jak z własnym synem.

Napiwszy się wódki i przekąsiwszy bułeczkę z kawiozem, homeopata wydostaje ze swej podróżnej szkatułki nóż osobliwego kształtu i błysnąwszy nim przed oczyma chłopca, mówi z uśmiechem:

— Patrz, kochanku: takim to strasznym narzędziem chcieli tamci urznąć ci nogę. My zaś użyjemy tego narzędzia do ukrajania potężnego plastra szynki surowej i odpowiedniego kawała placka — co pewnie lepiej ci będzie smakowało niż kleik i biszkopeciki, którymi cię dotąd żywiono.

Chory, długim postem wycieńczony, rzuca się łapczywie na ciasto i na mięso — jednak duszę nurtuje mu usłyszana wiadomość.

— To mnie mieli naprawdę nogę urznąć?... — myśli z przerażeniem, które mu włosy na głowie podnosi.

Po odejściu lekarza, zwraca się z tym pytaniem do matki.

Matka w odpowiedzi wybuchła płaczem, przyciska syna do piersi, okrywa go pocałunkami i zaleca, żeby starał się o tym nie myśleć...

Ale zalecenie nie skutkuje: nad myślami tak trudno zapanować! Sprężycki, gdy tylko oczy przymknie, widzi strasznych ludzi z nożami, piłami, kleszczami, którzy znęcają się nad jego biedną, chorą nogą, miażdżą ją, szarpią, odrywają...

Przed wieczorem wpada do niego Dembowski, rozpromieniony, wesoły — na szyję mu się rzuca i woła:

— Więc już ci nogi nie urzną?... Wiwat!...

— A ty skąd wiesz, że mieli urzynać? — pyta chory.

— Wiedziałem wpierw, niż wszyscy.

— Skąd?

— Doktor Dobrzelewski mówił o tym u moich rodziców.

— I ty nic mi nie wspomniałeś!

Tamten milczy zakłopotany.

— Już teraz wiem, co ci oko zaproszyło wtenczas... kiedyś to stał przy oknie... pamiętasz?

— Ech, nie ma o czym mówić!... Rzecz główna, że dwie nogi ocalały.

— Jak to dwie?

— Jedna twoja, druga moja.

— Twoja?

— No tak, bo gdym usłyszał, co doktor mówi, zaraz pobiegłem do naszego kamienia i tam wykonałem ślub: że jeśli ty będziesz miał nogę odjętą, ja również pozbędę się swojej.

— Co wygadujesz! Jakże mógłbyś to zrobić?

— Alboż to co trudnego? Poszedłbym na wojnę i tak bym manewrował, że kartacz musiałby mi nogę urwać... A jak nie, to już bym sobie w inny sposób poradził.

Sprężycki, który ma zwyczaj brać wszystko „na rozum”, zastanawia się długo nad tym, co usłyszał. Wreszcie mówi:

— Słuchaj, Broniek. Gdybyś zrobił, co mówisz, byłby to wielki grzech. I byłoby to także wielkie głupstwo.

Dembowski posepnieje.

— Ale tymczasem... chodź no tu bliżej.

Tamten podchodzi do łóżka — Sprężycki chwytą go wychudłymi rękami za szyję i poczyną wycalowywać.

Z oczu płyną mu łzy gorące...

XIV. Szkoła i klasztor

W samym środku długiego piętrowego gmachu, przypierającego jednym końcem do kościoła Ojców Benedyktynów, znajdują się duże, ciężkie, okute drzwi, z wielką mosiężną klamką, umieszczoną tak wysoko, że „knoty” wspinać się do niej muszą na palcach, a niżsi spomiędzy nich wcale dosięgnąć jej nie mogą.

Te drzwi prowadzą razem do szkoły i do klasztoru.

Lewa połowa gmachu, łącząca się z kościołem, należy do zakonników; prawa — stanowi własność uczniów i nauczycieli.

Pomimo, że żaden mur nie rozgradza tych dwóch połów, że żaden napis nie wskazuje przeznaczenia jednej i drugiej — tworzą jakby dwa światy odrębne. Zdaje się, że między tymi połowami leży przepaść, niemożliwa do przebycia.

Nikt też nawet nie próbuje przebywać owej przepaści.

Choć korytarz klasztorny jest tylko przedłużeniem szkolnego, nigdy nie widzi się na nim niebieskiego mundurka ucznia ani granatowego fraka nauczyciela. Nawzajem nie pojawia się nigdy na korytarzu szkolnym czarna sutanna z krótką pelerynką oraz wysoki, składany biret.

Istnieją dwa tylko od tej zasady wyjątki. Na połowę szkolną wkracza w pewnych godzinach ksiądz prefekt, dążący na lekcje religii; do połowy klasztornej wślizguje się niekiedy, cicho pomykając na wytartych, miękkich podszwach — profesor Izdebski.

Łacinnik zapuszcza się tam rzekomo dla zaciągnięcia rady w rozwikłaniu trudnego tekstu Owidiusza lub Korneliusza Neposa — naprawdę zaś po to, żeby raz u tego, to znów u innego ojca łyknąć kieliszek wina i zaopatrzyć się w tabakę, które to rzeczy zakonnicy posiadają w przednim gatunku.

Na pograniczu tych dwóch światów znajduje się kuchnia klasztorna, mimo której przechodzić trzeba, idąc na dziedziniec szkolny. Króluje tu, w otoczeniu kilku kuchcików oraz chłopców przynoszących drzewo i wodę, stary kuchmistrz, Francuz, o którym mówią, że podczas kampanii 1812 roku służył u któregoś z generałów napoleońskich, a po śmierci swego pana w Polsce pozostał.

Gdyby to było prawdą, musiałby liczyć lat z górą osiemdziesiąt.

Ha, może i liczy...

Jest to staruszek zgarbiony, z niezmiernie długim, do dzioba kruczego podobnym nosem, z zakłęsłymi wargami, bez zębów, bez jednego włoska na wygolonej twarzy,

nieustannie zażywający tabakę, nie zdejmujący prawie na chwilę swej wysokiej, kuchmistrzowskiej czapki z białego perkalu.

Rzadko staje przy ogniu i własnoręcznie manewruje rondlami — najczęściej siedzi w postawie majestatycznej na osobliwym fotelu, który bodaj czy nie był kiedyś konfesjonalem... i szepleniącym głosem rzuca stamtąd swym pomocnikom krótkie, energiczne, francusko-polskie rozkazy.

Uczniowie, przechodzący w porze przedobiedniej obok kuchni klasztornej, zatrzymują się na dłuższą chwilę, aby, wetknąwszy nosy, wchłaniać nozdrzami przedziwne, dobywające się z niej aromaty...

Wonna i obfita jest ta kuchnia w każdym dniu tygodnia — opisać jednak trudno, jakimi zapachami tchnie i jakiego blasku nabiera w święta uroczyste i w odpusty, gdy ojcowie ugaszczają w swym refektarzu „matadorów” z miasta i ze wsi wystawnym obiadem...

Wówczas to w niejednym synku zagrodowego szlachetki, na razowcu wychowanym, budzi się nagle powołanie do życia zakonnego. Postanawia przykładać się pilniej do łaciny i marzy z utęsknieniem o dniu, w którym będzie mógł rozpocząć nowicjat. Nie przeczuwa, niestety, że już wkrótce ten nowicjat zamknięty zostanie przed nim — i przed wszystkimi...

Ale nie tylko pospolite, materialne wrażenia otrzymuje szkoła od klasztoru.

Ileż to razy, gdy w klasie choćby przelotny spokój zapanuje, nadpływają do niej stłumione, uroczyste akordy organu — często złączone z oddalonym a potężnym chórem ludu, śpiewającego litanie lub Suplikację.

Najwięksi zbytnicy wówczas poważnieją. Kozłowski przestaje wykrzywiać się, Sitkiewicz zapomina o przygotowanej dla sąsiada „sójce”, Piotruś Mieszkowski chowa do teki napoczęte jabłko — nawet Kataryniarz dał pokój żuciu gummy, a Łaguna opychaniu się chlebem razowym.

Co się tyczy Sprężyckiego, który oznacza się wyjątkową na te rzeczy wrażliwością, jest on aż do łez wzruszony. Zapomina o lekcji, o kolegach — zapatrzony w przestrzeń, jakby nieprzytomny, zagłębia się we własnej duszy szukając słów, którymi mógłby wrażenia swe odmalować...

Niemale zajęcie budzi wśród uczniów — pompa klasztorna, przy której gaszą pragnienie na pauzach, a po trosze i podczas lekcji.

To biedne pompisko, do niemożliwości rozklekotane, rozdzwonione i skrzypiące, szarpane i na wszelki sposób dręczone codziennie, po sześć godzin na dobę, odpoczywa tylko podczas świąt i wakacji.

Przy pompie, na maleńkim, brukowanym placu, otoczonym murami, które oddzielają dziedziniec szkolny od wewnętrznego, wyłącznie zakonnikom służącego, kręci się zawsze kilka niebieskich mundurków. Sprowadziła je nie tyle chęć napicia się wody, co uciezki przed trudną lekcją i złym stopniem.

Chłopcy piją wodę czapkami, oblewają się, palą papierosy i paplą, paplą, paplą, jak sroki sejmujące.

Najczęstszym przedmiotem rozmów jest sama pompa.

— Zimna woda, co?... — zapytuje „knota”, po raz pierwszy tu przybywającego, stary wyga szkolny w zatłuszczonej i przemoczonej czapce, zaciągający się grubym papierosem z drajkenigu, zawiniętego w papier brulionowy.

— Zimna, panie... aż zęby cierpną... — mówi malec, ocierając usta rękawem.

— A wiesz: dlaczego zimna?... — bada tamten z dwuznacznym, szatańskim uśmiechem.

— Nie wiem, proszę pana.

— Od nieboszczyków.

— Ja... jak to, proszę pana?

— Wiadomo, że każdy nieboszczyk zimny jak lód; pod kościołem pełno nieboszczyków; a ta woda płynie prosto spod kościoła.

— Do... doprawdy?

„Knot” blednie i zębami dzwonić zaczyna. Robi mu się tak zimno, jakby sam był nieboszczykiem.

Ucieka od pompy i postanawia nigdy już nie pić tej wody okropnej.

Ale to postanowienie długo nie trwa. Chłopiec przekonywa się niebawem, że wszyscy w szkole o nieboszczykach wiedzą i że to nikomu apetytu do wody nie psuje. Miałżeby okazać się mniej odważnym i wybredniejszym niż ogół kolegów?

Tradycja, pokoleniom przez pokolenia przekazywana, twierdzi, że źródło zasilające pompę wytryska w podziemiach kościelnych, gdzie od kilku stuleci chowają zmarłych zakonników. Chowają zaś nie w zamkniętych trumnach, lecz po prostu na gołych deskach, z kamieniem pod głową...

Ten i ów ze starych uczniów „zaklina się”, że widział wypływające z wody kawałki ciała ludzkiego.

— Jak Bożę kocham... widziałem raz kawałek palca... wyraźnie wam powiadam: palca... Może nie wierzycie?...

— Co nie mamy wierzyć!... — przytwierdza drugi. — Mnie zdarzyło się jeszcze lepiej, jak matkę kocham. Pompuję ja raz, pompuję, pompuję — woda ani rusz, nie chce lecieć. Spociłem się, zziąłem — a tu ani kropli. Naraz jak buchnie... Coś upadło na kamienie. Schyliłem się, patrzę, palec trupi, jak kość bielusieńki, a na palcu — sygnet.

— Wziąłeś go?...

— Jakiś ty głupi! Takie rzeczy brać — grzech! I nie tylko grzech, ale strach. Potem nieboszczyk spokoju nie daje, nadchodzi w nocy, tarmosi i krzyczy: „Oddaj, coś zabrał!”...

— Cóżżeś zrobił z sygnetem?

— I sygnet, i palec zakopałem pod krzyżem na rozstajnych drogach o samej północy. Pojęcia nie macie, co się tam działo. Wicher dał i piaskiem kręcił; sowy hukaly, nietoperze były skrzydłami po głowie, a diabeł śmiał się: „Hi, hi, hi!... hi, hi, hi!”... Jak ciotkę kocham!

— Eeee... — kręci głową jakiś sceptyk — nie może być!

— Co? Nie wierzysz? — przyskakuje tamten z miną prawie groźną — Nie wierzysz?

— Bo... bo... — jąka sceptyk głosem mniej pewnym — skądże by w wodzie wziął się palec z sygnetem?

— Z trumny, niedowiarku!

Mierzy go wzrokiem złowieszczym, potem spluwa i zwraca się do całej kompanii.

— Nie pojmuję — mówi zagadkowo — jak wy możecie pić tę wodę obrzydliwą!...

— A ty to nie pijesz? — wyrywa się któryś.

— Od tygodnia kropli do ust nie wziąłem. I choćbym miał umrzeć z pragnienia, nie wezmę.

Zamyśla się, na palcach liczy...

— Nie, nie od tygodnia. Od pięciu dni — od poniedziałku. Zobaczyłem wówczas jedną rzecz — i mam już dość tej wody i tej pompy.

— Coś zobaczył?... Gadaj! — nalegają zaciekawieni chłopcy.

— Eeee... — wtrąca sceptyk — nie wierzcie mu! On tylko taką sobie „finfę” puszcza.

— Milcz, głupi! — zakrzykują sceptyka inni.

— Kto taki niewierzący, niech nie słucha!

— I niech się wynosi!

Kilka rąk wyciąga się ruchem groźnym. Chwila szamotania się — i niebawem na dziedzińcu o jeden mundurek mniej...

— Mów teraz, mój kochany!... — napierają pozostali, ściskając opowiadacza ciasnym kołem. — Obiecałeś przecie!... A jakże!... Cóżeś zobaczył?... Co?...

— Tam... we środku tej rury... — wyjaśnia z przestankami tamten — w poniedziałek... na ostatniej pauzie... zobaczyłem... ludzkie oko!

Milkną wszyscy z przerażenia.

Dopiero po dłuższej chwili odzywa się głos jeden pytająco:

— Wypląnęło?...

— Nie, tkwi tam dotąd.

Ten i ów pobladł. Jednemu zaczyna burczeć głośno w żołądku woda, której opił się przed chwilą.

— Czy... czy... — pyta inny nieśmiało, starając się nie szczekać zębami, co mu się jednak nie udaje — czy jeszcze je tam widać?

— Widać. Każdy zobaczyć je może.

Rzucają się wszyscy do otworu.

Najsilniejszy, odepchnąwszy innych, przyłożył oko, popatrzył chwilkę i — szybko się cofnął.

— Jest! Jest! — krzyczy, razem z tryumfem i przestraczem.

Drugi miejsce jego zajął; jeszcze krócej zabawił przy rurze.

— Widać!... Dalibóg widać!... — obwieszcza i stara się odsunąć jak najdalej od pompy.

Trzeci zwiastował kolegom niespodziankę:

— Nie tylko „siedzi”, ale nawet „mruka!”

W większe jeszcze zdumienie wprawiają wszystkich bracia Polkowscy, bliźnięta, którzy na minutę nie rozłączają się i czynią wszystko we dwójkę.

Obaj przyłożyli równocześnie twarze do rury i wrzeszczą:

— Tam jest nie jedno oko, ale dwa... wyraźnie dwa!

— Kłamiecie! — gromi ich pierwszy odkrywca cudu.

— Jak mamcię kocham!... Jak papcię kocham!...

— Kłamiecie!

Odepchnięto ich. To ten, to ów zagląda w otwór i stwierdza głośno, że jest tam tylko jedno, jedyne oko.

Przekonani o kłamstwie bliźnięta zostają obici, wodą oblani i wyrzuceni z dziedzińcyka.

Przez kilka dni pompa stała beczynnie. Nikt nie odważał się pić wody, przepływającej przez trupie oko. Pompowano ją tylko, próbując, czy złowieszczy szczątek ciała ludzkiego nie wypłynie na zewnątrz. Nie wypływał jednak.

I byłoby to trwało Bóg wie jak długo, gdyby nie zjawił się wreszcie człowiek rozsądny i nie wyjaśnił chłopcom zagadki — śmiesznie prostej.

Każdy zaglądnący do rury widział... własne oko, w mokrym jej wnętrzu odbite. Bracia Polkowsy widzieli dwoje oczu, gdyż każdy, oprócz własnego, dostrzegł jeszcze oko swego brata.

Wejście do ogrodu klasztornego jest dla uczniów zamknięte. Ale można sobie z tym poradzić. Trzeba mocno kołatać do furty, na zapytanie zaś: „A kto tam?... Do kogo?”... odpowiedzieć śmiało:

— Do ogrodnika, po frukta!

Wielokrotnym doświadczeniem zostało stwierdzone, że wyraz „frukta” skuteczniej działa w tym wypadku niż „owoce”.

Na nieszczęście szalona ogrodnika znajduje się o kilkadziesiąt kroków za ledwie od bramy, jakby dopiero u progu właściwego ogrodu. Dalej można sięgać jedynie wzrokiem.

Tylko najodważniejsi i najsprytniejsi, a zarazem w stosunkach zażyłych będący z ogrodnikiem, przedostają się niekiedy do ogrodowego sanctuarium, gdzie ojcowie benedyktyni używają przechadzki lub czas trawią na pobożnych rozmyślaniach.

Aby tego dokazać, trzeba zdjąć mundurek, niebieskie kepi zastąpić wielką, podartą, do gniazda wroniego podobną czapką i z koszykiem, nożycami lub drabinką w ręce, iść między drzewa owocowe w roli — ogrodniczka.

Próbował tego kilkakrotnie Sprężycki z powodzeniem. Udając, że obcina suche gałązki lub zbiera z ziemi owoc upadły, napatrzył się do syta zakonnikom, snującym się cicho po cienistych ulicach ogrodu.

Starsi przechadzali się pojedynczo, młodszy trójkami, stosownie do reguły zakonnej. Nie słyszało się rozmów głośnych, ani tym bardziej śmiechu.

Księża mruzcili pacierze, odczytywali półgłosem brewiarz lub siedzieli na ławkach kamiennych w zupełnym milczeniu, to wodząc oczyma po drzewach i niebie, to z głową zwieszoną w ziemię się wpatrując.

Czasem tylko wielki, otyły ojciec Łazowski, pociągnawszy większy, niż zwykle, niuch tabaki, wystrzela potężnym kichnięciem, a w odpowiedzi, w różnych stronach ogrodu, zaszemrały łacińskie życzenia.

Raz wszakże przeżył Sprężycki chwilę gorącą.

Siedzi sobie na grubym konarze gruszy jak na koniu i zbierając rzekomo liszki, przygląda się przeorowi, co nieopodal, wsparty plecami o starą lipę, zdrzemnął się nad wielką, na kolanach rozłożoną księgą — gdy nagle dobiegło go z dołu zapytanie:

— Cóż to, panie święty, Jaśka nie ma?...

Pytającym jest ksiądz prefekt we własnej osobie. Zapytuje o Jaśka — ogrodniczka, którego rolę pełni pozornie Sprężycki.

— Nie... nie ma... — bełkoce wystraszony chłopiec.

— Cóż mu się stało? — bada ksiądz.

— Cho... chory... — jąka Sprężycki, starając się głos ile można zmienić.

— A tyś co za jeden, rybko panie święty?

Sprężycki brzydzi się kłamstwem — widzi jednak, że ono tylko ocalić go może. Więc twarz w liście wtuliwszy, odpowiada niewyraźnie:

— Brrr... brr... brat Jaśka.

Źle trafił, niestety...

— Oszalałeś, panie święty! — krzyczy prefekt. — Przecie Jasiek ma tylko siostrę.

Wystraszony chłopiec chce już powiedzieć: „Toteż ja jestem siostra”... — ale opamiętywa się i poprzestaje na wymruczeniu czegoś niezrozumiałego.

Ksiądz przez chwilę przypatruje mu się badawczo spod oka — wreszcie ręką machnął — odchodzi.

Sprężycki natychmiast zeskoczył z drzewa, pobiegł do budki ogrodnika, przebrał się i — za bramę. W pośpiechu zapomniał nawet o małgorzatkach, kupionych za oszczędzonego na kajetach trojaka.

Nie tyle trapi go myśl, że mógł być przez księdza prefekta poznanym, ile — że skłamał. Nienawidzi wszelkiego brudu w znaczeniu zarówno fizycznym jak moralnym.

Jedno tylko ma przed sobą wyjście: iść do księdza, otwarcie wszystko wyznać i prosić o rozgrzeszenie.

Uczynił to zaraz nazajutrz. Poczciwy prefekt, uśmiech powstrzymując, udzielił mu absencji, przy czym i nauk moralnych nie poskąpił.

— Kto ma odwagę, panie święty, zrobić głupstwo, nie powinien uciekać tchórzliwie przed jego skutkiem. A najlepiej: głupstw nie robić.

Pogłaskał go po głowie i dodał:

— Za karę, rybko, pozwalam ci dziś zjeść tylko pół kwarty gruszek i to mączystych.

Gdy już chłopiec był na korytarzu, wychylił się za nim i dał mu wielką, soczystą sapieżankę.

— Zjesz to jutro. A pamiętaj, rybko, panie święty, nie pchać się nigdy tam, gdzie cię nie proszą.

Ostatni nakaz dla Sprężyckiego najcięższy. Gdyby chciał ściśle go wypełniać, jakże fatalnie zacieśniłoby się pole jego wrażeń i spostrzeżeń!

Wszakże nikt nie „prosi” go na wieżę benedyktyńską, na dzwonnice farską, do leśnych gąszczów, do rzecznych otchłani, między zboża falujące na polach, między kwiaty płonące na łąkach — ani do ogrodów, ani do bibliotek, ani na tłumne odpusty, ani na uliczne zbiegowiska — a jednak wszędzie on tam być musi, ciągniony siłą nieprzepartą, instynktową, która mówi mu, że tylko w ten sposób pozna ludzi, życie, przyrodę, nauczy się być zupełnym, wszechstronnie rozwiniętym człowiekiem...

Bezpośrednio po nauce otrzymanej od prefekta, Sprężycki próbuje walczyć z jedną pokusą, nie dającą mu od pewnego czasu spokoju. Chciałby koniecznie zobaczyć — „pustelnię” księdza Siennickiego.

Jest to oczywiście miejsce przed światem ukryte — inaczej nie byłoby pustelnią. Znajduje się na pobrzeżu Narwi, które tu wrzyna się tak głęboko w rzekę, że tworzy rodzaj półwyspu.

Zewnątrz pustelnia wygląda jak piękny, gęsty gaik, różnorodnymi drzewami zarosły, pełny ptactwa wszelakiego, które na wiosnę tłumnie się zlatuje, nęczone bliskością wody i spokojem i wyprawia od świtu do wieczora niesłychane hałasy.

Marzeniem jest wszystkich miasteczkowych ptaszników zastawiać w tym zakątku sidła na wilgi, kraski, dzwońce, drozdy, jemioluchy — dostęp wszakże do pustelni równie trudny od strony wody, jak lądu. Otacza pustelnię żywopłot, wzmocniony przy wejściu wysoką, ostrymi hakami najeżoną, palisadą. Brzeg rzeki, wyniosły i stromy, staje się w tym punkcie zupełnie prostopadłym. Chyba tylko wiewiórka potrafiłaby po splątanych, wypełzłych z ziemi i do wody czołgających się korzeniach, wdrzeć się na wierzchołek którego z drzew, a stamtąd skokiem szalonym wpaść do wnętrza gaiku...

Nie trzeba jednak palisad i brzegów stromych, żeby pustelni zapewnić niedostępność. Silniej od tego wszystkiego broni ją: strach przed osobą pustelnika.

W całym zgromadzeniu jeden ksiądz Siennicki uosabia typ średniowiecznego mnicha-ascety. Jest to również jedyny ksiądz, do którego nie przybiegają przy

spotkaniu dzieci, żeby ręce jego całować. Wystarczy dziecku spojrzeć w tę twarz żółtosiną, w zapadłe, ponuro błyszczące oczy, żeby od razu onieśmielić się i — uciec przed nadchodzącym.

Przy tym ksiądz Siennicki jest chromy. Reguła klasztorna nie pozwala na używanie szczydła — biedny kaleka chodzi z trudnością, stukając głośno złamaną nogą, częstym jękiem przerywając odmawiane pacierze. To go straszniejszym jeszcze czyni dla naiwnych — nie brak zaś tych ostatnich w miasteczku.

Najdziwniejsze i najpotworniejsze rzeczy rozpowiadają o księdzu Siennickim kumoszki, a za kumoszkami łatwowierni uczniowie. Bajki to są godne śmiechu. Jedno tylko pewne: że ten ksiądz przekłada nad wszystko książki i samotność, że towarzystwa ludzi o ile może unika, że nawet ze współbraćmi zakonnymi jak najmniej przestaje.

Bliżej znający go wiedzą, że posiada ogrom nauki i erudycji. Prócz łaciny, włada doskonale językiem greckim i hebrajskim; w sprawach zarówno teologicznych jak filologicznych jest uznaną powagą. Prowadzi rozległą korespondencję z uczonymi; z Rzymem utrzymuje stałe stosunki listowe. Życie wypełniają mu: nauka, ascetyczne umartwienie ciała i modlitwa. Sprężycki nie boi się księdza Siennickiego. Szanuje go za wielką naukę i trzyma się od niego z daleka. Ale dręczy go nadzwyczajna, prawie chorobliwa ciekawość zobaczenia „pustelni”.

Prawda, że i tam go „nie proszą” ale... przywykł już na to nie zważać. I oto przychodzi taki dzień, że marzenia jego oblekają się ciałem. Jest w zaczarowanym gajku i przyczajony za krzakiem jaśminu, którego kwiaty o zawrót głowy go przyprawiają, drżący od strachu i wzruszenia, z głośno bijącym sercem i z oczyma nadmiernie wytrzeszczonymi przygląda się drzewom, kwiatom, ptakom i samemu pustelnikowi.

Jak się tam dostał? Najprostszą w świecie drogą: przez furtkę. Ksiądz, wchodząc, zapomniał ją zamknąć — on z tego skorzystał i wśliznął się chyłkiem do środka.

Siedzi przeto, patrzy, dziwi się i nadziwić dość nie może.

Śliczny to zakątek, choć zupełnie dziki. Ani śladu jakiegokolwiek uprawy; nigdzie grządki jednej, zagonu, klombu. Pod drzewami, których konary splatają się ze sobą — gąszcz krzaków; przy krzakach rozkołysana fala ziół; nad ziołami — roje motylów, pszczoł, szerszeni, muszek złocistych, chrząszczyków, biedronek.

Przy najgrubszym drzewie, pod baldachimem z liści, kawał deski na dwóch kamieniach opartej. To ławka. Na ławce w nieładzie książki, wielkie, średnie i bardzo małe — wszystkie bez wyjątku oprawione w skórę, z czerwono barwionymi brzegami.

Zakonnik tylko co skończył polewać kwiaty — dzikie kwiaty! Odstawił konewkę, wy dostał woreczek płócienny; zaczyna sypać ptakom — dzikim ptakom! — ziarno.

Sprężycki ledwie może powstrzymać okrzyk zdziwienia...

Widował nieraz na wsi gospodynię lub panienkę ze dworu, jak wyszedłszy na środek dziedzińca rzucały poślad wołając „cip! cip!... taś! taś!”... Zlatywało się wówczas do nich ptactwo — ale jakie ptactwo? Kury, perliczki, gęsi, kaczki, indyki — zwykły plebs ptasiego rodzaju, niezdolny latać, zajęty wyłącznie żerem i sam na żer przeznaczony.

Teraz ma przed sobą widowisko podobne, lecz z charakterem zupełnie odmiennym, bez porównania wyższym, idealniejszym.

Wychudły, chorowity, ledwie żywy asceta, z odkrytą głową, na której wiatr rozwiewa długie, białe włosy, stoi wśród ziół polnych i szerokim rozmachem kościstej ręki rzuca na prawo i lewo garście ziarna. Rzucając, mówi coś głośno, językiem obcym, dziwnym — po grecku może lub po hebrajsku — jakby zwracał się z przemową do biesiadników, co stół jego obsiedli.

Na ten ruch i na te słowa, ze wszystkich drzew i krzaków sfruwają mniejsze i większe ptaki, trzepocąc wesoło skrzydłami, piszcząc, gruchając, pełne ufności i radosnego upojenia. Skrzydlata czereda podlatuje do samych stóp mnicha, nad głową jego krąży, niemal na ramionach mu siada. On czasem rękę wyciągnie, jakby witał nowo przybywających gości, albo ich błogosławił. Są zaś między tymi ptakami nawet najstrachliwsze, które zwykłemu człowiekowi, na kilkanaście kroków zbliżyć się do siebie nie dadzą...

Przejęty podziwem chłopiec zapomniał o ostrożności — głowę zza krzaka wychyla.

Ksiądz go nie dojrzał — ale dojrzały ptaki.

W mgnieniu oka całe stado pierzcha w górę i z hałaśliwym szumem skrzydeł znika wśród gąszczów.

Zrozumiał zakonnik, co się stało — złowieszczy wzrok zwraca w stronę intruza. Sprężycki zamyka oczy, dusze Bogu poleca. Po chwili czuje się pochwyconym kościstą dłonią za ramię, silnie szarpniętym i wyciągniętym z kryjówki. Staje wreszcie a raczej: jest postawiony, nad głową zaś jego rozlega się twardy, suchy, drewniany głos:

— Katolik jesteś, pauprze?

Odważył się oczy otworzyć. Widzi przed sobą księdza, siedzącego na ławce — mniej groźnego i strasznego, niż sobie wyobrażał, za to bardziej smutnego.

— Katolik jesteś? — powtarza zakonnik pytanie.

— Katolik, proszę księdza dobrodzieja. Ojciec mój także katolik i matka katoliczka, i cała nasza rodzina katolicka!

Mówi dużo, prędko chciałby nieprzyjemną sprawę „zagadać”.

— Przykazania, pauprze, znasz?

— Znam przykazania boskie i przykazania kościelne; i grzechy główne, i grzechy cudze i grzechy przeciw Duchowi Świętemu... Wszystko znam, proszę księdza dobrodzieja!

— Jakież jest czwarte przykazanie boskie?

— „Czcij ojca twego i matkę twoją”... A piąte: „Nie zabijaj!”... A szóste..

— Czy w czwartym przykazaniu Bóg nakazuje szanować tylko rodziców?

— Nie tylko rodziców, ale także krewnych, opiekunów, zwierzchników, przełożonych i wszystkie w ogóle osoby starsze, którym winniśmy miłość, cześć, wdzięczność, szacunek i posłuszeństwo... Amen!

Choć nie patrzy wprost na księdza, dostrzega jednak, że jego surowa twarz rozchmurzyła się cokolwiek. Budzi to w nim otuchę.

Suchy, twardy głos pyta dalej:

— Czemuż więc, pauprze jeden, nie uszanowałeś ani mego wieku, ani stanu, wdzierając się podstępem tam, gdzie się schował przed podobnymi tobie krzykaczami?

Sprężycki milczy zawstydzony.

— Co cię tu ciągnęło, co? Nie ma w moim ogródku wisien kwaśnych, gruszek niedojrzałych, jabłek cierpkich — nie ma nic, za czym przepadają takie nedorostki. Są tylko kwiaty — proste, polne kwiaty, łąki, jakie Pan Bóg stworzył, żeby ziemię upiększały, oczy ludzkie cieszyły, a harmonią barw i kształtów chwałę Stwórcy wysławiały. Tych kwiatów rwać nie można, bo ani głowy ludzkie nie są do miecza, ani kwiaty do drapieżnych rąk głupców i szkodników... Czego więc tu chciałeś?

Sprężycki rad by co odpowiedzieć, lecz ani jedno słowo stosowne na myśl mu nie przychodzi. Jest zupełnie zbity z tropu, zły sam na siebie, odurzony...

— A może myślałeś, pauprze, że tu się dzieją jakieś nadzwyczajności, czarodziejstwa? Toć bają przekupki, że ksiądz Siennicki z diabłem ma do czynienia, że kiedyś diabły z opętanych wypędzał, a teraz z diabłami wojować musi, bo mu w dzień i w nocy spokoju nie dają. Pewnieś i diabła spodziewał się tu zobaczyć, nieprawda?

— Nie, proszę księdza dobrodzieja... — zdobywa się wreszcie biedny chłopiec na lękliwe zaprzeczenie.

— Cóż więc cię tu sprowadziło? — powiedz.

Sprężycki staje się naraz odważnym. Głowę podnosi, twarz rozpogadza, głosem mniej już jęśliwym odpowiada szczerze:

— Ciekawość.

Podobała się ta szczerowość zakonnikowi.

— No, i przekonałeś się — mówi łagodniej jeszcze — że nic tu nie ma ciekawego. Drzewa takie jak wszędzie; kwiaty, podobne do wszystkich kwiatów; ptaki, jak wszystkie ptaki...

— O! Nie... — przerywa coraz bardziej ośmielający się chłopiec. — Co do ptaków, proszę księdza dobrodzieja, to...

— To co?

— To takich, jak tutejsze, nigdzie nie widział. I myślę, że nigdzie indziej takich nie ma...

— Dlaczego tak myślisz, mój chłopcze?

— Przecie widziałem, jak przybiegały do księdza dobrodzieja, niby kurczęta, na ramionach mu siadały, z ręki brały ziarno, nic się nie bojąc...

Zakonnik westchnął.

— To prawda, moje dziecko. Ale czy sądzisz, że w tym jest cud jakiś, lub kuglarstwo? Zaprawdę, powiadam tobie i innym, że każdy z was może żyć z ptakami, z dzikim nawet zwierzem, po przyjacielsku i po bratersku — trzeba tylko, żeby był przyjacielem i bratem każdemu stworzeniu bożemu i żeby idąc do niego, w sercu swym nie krył zdrady. Bóg obdarzył stworzenia swe instynktem, który je ostrzega: komu mogą zaufać, a kogo bać się mają.

Sprężycki rozważa w myśli usłyszane słowa. Jeszcze nie bardzo je rozumie — postanawia jednak dokładać wszelkich starań, aby dojść do tej doskonałości, o której mówił zakonnik. Cóż by to było za szczęście, gdyby na przykład kraska — ta przecudna, szafirowo-złocista kraska, będąca dlań dotąd czymś niepochwytym, niemal fantastycznym, rodzajem powietrznego zjawiska, o którego rzeczywistości prawie powątpiewa... — gdyby ta kraska, na każde zawołanie, sfruwała doń z wierzchołka wysokich drzew, pozwalając brać się do ręki, pieścić, głaskać i cieszyć do syta oczy tęczowym swych piór blaskiem!...

Nigdy już, nigdy, żadnemu ptaszkowi najmniejszej krzywdy nie wyrządzi. Ma w domu szczygła w klatce — natychmiast po powrocie wypuści go na wolność. Zrobiłby

to samo i z kanarkami swej matki — obawia się jednak, żeby ich wróble nie zadziobały lub kot nie pożarł, jak to się przytrafiło kanarkowi sąsiadów.

— Moje dziecko — mówi ksiądz, biorąc do ręki jedną z ksiąg, leżących na ławce (nie nazywa go już „pauprem” ani „chłopcem”) — widziałeś ptaszęta boże, przylatujące do ręki mej po ziarno, i wydało ci się to czymś nadzwyczajnym. Dowiedź się, że coś widział jest dzieciństwem, uwagi niegodnym, w porównaniu z tym stosunkiem, jaki łączył z przyrodą niektórych świętych i ojców Kościoła.

Przewraca przez chwilę karty księgi, obrazkami przekładane — jeden z nich wyjmuje i podaje Sprężykiemu.

— Przyjrzyj się — objaśnia — jest to święty Franciszek z Asyżu. Widzisz tę chmurę ptactwa, która go otacza? Miał ją zawsze przy sobie; opędzić się jej nie mógł. A nie tylko ów mąż święty karmił swój orszak skrzydlaty — on rozmawiał z ptaszkami, jak ja z tobą, nazywał zaś je nie inaczej, jak „braciszkowie moi” ... „siostrzyczki moje” ...

Chłopiec, przyjrząwszy się obrazkowi, chce go zwrócić.

— Zatrzymaj go sobie, moje dziecko. Niech ci będzie pamiątką naszej dzisiejszej rozmowy. Pamiętaj zaś nigdy w przyszłości nie wdierać się podstępem do samotni mojej lub czyjejkolwiek. Nie godzi się nikomu przeszkadzać w rozmyślaniu, nauce, w modlitwie. Zrozumiałeś właściwie przykazanie czwarte — powinieneś zdawać sobie sprawę dokładnie z siódmego. Nie tylko pieniądze kradnie się bliźniemu: można mu także kraść — spokój. A są ludzie, dla których spokój to więcej niż pieniądze. On jest całym ich szczęściem. I więcej niż szczęściem, bo podstawą życia — samym życiem!

Ostatnie słowa wymawia zakonnik z wielkim wzruszeniem. Oczy mu błyszczą, twarz wydaje się mniej martwą, jakby odmłodzoną.

— Dziś, moje dziecko — ciągnie dalej — nie rozumiesz jeszcze, jak można czuć się szczęśliwym z dala od ludzi, jak można dobrowolnie szukać samotności. Dziś życie w tobie kipi; nadmiarem swego zdrowia, zapału, wesela musisz dzielić się z innymi. Chciałbyś być zawsze otoczony tłumem, krzykiem, śmiechem; chciałbyś, żeby rok szkolny składał się z samych „rekreacji”, a na każdej rekreacji wszyscy twoi towarzysze grali z tobą piłką, gonili się i hałasowali. — Kto wie jednak, czy kiedyś...

Tu przygarnia chłopca do siebie — w oczy jego wpatruje się długo, badawczo, jakby do duszy przez nie zazierał.

— Kto wie — kończy smutno — czy kiedyś, gdy te twoje ciemne włosy czas pobieli, gdy te rumiane, pełne policzki uczyni bladymi i zapadłymi... kto wie, czy wówczas i ty nie zatęsknisz do samotności, do cichego, odludnego kącika, jak ta moja samotnia... A

gdy to się stanie, wówczas, wierz mi dziecko, dla natrętów, przeszkadzających ci rozmyślać, modlić się lub... płakać, będziesz stokroć surowszy, niż ja, niegodny sługa Boży, który ślubował każdą przeciwność przyjmować z rezygnacją, każdą krzywdę z przebaczeniem...

Zamilkł, oczy spuścił — ręce składa jakby do modlitwy.

— Zapamiętaj, co mówię — przerywa wreszcie milczenie. — Później po latach, gdy ja będę już spoczywał tam, pod kościołem (głową skinął w stronę grobów klasztornych), przyjdzie ci na pamięć ta chwila, przypomnisz sobie słowa moje i znaczenie ich lepiej zrozumiesz...

Głos zniżył prawie do szeptu.

— Nie zapomnij wówczas westchnąć do Pana Boga za spokój duszy księdza Siennickiego — na jego intencję odmów trzy Zdrowaś Mario i trzy razy Wieczne odpoczywanie...

Sprężycki czuje, że i jemu udziela się wzruszenie.

Rękawem mundurka oczy ociera.

— Widzę — kończy zakonnik — że masz serce czułe; więc i duszę musisz mieć zacną. Staraj się jedno i drugie na całe życie zachować. Od Pana Boga otrzymasz resztę.

Dłoń do czoła przyłożył — spojrzał na niebo, na słońce...

— Za chwilę dzwonić będą na wieczorne pacierze. Wpierw jeszcze zajrzeć mi trzeba do książek moich...

Szorstką, pomarszczoną ręką starca przesunął mu po czole.

— Żegnam cię, moje dziecko. Żalu do ciebie nie mam — i ty go nie miej do mnie. Jeśli masz dziadka, w moich latach być musi.

Odprowadził chłopca do samej furtki. Przy rozstaniu Sprężycki ucałował ze łzami wychudłą rękę benedyktyna; on mu na czole znak krzyża nakreślił.

Zwykle żywy, w podskokach przebiegający miasteczko chłopiec, wraca do domu wolno, poważnie, w rozmyślaniach zatopiony.

Postanowił żadnemu z kolegów o bytności w pustelni nie wspominać.

Gdyby wyznał prawdę, wyśmiano by go; chcąc uzyskać uznanie, musiałby kłamać. Śmieszności lęka się; kłamstwem się brzydzi.

Ale pamięć owego wieczoru zachował na długo.

Dotąd o nim pamięta...

XV. Kuracja mleczna profesora Jastrebowa

Sprężycki siedział na parkanie, mając przed sobą wielką, rozłożoną księgę. Deklamował głośno jakieś wiersze i co chwila do księgi zaglądał. Twarz jego, zwykle rumiana i wesoła, pobladła i miała wyraz nadzwyczajnego znużenia. Choć było chłodno, czoło chłopca pokrywały drobne krople potu.

Deklamował dziwnym, sztucznym, nieswoim głosem, starając się uczynić go podobnym do głosu dojrzałego mężczyzny. Wynik tego wysiłku był taki, że ten głos, zwykle świeży i dźwięczny, brzmiał teraz jak pianie zachrypłego koguta.

Nieustannie, jak pozytywka, powtarzał chłopczyna dwa wiersze, usiłując bezskutecznie wbić je sobie w pamięć:

*Chaosu bytnost' dowremiennu
Iz biezdn Ty wiecznosti wozzwał...*

— Chaosu bytnost'... chaosu bytność'... chaosu bytnost'... — jęczał w kółko z przestankami, które wypełniały ciężkie westchnienia.

Do ogródka wszedł kolega Bronek — on go wcale nie dojrzał.

— Dowremiennu... dowremiennu... dowremiennu... — powtarzał z wysiłkiem, spotniały, na pół nieprzytomny.

Dopiero gdy przyjaciel cisnął weń garstką żwiru ze ścieżki podjętego, obecność jego zauważył.

Ale zamiast wesołego, koleżeńskiego pozdrowienia przywitał go dalszym ciągiem morderczej strofy:

*A wiecznost', preździe wiek roźdiennu,
W Siebie Samom Ty asnawał!*

— Kujesz „Boha”? — zapytał Bronek głosem współczującym.

Odpowiedzią był jęk — po którym mały męczennik z parkanu zeskoczył.

Koledzy usiedli obok siebie na kanapie darniowej. Sprężycki rozłożonej księgi z rąk nie wypuszczał. Z deklamacją zwrócił się teraz wprost do towarzysza:

— Chaosu bytnost' dowremiennu iz biezdn Ty wiecznosti wozzwał... Czy ty to rozumiesz, Bronek?

— Ja???... — zadziwił się koleżka, brwi wysoko podnosząc i oczy wytrzeszczając. Twarz jego przybrała przy tym taki wyraz, jaki miałyby oblicze żebraka, którego by niespodzianie zagadnięto: — Czy masz przy sobie sto tysięcy dukatów?

Po chwili, skupiwszy myśli, zapewnił z wielką powagą:

— Tego, mój drogi, nikt nie rozumie...

I dodał jeszcze z naciskiem.

— Tego nie rozumie nawet sam Jastrebow!

— Czemuż więc, czemuż — zapłakał Sprężycki — to właśnie na popis mi zadał?

Tamten, pomyślawszy trochę, osądził:

— Widać miał złość do ciebie.

— Tak jest, niezawodnie — potwierdził Sprężycki. — Nawet wiem, skąd to poszło. Na imieniny matki wysmarowali mi włosy pomadą różaną. Przyszedłem do klasy w nowym mundurze i w butach na glanc wypucowanych. Jastrząb miał pierwszą lekcję. Obejrzał mnie całego, głowę mi obwąchał — gęba rozszerzyła mu się od ucha do ucha, i powiedział: — Wot frantik paljaczok!... Odtąd mnie nienawidzi.

Kolega pokiwał głową w milczeniu na znak komizeracji.

— Ale, ale! — podjął tamten. — Powiedz mi, Bronek, co to znaczy po moskiewsku frantik?

Bronek, którego starsza siostra mówiła po francusku, uważany był i sam siebie uważał za wielkiego lingwistę.

— Frantik — oświadczył bez namysłu — znaczy u nich Franciszek. Pewnie uważają to imię za obelgę.

— Kpię sobie z obelgi i z całego Jastrzębia! — rzucił hardo Sprężycki. — A kiedy on mnie nienawidzi, to i ja jego nienawidzić będę.

I zaraz zaczął wymieniać motywy swego uczucia.

— Bo i za co mam go lubić? Jak zły, to porównywa każdego z nas z kotem (skot), a jak dobry, to mówi o całej klasie: „źrebięta” (rebiata). Przy tym ciągle myśli i gada o jedzeniu. Ledwie wszedł do klasy, pyta: jakie u was pożywienie? (kak pożywajetie); wychodząc znów oznajmia wszystkim: do śniadania! (do swidanja).

— Albo to jego mleko! — dodał od siebie kolega. — Wierzy w swoje mołoko, jak w Matkę Boską. Mówi, że ludzie nie powinni karmić się niczym innym, tylko mlekiem i chlebem razowym. Sam leczy się mlekiem na wszystkie choroby. I właśnie w tym miesiącu prowadzić ma kurację mleczną...

– Pamiętasz? Powiedział raz, że nie ma na świecie szczęśliwszej istoty nad rosyjskiego muzyka...

– Który chodzi bosy i nos wyciera w palce...

– I na papierowej harmonijce skoczne kozaczki wycina...

– A brody i włosów na głowie nie strzyże...

– I mydłem brzydzi się, jak żyd świniną...

Obu chłopców opanowała pustota. Zaczęli śmiać się głośno i naśladować ruchy, mowę i miny wszystkich profesorów, zaczawszy od Jastrzębia, skończywszy na Salamonie.

Ale niebawem Sprężycki sposepniał, przypomniawszy sobie nieszczęsną deklamację. Odprawił kolegę i powróciwszy do swej wielkiej księgi, na nowo jęczeć zaczął:

Chaosu wieczność' dowremiennu

Iz biezdn Ty wieczności wozwał...

Jastrebów, nauczyciel języka rosyjskiego, nie był lubiany ani przez uczniów, ani przez kolegów. W małym tylko stopniu wpływała na to jego narodowość oraz wykładany przezeń przedmiot. Odstępował od siebie zarówno młodzież, jak starszych pewnymi właściwościami obyczajów i charakteru, rażącymi polskie przyzwyczajenia i uczucia.

Przede wszystkim jaskrawo odróżniał się od otoczenia swą zewnętrżnością. Gruby, szerokopleczysty, niezgrabny, z krótką szyją, z wielkim, jakby nabrzmiętym, stale niegolonym i niedomytym obliczem, z długimi włosami, spadającymi w strąkach na zatłuszczony kołnierz granatowego fraka, odznaczał się tym jeszcze, że mówił ochryplym basem, patrzył na ludzi „spode łba” i na swych olbrzymich płaskich, w juchtową skórę obutych stopach, raczej suwał się, niż chodził.

Gorący miłośnik i apostoł prostoty, życia na łonie przyrody i w ogóle sielskich człowieka pierwotnego obyczajów, nienawidził słodczy, perfum, pomadowanych włosów, ładnych twarzy, wykwintnego odzienia, wyszukanych potraw i gładkich form towarzyskich. Zalecał wszystkim chleb razowy, wodę źródlaną i mleko. Na mleko kładł nacisk największy, uważając je za najdoskonalsze, przez samą przyrodę człowiekowi wskazane pożywienie, oraz za lek uniwersalny na wszystkie choroby.

Na nim samym skutki mleczej diety objawiały się bardzo niezwykle. Chód miał niepewny, często zataczał się — nierzadko zaś ulegał tak silnym napadom senności, że w czasie lekcji, zaleciwszy uczniom ciche sprawowanie się, opierał głowę na rękach i zasypiał...

Jednakże, jak w grubej, dziwacznie ukształtowanej konsze miękkiego ślimaka, tak w tym ludzkim futerale, szorstkim i niepięknym, mieszkała istota czuła, melancholią dotknięta, której nie były obce idealne porywy.

Jastrebów kochał swą Rosję przepaścistą, półdziką, jak kocha puszcę niedźwiedzi i bezdnie oceanowe wielorybów. Gdy w galówkę całą szkoła in corpore, z inspektorem i wszystkimi nauczycielami, słuchała mszy solennej u fary i śpiewała obowiązkowe *Boże caria chrań*, widziano Jastrebowa ukrytego za filarem i ocierającego podpuchnięte oczy czerwoną, kraciastą, niezbyt czystą chusteczką. Zarazem, gdy na szkolnej majówce starsi uczniowie huknęli „Pijmy zdrowie Mickiewicza” albo „Walecznych tysięcy”, Jastrebów dołączał swój bas do chóru i grubą laską do taktu wywijał.

Od polskich towarzystw stronił — nie dlatego, żeby mu tam niechęć lub nienawiść okazywać miano, lecz że czuł się wśród Polaków nie na swoim miejscu, ani ich nie rozumiejąc, ani przez nich rozumianym być nie mogąc.

Gryzło go to i jeszcze dziwniejszym czyniło.

Raz tylko jeden z tej troski głośno się wygadał.

Było wówczas gorąco, parno i Jastrebów pod wpływem upału a może i nadmiernego opicia się „mlekiem”, zdrzemnął się na katedrze. Uczniowie z początku zachowywali się spokojnie; lecz potem opanował ich jakiś szał, zaczęli krzyczeć, przez ławki skakać i strzałami papierowymi łysinę śpiącego zasypywać.

Przebudził się nauczyciel, mętym wzrokiem powiódł po wszystkich, a zamiast gniewem wybuchnąć, położył ciężką rękę na stoliku i swym głębokim, tym razem od tłumionego wzruszenia drżącym głosem wyrzekł:

— Byłby ja Jastrebski albo Jastrebowski, wy by mnie lubili i pocztienje dla mnie mieli, ale że moja familia ruska, tak ja dla was cóż? — proklatyj moskal, kacap...

— Dziegciarz!... — pisnął któryś ze śmielszych urwisów i nura dał szybko pod ławkę.

— No, i wy — ciągnął tamten, na obelgę nie zważając — uznajecie się w prawie sztuki ze mnie dziełać, choć ja i uczyciel wasz, i człowiek czestnyj...

Wyciągnął z kieszeni czerwoną, kraciastą chustkę, po czole i po oczach ją przesunął i westchnąwszy, dokończył:

— Boh z wami!...

Od uczniów w ogóle mało wymagał — pragnął tylko, żeby „włubili się” w rosyjską poezję i starali się mówić przepięknym, „wielikolepszym” językiem Dzierżawinów i Łomonosowów.

W jakim stopniu te pragnienia spełniły się, pouczy najlepiej następujący dialog, który z małymi zmianami powtarzał się na każdej lekcji Jastrebowa.

Wywołany przez nauczyciela uczeń, bez względu na to, czy siedział w pierwszej czy w ostatniej ławce, podnosił się leniwie z miejsca i oświadczał wręcz:

— Gaspadyń fiesor! Ja etoj lekcji nie nauczyłsia. Ja jej w żadnyj spاسوب nauczyćsia nie mog.

— Po czemu?

— Po temu, że ona okropno trudnaja.

— Nu-sss, tak mnie trzeba postawić tobie jedinicu!

I nauczyciel zapisywał w katalożku — trójkę.

Trójka była jedynym stopniem używanym przez profesora Jastrebowa, który miał zasadę trzymać się w tym względzie złotego środka, unikając wszelkich krańcowości. A ponieważ wszyscy byli pewni otrzymania tej średnio-proporcjonalnej trójki, nikt po rosyjsku nie uczył się, uważając to za rzecz zbyteczną.

I w ogóle lekcje Jastrebowa nie były w ścisłym znaczeniu lekcjami. Po przeprowadzeniu kilku dialogów w rodzaju wyżej opisanego, nauczyciel zamykał i do kieszeni chował katalożek, otworzywszy natomiast przyniesioną książkę — najczęściej z poezjami uwielbianego przez siebie Dzierżawina — wręczał ją któremu z uczniów do głośnego czytania. Monotonny głos ucznia, w połączeniu z działaniem mleka leczniczego, miewał zwykle ten skutek, że profesor Jastrebow zasypiał. A gdy to się stało, natychmiast czytającemu podsuwali koledzy jakąś inną, polską, niesłychanie zajmującą książkę — Rinalda Rinaldiniego na przykład lub Cudowną lampę Aladyna — i czytanie odbywało się w dalszym ciągu, lecz już z prawdziwą słuchających uciechą. Dzwonek szkolny kładł koniec niewinnemu, a zawsze bezkarnemu figlowi.

Tymczasem niewstrzymany w swym biegu czas sprowadził na ziemię upalny czerwiec, a wraz z nim fatalny ów dzień, który „zwierzchność” na zakończenie roku szkolnego przeznaczyła. Ponieważ zaś tajemne życzenia Sprężyckiego nie ziściły się i świat się przed tym terminem nie zapadł, musiał biedak nieszczęsną odę Dzierżawina publicznie wygłaszać.

Sala była natłoczona kwiatem i śmietanką miasteczkowego towarzystwa. Gdy chłopczyzna ujrzał przed sobą burmistrza z burmistrzową i burmistrzównami,

naczelnika powiatu przy naczelnikowej i naczelnikównach, nie mówiąc o podsędku, kwatermistrzu, nadzorcy więzienia i dwóch sekretarzach magistratu, stracił zupełnie głowę i ze ślełą odwagą, jaką daje rozpacz, krzycheć zaczął:

*Chaosa bytnost' dowremiennu
W Siebie Samom Ty osnował,
A bytnost', preździe biezdn rozdiennu,
Iz wiekow wiecznosti wozzwał...*

Profesor Jastrebów, jedyny, co wiersze Dzierżawina mógł rozumieć, nie był obecny na popisie, gdyż w przeddzień uroczystości kurację mleczną rozpoczął — nie było więc komu deklamatora kontrolować. Krzyk Sprężyckiego i jego udana pewność siebie wprawiły w zachwyty słuchaczy i słuchali. Burmistrzowa i naczelnikowa wzruszone były niemal do łez — tym głównie, że „chłopczyna tak się męczy”.

A gdy mały deklamator, wspiąwszy się na palce, dyszkantem zachrypniętego koguta zapiał:

Ja car! ja rab! ja czerw! ja boh!

— obie damy nie dały mu dokończyć, lecz pochwyciwszy malca w objęcia i pocałunkami go okrywając, miętowych pastylek w usta mu napchały.

Wielki a zgoła niespodziewany tryumf święcili owego dnia: Dzierżawin, Jastrebów i Sprężycki!

W kilka dni po akcie uroczystym ostatni z tej trójcy udał się do mieszkania Rosjanina jako delegat od grona kolegów. Było zwyczajem, że na czas wakacyj nauczyciele zadawali uczniom do opracowania w domu nietrudne piśmienne ćwiczenia. Dopełnili tego wszyscy — z wyjątkiem nieobecnego w dniach ostatnich Jastrebowa. W tej właśnie sprawie Sprężycki został do niego wysłany.

Jastrebów mieszkał w oficynie dużego rządowego gmachu, w dwóch skromnych pokoikach na dole. Żony nie miał; kawalerskim jego gospodarstwem zajmowała się stara Wojciechowa, znana całemu miasteczku opiekunka wszystkich niemłodych bezzenników.

Właśnie zatrudniona była myciem podłogi, gdy zjawił się Sprężycki, zapytując nieśmiało o gospodynia fiesora.

Zapytana wyprostowała się, trzymając w ręku dużą, moką ścierkę, którą zaczęła wyżywać takim ruchem, jakby rzucić ją chciała na głowę przybysza.

— A czego to pan uczeń od nich chcą? Czy to pan uczeń nie wie, że tera kanikuły i że oni są chore?... (Wojciechowa przyswajała sobie zawsze sposób wyrażania się swych pupilów).

— Gospodyń fiesor — usprawiedliwił się Sprężycki — sam przyjść rozkazał...

— Ha, to niech pan uczeń do nich idą. Oni w ogrodzie są.

— A gdzie ten ogród?

— Gdzież ma być? — Na podwórzu!

Na środku olbrzymiego dziedzińca znajdował się spory placyk, otoczony sztachetami, malowanymi (niegdyś) na zielono — on to miał być owym ogrodem.

Wszedł tam chłopiec przez półotwartą, na jednej zawiasie smętnie kołyszącą się furtkę i rozejrzawszy się dokoła, dostrzegł coś pośredniego między trawnikiem a śmietnikiem. Kilka suchych, bezlistnych, z obłamanymi gałęzmi pni oraz kilka wbitych w ziemię kołków urozmaicały przykrą tego miejsca pustkę. Od kołków do pni i od pni do kołków przeprowadzono sznury, na których suszyła się bielizna i wietrzyła pościel. Po pewnych znakach szczególnych poznawało się, że bielizna była pochodzenia rosyjskiego, pościel zaś stanowiła żydowskie tak zwane „bety”. Do jednego z kołków przywiązano na mocnym powrozie kozę, z którą drażniła się gromada brudnych, rozczochranych dzieciaków. Na jednym z trawników-śmietników Żydówka karmiła niemowlę; na drugim siedział, wprost na ziemi, bosy dziad z gołą głową, w samej tylko bieliźnie; na trzecim gdakały kury, otaczając koguta, który chciał przybierać pozy bohaterskie, lecz mu w tym przeszkadzał sromotny brak piór w ogonie...

Profesora Jastrebowa na próżno oczy chłopca wszędzie wypatrywały.

I już cofnąć się miał z miejsca, które dla śmiechu chyba nazwał ktoś ogrodem, gdy wtem dobiegły go wygłoszone basem głębokim słowa, tak dobrze mu znane i w pamięci jego jakby ostrymi ćwiekami wybite:

Chaosa bytnoś' dowremiennu

Iz biezdn Ty wieczności wozzwał...

Rzecz była do pojęcia trudna, a jednak namacalnie prawdziwa: odę Dzierżawina deklamował dziad bosonogi, na trawie siedzący.

Sprężycki zwrócił się w tę stronę i postąpiwszy kilka kroków, rozpoznał w deklamującym dziadzie z niezawodną pewnością, choć i z niesłychanym zdziwieniem, swego nauczyciela języka rosyjskiego.

Jastrebów, od dłuższego czasu nie golony, ze szczecinowatą, na pół siwą brodą, z głową, na wierzchu łąsą, a z boków i z tyłu okoloną długimi pasmami włosów, na szyję i kark spadających, miał na sobie zgrzebną koszulę, wyłożoną na szerokie płócienne szarawary i nad biodrami paskiem rzemiennym ściśniętą.

Przed nim, na niskiej, prostej ławie, leżał napoczęty bochenek razowca i stała miska mleka zsiadłego oraz duża, czworograniasta, do połowy już opróżniona butelka z wódką. Wódkę pił Rosjanin szklanką, którą właśnie w tej chwili, uczyniwszy przerwę w deklamacji, do ust podnosił. Musiało zaś to podnoszenie już nieraz się powtarzać, gdyż twarz siedzącego była czerwona jak kołnierz burmistrza, a oczy, na wierzch wysadzone, miały wyraz zarazem dziki i obłądny.

Nie bez strachu przystąpił uczeń do nauczyciela i czapkę zdjawszy, zaczął jąkać nieśmiało:

— Gaspadyń fiesor! Ja bardzo przepraszaju... Ja musiał przyjść, bo mnie tamci kazali... Ja przyszedł tylko zapytać...

Nie dokończył.

Jastrebów obrócił się do niego całą twarzą i skierował nań zaiskrzone oczy. Wyraz tych oczu był tak straszny, że chłopcu ciarki przebiegły po krzyżu i nogi pod nim zadygotały.

Tamten wpatrywał się w niego długo, w milczeniu, okropnym, razem wściekłym i pełnym przerażenia wzrokiem — nagle machać zaczął rękami, jakby coś czy kogoś odepchnąć chciał od siebie, i krzyknął przeraźliwie:

— Satana!... Satana!...

Sprężycki zdrętwiał.

Po krzyku nastąpiła cisza. Rosjanin zdawał się uspokajać, twarz i oczy w inną zwrócił stronę. Ale nie trwało to długo. Po chwili znów dojrzał chłopca, rękę w jego kierunku wyciągnął i cichszym już, jakby złamanym głosem rozkazał:

— Procz!

Sprężycki schował się za drzewo.

Drżał ze strachu, lecz ciekawość w miejscu go trzymała.

Nauczyciel uciszył się. Głowę zwiesił nisko — twarz jego przybrała znany tak dobrze uczniom wyraz ostatecznego znużenia i apatii. Po chwili wyciągnął rękę po butelkę,

szklankę napełnił i wychylił. Twarz mu się rozjaśniła — hardym ruchem głowę podniósł — cały się wyprostował i jakby urósł.

Mocnym, patetycznym głosem zagrzmał:

— Ja car — ja rab! Ja czerw' — ja boh!...

Sprężycki zrozumiał, że przed tą jego wielkością należało albo na twarz upaść, albo — uciec...

Wybrał drugie.

XVI. Mali bohaterowie

— A czy odważyłby się który z was pójść w nocy na cmentarz?...

Chłopcy, srodze zmęczeni „palantem” i „ekstrametą”, obsiedli kłocce, leżące nad rzeką, oddając się z rozkoszą zasłużonemu wypoczynkowi oraz rozwiązywaniu najzawilszych zagadek filozoficznych i życiowych.

Czapki na tył głowy zesunęli, mundurki porozpinali — co sprzeciwia się wprawdzie przepisom szkolnym, ale jest niezrównanie pomocne na upał i znużenie.

W odpoczywającej i filozofującej gromadce rej wodzą: Kozłowski, Sitkiewicz, Dembowski — oni też głównie podtrzymują zapal dysputy, dostarczając coraz nowego do niej przedmiotu.

Rzucone w ten ul brzęczący zapytanie wywołało ten skutek bezpośredni, że wszyscy naraz zamilkli.

— Na cmentarz?... — odzywa się wreszcie, przeciągając wyrazy, Sitkiewicz. — Żeby mi jeszcze jaki „umarlak” głowę ukrecił? Nie głupim!

— Jest na to sposób... — zauważa nieśmiało Petrykowski, potulny chłopczyna, zdradzający zawsze pociąg do spraw kościelnych i teologicznych. — Trzeba tylko przy wejściu powtórzyć trzykrotnie, raz po raz, jednym tchem i bez najmniejszej omyłki: „A dusze wiernych zmarłych niech odpoczywają w pokoju wiecznym — Amen!”...

— Jednym tchem? I bez omyłki? — podrwiwa znów Sitkiewicz. — To tak będzie jak z nieboszczykiem Lutrem, któremu nasi księża kazali odmawiać prędko: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny”...

— I cóż Luter? — dopytują ciekawie chłopcy.

— Język mu skręciło i powiedział: „Od pól fieprza, głowa, ogon i nogi”...

Chwila hałaśliwej wesołości, którą przerywa ktoś uwagą:

— Ja słyszałem, że modlitwa pomaga tylko przed północą. Punkt o samej dwunastej „dusze” wychodzą z grobów i zaczynają spacerować po cmentarzu. Wówczas nie darują nikomu, kto im w drogę wejdzie.

— I któż to widział? — zauważa sceptycznie Dembowski.

— Byli tacy...

Petrykowski wyrywa się z niespodzianym wyznaniem:

— Raz na wsi, wieczorem, „dusza” przeleciała obok mnie tak blisko, jak stąd do tego kloca...

Wyznanie silnie oddziaływa na słuchaczy.

— Złakłeś się? — bada jeden.

— Jeszcze jak! Alem zaraz odmówił: „A dusze wiernych zmarłych”... — i natychmiast zniknęła.

— Jakaż była? — dopytuje drugi.

— Bielusienka.

Trzeci jest ciekawy szczegółów.

— W ziemię się zapadła, czy też do góry pofrunęła?

— Nie wiem. Zniknęła i tyle. Jakby ją kto zdmuchnął.

— Nie pływaj po piasku! — śmieje się ironicznie Sprężycki. — Duszy widzieć nie można.

— Dlaczego?

— Bo dusza nie ma ciała.

Rozsądniejsi przytakują.

— Ma rację. Prawda. Petrykosio puścił finfę! Zbajał się!

Ale występuje i opozycja.

— Ciało ciała nierówne. Dusza nie ma ciała takiego jak my, ale może mieć inne.

— Nie ma i nie może mieć żadnego!

— Tamta dusza — objaśnia ośmielony Petrykowski — nie miała wcale ciała. Była przeźroczysta, jak z mgły.

— A czyż mgła to nie ciało?

Stronnicy Petrykowskiego śmieją się.

— Mgła jest ciałem! Ha, ha, ha!... To pewnie człowiek składa się z mgły i duszy?...
Ha, ha, ha!

— A po śmierci mgła w proch się rozsypuje... Ha, ha, ha!

— Zbajał się Sprężycki, zbajał! — decyduje Sitkiewicz głosem, niedopuszczającym zaprzeczenia.

Ale Sprężycki lekceważy sobie tę stanowczość.

— Wcale się nie zbajałem — mówi spokojnie. — Zbajali się ci, dla których ciałem jest to tylko, co ich boli, gdy dostaną bicie i którzy nie wiedzą, co jest ciało fizyczne.

— Mgła nie jest ciałem fizycznym — oświadcza Sitkiewicz tym samym co wpierw tonem.

— A woda?... Przypomnij sobie co nam mówił profesor Wiśniewski...

— Woda co innego, a mgła co innego...

— Tak?... A z czegoż powstaje mgła?

Teraz zrozumieli już rzecz nawet najmniej pojętni. Wszystkie głosy zwracają się przeciw tamtemu.

— Zbajał się Sitko! Zbajał!...

Gdy wrzawa uciszyła się, zabiera znów głos Kuskowski, ten, co wystąpił z zasadniczym pytaniem, dotyczącym pójścia nocą na cmentarz. Kuskowski jest „z wyższej klasy”, co mu daje niezmierną przewagę nad młodszymi i otacza jego kędzierzawą głowę jakby aureolą.

— Tchórze! Baby! — woła z pogardliwym lekceważeniem. — Nie ma między wami ani jednego, coby zdobył się na czyn bohaterski. Znam was! Wyście zuchy: z żydziakami wojować i do ogrodu zamkowego skradać się po niedojrzałe owoce!

Tu zabrał głos Kozłowski, dotąd milczący.

— Najpierw — mówi spokojnie i z wielką powagą — to nie może odnosić się do mnie, bo choć byłem z Bałandowiczem „na gruszkach”, ogrodnik Pawlicki nie mnie złapał, lecz Bałandowicza, i czapkę nie mnie zerwał, lecz Bałandowiczowi. Najlepszy dowód, że do moich ciotek na skargę nie przychodził, a do ojca Bałandowicza poszedł i dostał „złoty, groszy sześć” za zerwany owoc. I wszystko jest już w porządku i nie ma o czym mówić.

— Po wtóre?... — dopytuje z surową wyniosłością Kuskowski.

— Po wtóre: Kozłowski nie jest tchórzem ani babą. „Umarlaków” ani „dusz” wcale się nie boi i na cmentarz pójdzie o samej północy.

— Słowo?

— Słowo.

Któryś z młodych śmieszków wrywa się:

— A jakie słowo? — czynne, bierne, posiłkowe?

– Słowo Kozłowskiego!

Wszyscy wiedzą, że to rękojmia wystarczająca. Nie było jeszcze zdarzenia, żeby Kozłowski swego słowa nie dotrzymał. Pomiędzy młodymi chłopcami i dobre, i złe udziela się zaraźliwie. Bohaterstwo Kozła zbudziło u pozostałych popędy współzawodnicze. I ten i ów zamyśla się – coś kombinuje, postanawia...

Radzicki, niski, krępy brunet, żywo poruszający się, z miną śmiałą, pewną siebie, odzywa się nieco ironicznie:

– A czy to pan Kuzkowski myśli, że pójść na cmentarz w nocy to już największa sztuka?...

– Wymyśl większą, kiedyś taki zuch!

– A jak też na przykład zdaje się panu Kuzkowskiemu: czy przepłynąć w pław Narew, naprzeciw „murowanki”, trzymając na głowie ubranie i nie zamoczywszy go, lada kiep potrafi?

– Potrafiłby Kucharzewski – ale chory.

– No, to ja pana Kuzkowskiego przekonam, że tu Kucharzewski niepotrzebny, bo to zrobi Radzicki – a zrobi nawet więcej, bo przepłynie rzekę w najszerszym miejscu nie raz, lecz dwa razy: tam i z powrotem.

Szmer podziwu ozwał się wśród gromadki. Któryś ze sceptyków, nieuniknionych w każdej liczniejszej drużynie, półgłosem mruczy:

– Bajki!...

Zapalczywy chłopiec przyskakuje do niego:

– Będziesz miał prawo szydzić, jeśli słowa nie dotrzymam. Tymczasem – trzymaj język za zębami!

– Więc słowo?

– Jakem Radzicki!

Koledzy otaczają zucha numer 2-gi. Jeden wyraża uznanie, drugi ostrzega przed niebezpieczeństwem, trzeci rad by poznać tajemnicę tak nadzwyczajnego pływackiego majstersztyku...

W tejże chwili wskakuje na wierzch kłoca mały Bellon, zwany „Balonikiem”, i cienkim głosem krzyczy:

– Poczekajcie!

– Czego ten znów chce? – odzywa się kilku starszych lekceważąco.

– Czy wy wiecie, jak ja umiem skakać?

– Jak pchła! – śmieje się któryś.

— Aha! Właśnie!... Przyjdźcie do mnie jutro na podwórze, to pokażę wam skok, jakiegoście nawet w cyrku nie widzieli!

— Nie chwal no się tak, malcze!...

— Nie nadymaj się, Baloniku, bo pęknie!...

— Ostrożnie, pchełko, żeby cię „proszkiem” nie posypali!

Chłopcy śmieją się — są jednak naprawdę zaciekawieni. Bellon słynie w całej szkole z mistrzowskich kozłów. Udając, że ich to mało obchodzi, pytają:

— Jakiż to będzie skok?

— Z huśtawki.

— Piiii... wielkie rzeczy!

— Ale wy znacie przecie naszą huśtawkę.

— Wyższa od gołębnika.

— Więc cóż?

— Więc ja rozhuśtam się najwyżej, jak tylko można — aż tam, het, pod same chmury — a potem: skoczę na równe nogi na ziemię.

— Przechwalasz się, Baloniku. Tego by i Kucharzewski nie dokazał!

— Bo wielki i ciężki. A ja jestem mały i lekki, więc dokażę.

— Nie bardzo w to wierzymy.

— Przyjdźcie, to zobaczycie.

Kuszkowski zdjął czapkę, wyjął z kieszeni mały grzebyk — z zadowoleniem przeczesuje czuprynę.

— Winszuję wam — mówi. — Kozłowski, Radzicki i Bellon ocalili honor waszej klasy. Nie same z was baby i zmokłe kury. Wprawdzie znaleźli się dotąd dopiero kandydaci na bohaterów, ale ja ufam ich honorowi, że co powiedzieli, spełnią.

— Spełnimy! — krzyczy głośno bohatera trójka.

— Czemu to jednak — zauważa surowy piątoklasista, wskazując wzrokiem chłopca, siedzącego nieco na uboczu, z twarzą mizerną, z oczyma podsiniętymi — nie stanął do apelu ten, na którego miałem prawo liczyć najwięcej: Witold Sprężycki?

Usłyszawszy swe nazwisko, Sprężycki głowę podnosi, prostuje się, bystre spojrzenie rzuca na mówiącego.

— Przed tygodniem — tłumaczy się — wstałem z łóżka po ciężkiej chorobie. Skakać i krzyżeć, choćbym chciał, nie mogę. Niech nikt jednak nie myśli, że się dam innym wyprzedzić. Ja również postanowiłem dokazać „sztuki” — i dokażę!

Głos chłopca, z początku słaby i nawet drżący cokolwiek, przy ostatnich słowach nabiera niezwykłej mocy. Sprężycki jest widocznie przejęty tym, co powiedział. Na próżno jednak i Kuskowski i towarzysze oczekują bliższych wyjaśnień — czwarty „bohater” okazuje się mniej skłonny do czynienia głośnych zapowiedzi.

— Na Sprężyckiego nie ma co liczyć — szepce poufnie Sitkiewicz piątoklasiście. — On teraz do niczego. Niedawno miał „trzy ćwierci do śmierci” — słaby teraz, jak kurczę. Nie dałby rady najmniejszemu „szajgcowi”...

— To prawda — przytwarza Kuskowski — choroba zjadła naszego zucha. Jednak z taką pewnością siebie mówił o swojej „sztuce”...

— Językiem wojować łatwo...

Zapada wieczór. U fary przedzwoniono już na Anioł Pański. W powietrzu snuje się dym drzewny, lekki, niebieskawy, który nie dławi jak wyziew węgla kamiennego, ale na miejscu otwartym przyjemny być może nawet dla powonienia.

Razem z tym miłym dymkiem nadlatują zapachy skwarek ze słoniny, kawy „żołędziowej”, jajecznicy z przysmażoną cebulką. Na stancjach przygotowują się wieczerza dla uczniów — dla tych pызatych, ociężałych chłopców ze wsi, którzy jak lupus z ich łacińskiego Tirocinium”, choć nie rapaces i nie crudeles, są jednak pod względem jedzenia — insatiabiles.

I w bohaterskiej drużynie wrażenia żołądkowe zapanowały chwilowo nad innymi. Chłopcy szybko zrywają się z kłoców, głowami skinęli sobie na pożegnanie — z pośpiechem pędzą w różnych kierunkach do pełnych mis, które w tej chwili zdają się im wonniejszymi, niż róże sarońskie, niż kadzidła w świątyni Salomona...

Sprężycki idzie z wolna, wsparty na ramieniu Dembowskiego.

— O jakiejże to „sztuce” myślisz, biedaku? — pyta ostatni, z niepokojem i troskliwością matki, czuwającej nad chorym dzieckiem. — Czyś zapomniał, że doktor Dobrzelewski zabronił ci nawet wiele chodzić i głośno mówić?...

— Toteż moja sztuka nie polega ani na chodzeniu, ani na mówieniu.

— Na czymże zatem?

— Zobaczysz...

Dembowski wzdycha.

— Nie zapominaj, Witek, że tobie przykazano: jeść jak najwięcej, sypiać jak najdłużej, mieć dobry humor i przesiadywać po całych dniach w ogrodzie. Moim

zdaniem, niepotrzebnie nawet chodzisz do szkoły i męczysz się słuchaniem belfrów. Wszakże, czy tak, czy inaczej, ten rok dla ciebie stracony...

— Tak myślisz, Bronek?...

— Nawet twój ojciec powiedział, że nie wymaga od ciebie składania egzaminów...

Nieprawda?

— Aha!

Żegnają się przyjaciele serdecznie jak zawsze, całują się jak bracia — jednak, przy rozstaniu, na ustach Sprężyckiego błąka się uśmiech zagadkowy...

Z tym uśmiechem zasiada do swego uczniowskiego stolika, wyciąga z półki książki, z szuflady kajety i starannie obciawszy knot u świecy łojowej, zabiera się do pracy.

Upłynęło kilka tygodni — kilka długich, ciężkich, leniwie wlokących się tygodni, wypełnionych pracą egzaminową, podnieceniem nerwów, niepokojem o dobry stopień, o promocję, o przyszłość...

W ciągu tych pracowitych tygodni, drużyna bohaterska nie miała czasu na urządzenie posiedzeń „klocowych” — ani razu nie stawiała się w komplecie na zwykłym miejscu nad Narwią.

Każdy myślał tylko o sobie, zajmował się wyłącznie własnymi sprawami — niewiele obchodzili go inni, choćby nawet koleżeństwem zbliżeni, wspólnością losów związani.

Ale nareszcie godzina „sądu ostatecznego” wybiła. Skończyły się egzaminy, odbył się „popis”, ogłoszono zapadłe na radzie nauczycielskiej wyroki. Kto miał utonąć, poszedł na dno, kto miał wypłynąć, ukazał się na powierzchni — rozdano nagrody, listy pochwalne, promocje — jedne oczy zabłysły radością i dumą, inne napęłniły się łzami żalu albo brzydkiej zawiści — i miasteczko zapadło w senną, leniwą ciszę wakacyjną.

Na chwilę jednak przed ostateczną rozsypką, gromadka niebieskich mundurków skupiła się raz jeszcze przy klocach — których połowę zdążono już przez ten czas porznąć na deski i Narwią, a następnie Wisłą, spławić do Gdańska.

W gromadce nie brakło żadnego z tych, co tu niedawno śluby bohaterskie wykonali. Tylko z szeregu „świadków” ubyli dwaj czy trzej, najniecierpliwi, którym tak się śpieszyło do jazdy konnej na oklep, do biegania boso po łąkach, do kąpieli w kamienistym strumieniu lub pełnej żab sadzawce, że wprost z sali popisowej przeszli na bryczkę i pomknęli wyciągniętym kłusem do rodzinnej zagrody.

Na klocach nadrzecznych znów siedzą: Sitkiewicz, Radzicki, Kozłowski, Dembowski, Sprężycki, Bellon i inni. I znów rej wodzi i objawy szacunku odbiera Kuskowski, ubrany w szaty cywilne, przedzierzgniony już niemal w „obywatela”,

imponujący scyzorykiem, nieco za wielkim słomianym kapeluszem, cokolwiek za krótką marynarką beżową, a najwięcej tym, że ma w kieszeni patent z ukończenia całej „powiatówki” i kpi sobie z wszystkich na świecie szkół, lekcji, zadań, książek, belfrów i inspektorów.

Jeśli z niejaką ujmą dla swej cywilności zstąpił on raz jeszcze między niebieskie mundurki, czyni to dlatego jedynie, aby spełnić do końca swój honorowy obowiązek arbitra i zażądać od ochotników zdania sprawy z wielkich dzieł, do których się zobowiązali.

Jest wprost niezrównany, Jowiszowi na Olimpie podobny, gdy machnąwszy w prawo i w lewo prawdziwą trzcinową laską i zaciągnąwszy się dymem prawdziwego groszowego papierosa, mówi:

— Prosimy o uwagę. Kozłowski ma głos.

Spośród ciżby niebieskich mundurków wychyla się śniada twarz Kozła, pocieszenie skrzywiona. Oczy „galerii” zwracają się na nią ciekawie. Wtajemniczeni w sprawę zatykają usta czapkami.

— Wezwany na konkurs bohaterów, zobowiązałeś się, mości Kozle, dokonać sztuki nad sztukami, mianowicie: pójść nocą na cmentarz. Potwierdzasz to?

— Potwierdzam.

— Zobowiązanie spełniłeś?

— Spełniłem.

— Świadczenie?

— Stróż i dziadek kościelny od Świętego Krzyża, którzy mnie na cmentarzu schwytali i biorąc za złodzieja — obili.

— Zapewniałeś, że walczyć będziesz.

— Jak lew... ale z „duszami” i „umarlakami”. O! Wynik walki z nimi byłby zupełnie inny!

— A jakież był z dziadkiem i stróżem?

— Taki, że na placu boju pozostawił pięć guzików: jeden z przodu mundura, cztery z tyłu; wyniosłem zaś stamtąd około piętnastu sińców rozrzuconych w różnych okolicach ciała. Prócz tego zapłacić musiałem „złoty, groszy sześć” za kwiatki podeptane na jednej mogile.

— Dumny jesteś ze swego bohaterstwa?

— Jestem wściekły na swoją głupotę!

— Skończone. Prosimy o nowe natężenie uwagi. Radzicki ma głos.

Po „wprowadzeniu sprawy”, krępy, zapalczywy chłopiec rozpowiada głosem krzykliwym:

— Nie dwa, ale dwadzieścia razy i nie jedną Narew, ale sto Narwi przepłynąłbym gdyby nie kurcz. Ale co z tym diabelstwem zrobisz, jak ci w nogę wlezie? Zupełnie jakby kundel zębami chwycił i rwał! Ty naprzód, a kurcz w tył... ty na wierzch, a kurcz do dna. I sam nie wiesz jak się to stało, ale wrzeszczysz na całe gardło: „Olaboga! ratujcie”!

— Więc Narwi nie przepłynąłeś?

— Przepłynąłem raz, w jedną stronę, już miałem wracać, gdy licho kurcz przyniosło. Dobrze jeszcze, że to się stało blisko brzegu i że Onufer z Murowanki, co tam niedaleko „szczubły” łowił, zdążył z czółnem podpłynąć, żeby mi był wiosła nie podał, poszedłbym na dno, jak amen w pacierzu!.

Wśród słuchaczy odzywają się głosy krytyczne. Ci ganią, tamci chwalą, owi czynią „fachowe” uwagi.

Podrażniony chłopiec zwraca się do krytyków z pięściami zaciśniętymi.

— Głupcy jesteście! — krzyczy — swoje kpinki i przytyki schowajcie dla takich, jacyście sami! Myślicie pewnie, że Radzicki miał „pietra”, że stchórzył i uciekł? No, to chodźcie ze mną stąd, zaraz, wszyscy ilu was jest, do Murowanki, a w oczach waszych nie dwa ale trzy razy Narew przepłynę! — Przy tych słowach czyni ruch, jakby już rozbierać się miał i do wody skakać.

— Zuch! — mówi Kuskowski, przez pół do siebie, przez pół do słuchaczy. — Bohater, co?

A na to, z najdalszego kłoca, gruby, mocny, dobitny głos odpowiada:

— Wariat!

To przemówił milczący dotąd Kucharzewski.

Wszyscy zwracają nań oczy zaciekawione. Kucharzewski jest najwyższą powagą w sprawach pływackich.

— Wariat, mówię — powtarza olbrzym z większym jeszcze naciskiem — bo trzeba mieć źle we łbie, żeby się narażać na pewne utonięcie. Szkoda, że byłem wówczas chory, bobym do tego głupstwa nie dopuścił. Tam najtęższy pływak nie poradzi! Prąd tak rwie, że cetnarowe kamienie unosi. Za uszy bym „knota” przytrzymał! Jemu się zdawało, że go kurcz chwycił, a to kręciły nim wiry, co tam wodę ciągle wirują. Wariat! Postrzeleniec!... I jeszcze mówi, że chce „sztukę” powtórzyć! No niech lepiej trzyma język za zębami, bo, jak Boga kocham...

Głos olbrzyma brzmi tak głośno, a oczy Radzickiego ciskają tak straszne błyskawice, że przezorniejsi śpieszą zażegnać burzę w zawiązku, nie dopuszczając zapaśników do siebie.

— Z Radzickim skończone! — obwieszcza z wyniosłości kloca najwyższy arbiter. — Niech wystąpi trzeci z kandydatów na bohatera: Bellon alias Balonik. Uciszcie się panowie, i słuchajcie, co ów powie.

„Ów” wyskakuje przed audytorium, maleńki, pyzaty, rumiany, istna piłeczka.

— Miałem skoczyć z huśtawki — mówi wesoło.

— Tak. Z huśtawki rozbujanej. Skoczyłeś?

— Skoczyłem.

— I cóż?

— Ano, niech powiedzą świadkowie.

Występuje Sitkiewicz i dwaj inni jeszcze.

— Chcieliśmy do tego nie dopuścić — mówi Sitkiewicz — ale smarkacz uparł się i skoczył.

— Ty, Sitko! — woła zaperzony malec — tylko bez „smarkacza”. „Balonikiem” pozwalam się nazywać, ale za „smarkacza” możesz oberwać.

— Skoczył — ciągnie tamten, nic sobie z pogroźek nie czyniąc — no, i naturalnie, rękę złamał.

— Kłamiesz. Nie złamałem, lecz zwichnąłem.

— Jedno lichy.

— Nie jedno. W tydzień później mogłem już być skakać po raz drugi.

— Spodziewam się — zauważa Kuskowski dobrotliwie — żeś tego nie zrobił.

— Wariatem nie jestem!

Śmieją się słuchacze — śmieje się i arbiter.

— Jakże zatem — pyta ostatni — zapatrujesz się dziś sam na swoje bohaterstwo?

— Że jest odpowiedniejsze dla małpy, niż dla człowieka.

— Co panowie o tym sądzicie? — zwraca się Kuskowski do obecnych. — Co do mnie, przyznaję Balonikowi słusność.

— I ja!... I ja!... I ja!... — przytakują zewsząd cieńsze i grubsze głosy.

Arbiter wstaje, przeciąga się, laską w powietrzu wykręca „młynka”...

— Zatem — finis. Skończone z Bellonem i skończone ze wszystkimi. Żegnam panów.

Chce odchodzić — wtem chłopców kilku poczyna wykrzykiwać:

— A Sprężycki?... Zapomniał pan o Sprężyckim... Hej, Sprężycki! Sprężycki!...

Wezwany wystąpił z gromadki.

— Czego wrzeszczycie, wariaty?

— Twoja sztuka... słyszysz?... Twoja sztuka?

— Jaka sztuka?

— Sztuki miałeś dokazać... Nie pamiętasz?

— No tak — potwierdza Kuskowski, którego zatrzymano. — Obiecałeś spełnić jakieś bohaterstwo.

Sprężycki uśmiechnął się lekceważąco — blade jednak policzki zapłonęły mu nagłym rumieńcem.

— Iiiii... jakie tam bohaterstwo!... Jaka tam sztuka!...

Rozpiął mundurek, wyciąga ukrytą pod nim książkę w czerwonej oprawie ze złocistymi brzegami.

— Oto wszystko, na com się zdobył — spokojnie mówi.

— Cóż takiego?

— Nagroda.

— Winszujemy! Ale... w każdej klasie otrzymało nagrody po dwóch uczniów; w całej szkole dziesięciu. I to się powtarza corocznie. Czy tych wszystkich nagrodzonych będziemy nazywali bohaterami?

Sprężycki oczy spuszcza, milczy. Jego skromna, jakby zawstydzona mina zdaje się mówić:

— Prawda...

Ale w tej chwili z pomocą przyjacielowi przybywa Dembowski.

— O jednym tylko pan Kuskowski zapomniał. Nagrody zdobywają zwykle tacy, co przez cały rok bez przerwy do szkoły chodzą. A Sprężycki miał blisko półroczną przerwę skutkiem ciężkiej choroby. W ciągu pięciu miesięcy musiał nauczyć się kursu dziesięciomiesięcznego i to nauczyć się nie tylko na promocję, lecz i na nagrodę. Zdaje mi się, że to niezgorsza sztuka!...

— Daj pokój, Bronek... — prosi półgłosem Sprężycki. — Nie ma o czym mówić...

Ale tamten nie chce się uspokoić. Czuje, że jest jego obowiązkiem zasłudze przyjaciela oddać publiczne świadectwo. Sprężyckiego zna dobrze: on, gdy postawi przed sobą cel jakiś, całą duszą mu się oddaje, wszystkie siły mu poświęca; ale gdy cel osiągnięty, już o nim zapominał — już lekceważy go, już przemyśliwa o innym...

— Tak, tak — prawi tym głośniej, im silniej do milczenia skłania go kolega — Sprężycki dokazał dzieła, na jakie nie zdobyłby się z pewnością żaden z tych, co tu zuchów i bohaterów udają!

„Bohaterów” — wymówił z niezmierną ironią!

— A jeszcze i to wiedzieć trzeba, że go nikt do tego nie zmuszał, ani nawet nie namawiał. Sam słyszałem, jak pan Sprężycki powiedział mu raz: — „Ty, Witek, o promocję nie kłopotuj się. Już ci ten rok daruję. Wolę cię widzieć w niższej klasie zdrowym, niż w najwyższej nawet kwękającym”... A Sprężycki co? Jak wszyscy posnęli, wymykał się cichaczem do bawialni, zapalał świecę i kuł a kuł... Raz, do białego dnia ślęczał nad łaciną, i wydał ją potem expedite, aż „Dziad” głową kręcił, piątkę mu dał i jeszcze tabaką poczęstował. A „polski” jak umiał — niech powiedzą koledzy. Zakasowałby niejednego piątoklasistę. Chaber aż w głowę zachodził, skąd on tyle wie — bo tego, co on umiał, w książkach szkolnych nie ma. Ale Sprężycki ma inne jeszcze książki, skąd może pożycza; i czyta a czyta — aż ja dziwię się nieraz, jak jemu oczy wystarczą. No, i postawił na swoim. Tamten dawny prymus to aż zachorował z zazdrości. Niech go tam! — Wszyscy wiedzą, że dostawał piątki tylko przez protekcję, bo jak jego ojciec przyjedzie ze wsi, zaraz idzie do „handlu” i wszystkich belfrów zaprasza. Ale Witek protekcji nie potrzebuje — co ma, to własną zasługą zdobył. Nawet inspektor, choć zły na niego, jak pies za to, że go naśladuje, wargę jak on wysuwa i brzuch wypina — musiał przyznać, że to najtęższa głowa z całej klasy...

— Słuchaj, Broniek! — krzyczy już zły naprawdę Sprężycki — jak nie zamkniesz gęby, to sobie pójdę, ale pamiętaj, że z przyjaźni naszej kwita!...

— No, no, już milczę — uspokaja go przestraszony groźbą kolega. — Niech jednak pan Kuzkowski dowie się, kto tu naprawdę jest zuch, a kto tylko swym zuchostwem ludziom oczy mydli...

Wymowa Dembowskiego zrobiła swoje. Najwyższy arbiter poprawia kapelusza (nie może jakoś dotąd ze swą „cywilnością” dojść do ładu), macha laską w lewo, w prawo...

— Panowie! — przemawia głosem trybuna — przedstawiono nam tu różne rodzaje bohaterstwa. Jedno okazało się głupotą, drugie szaleństwem, trzecie wariacją.. Właściwie, pod względem wartości wewnętrznej, nie było żadnej pomiędzy nimi różnicy. Kozłowski, Radzicki, Bellon, sami po namyśle przyznają, że tytuł bohatera żadnemu z nich się nie należy. Zastanówmy się bowiem panowie: co to jest bohaterstwo?

Odchrząknął i tym razem, mocno już kapelusz na głowie osadziwszy, ciągnie:

— Podług mnie, panowie, bohaterstwo jest to taki czyn, który z trudem i niebezpieczeństwem wykonany, przynosi rzetelną korzyść albo samemu wykonawcy, albo innym. Zapytuję teraz panów: jaką korzyść przynieść mogłoby komukolwiek:

primo, pójdzie czyjeś w nocy na cmentarz;

secundo, dwukrotne przepłynięcie rzeki;

tertio, zeskoczenie z huśtawki?

Sądzę nawet, że zgodzicie się panowie ze mną, gdy powiem, że te wszystkie czyny mogły być mieć skutki wręcz przeciwne i wykonawcom swym oraz innym osobom, zamiast korzyści, przynieść szkodę i nieszczęście. Mianowicie:

ad primum, włączając się nocą po cmentarzu mógł być łatwo z przestrawu zapaść w ciężką chorobę;

ad secundum, przepływający rzekę w miejscu niebezpiecznym mógł być utonąć, pozostawiając w rozpacz rodziców swych i rodzeństwo;

ad tertium, skaczący z huśtawki mógł być uczynić się na całe życie kaleką.

W tym miejscu mówcy przyjść musiały na myśl zarzuty, jakie spotkać go mogły ze strony słuchaczy. Uprzedzając je, objaśnia:

— Dziwić się może kto będzie, że, wiedząc o tym, na nierozsądne próby pozwolił. Wyznaję otwarcie, że nie brał ich na serio. Niech to nikogo nie obraża, ale nie przypuszczałem, żeby w naszej pięcioklasówce, z której ukończenia jestem tak dumny, mogli znaleźć się zdolni do podobnego... no, do podobnego — żakostwa.

Szmer przeszedł po zgromadzeniu. Jedni półgłęboko chichoczą, inni gniewnie pomrukują.

— Uspokójcie się, panowie — podnosi głos mówca. — Honor szkoły nie został stracony. Ocalił go — Spreżycki.

— Zuch Spreżycki! — wyrwał się ktoś.

— To jeszcze nie wiadomo... — mityguje go inny.

— Panowie! — grzmi Kuskowski, dochodząc widocznie do ostatecznego swej mowy zamknięcia — Stawiam panom w tej chwili pytanie zasadnicze: jak nazwać to, co uczynił ten wasz schorowany, mizerny, wątły kolega? Czy można i czy godzi się powiedzieć, że to było: żakostwo, fanfaronada, wariacja?

— Co znowu!... Broń Boże!... Bynajmniej!... — przeczą energicznym chórem głosy chłopięce.

— A czy zgodzilibyście się panowie nazwać to — bohaterstwem?

— Tak! Tak!... Nie inaczej!... To bohaterstwo!... Prawdziwe bohaterstwo!... Bohaterskie bohaterstwo!...

— Zatem — kończy swą rzecz mówca — jeżeli dzieło samo nazwaliśmy bohaterstwem, to jaka nazwa należy się jego twórcy?

W odpowiedzi, chór krzyczy wrzaskliwie, lecz jednogłośnie:

— Bohater!!...

I zaraz potem odzywają się oddzielne wykrzykniki:

— Sprężycki bohater!

— Hura Sprężycki!

— W górę Sprężyckiego!

Na próżno jednak oglądają się wszyscy za Sprężyckim. Ulotnił się — zanim jeszcze panegiryk na jego cześć dobiegł do końca.

Do ulotnienia się „bohater” miał kilka ważnych powodów. Nie najmniejszym był ten, że... spieszno mu było zagrać jak najprędzej w kręgle, które dostał od ojca za promocję z nagrodą.

XVII. Nowy zwierzchnik

Od początku roku szkolnego wiadano powszechnie, że surowy inspektor — nazywany w owe czasy „rektorem” — został od obowiązków swych usunięty i że pełni je tylko czasowo, czekając na przybycie następcy.

O powodach usunięcia różne między chłopcami krążyły wieści... Twierdzono przeważnie, że to była kara za zbyt surowość. Jakiś „knot”, rozpieszczony przez matkę, nigdy palcem przez nikogo nie tknięty jedynaczek, po otrzymaniu z rozkazu inspektora dwudziestu różeg, miał ciężko rozchorować się... podobno nawet umrzeć...

Osobistości „ofiary” nikt nie umiał dokładnie wskazać — sam jednak fakt narodzenia się tej wieści i jej prawdopodobieństwa był bardzo wymowny.

Być może zresztą, że sprawa przedstawiała się nierównie prościej. Inspektor, człowiek stary już, mógł być lata swoje wysłużyć, dostać emeryturę, ustąpić miejsca swego młodszemu...

Jedno było pewne: że żalu po sobie nie zostawiał.

Kto go miał żałować? I za co? Czy ci, których skazywał na tak często hańbiącą chłostę lub na „kozę”, przeciągającą się nieraz do czterech i pięciu godzin? Czy ci, dla których

miał zawsze namarszczone groźnie czoło, wysuniętą pogardliwie wargę, słowa zimne, grube, oschłe, pełne pogrózek, przejmujące trwogą tych nawet, co się do żadnej winy nie poczuli?

Może jednak żal budził się w tych nielicznych wybrańcach losu, którzy unikali szczęśliwie kar szkolnych i przed którymi inspektor stawał jedynie jako rozdawca rzeczy dobrych: nagród i pochwał?

— I to nie!

Ten groźny zwierzchnik, tak pochopny do karania i dręczenia i rozwijający w tym kierunku nadzwyczajną energię, stawał się dziwnie ociężałym, gdy szło o sprawienie uczniowi przyjemności. Zdawało się, że z tajoną niechęcią i tylko pod przymusem udziela promocji i nagród — że, gdyby to od niego wyłącznie zależało, ogół uczniów zostałby na drugi rok w tej samej klasie, a po upływie tego roku — byłby wypędzony ze szkoły.

Niezawodnie myśli takich on nie miał — uczniom jednak zdawało się, że je czytają w jego zawsze chmurnym obliczu, w oczach patrzących ponuro spod brwi nasuniętych, w głosie basowym, do grzmotu głuchego podobnym.

Gdy Sprężyckiego zapytano, czy wielką radość sprawiło mu otrzymanie nagrody, odpowiedział:

— Nie — bo mi ją wręczył „Madej”...

Cała szkoła nazywała inspektora Madejem. Niebieskie mundurki zastały już to przezwisko przez poprzedników stworzone. Dała mu podobno początek gruba laska, niegdyś przez zwierzchnika noszona, a przypominająca pałkę Madejową.

Pod wpływem wieści o bliskim ustąpieniu inspektora, zmienił się nastrój umysłów w szkole — zmienił się i on sam częściowo. Nawet najmłodszy uczniowie, z przenikliwością chłopcom właściwą, zrozumieli, że gdy lwu obcięto pazury, już drzeć przed nim nie trzeba...

Zdarzało się i teraz niekiedy, że zacięte usta inspektora wyrzucały z warczeniem kartacza groźbę:

— Smarrrkacze!... Rrrózi!...

Nagła bladość powlekała wówczas oblicza najśmielszych — wprędce jednak odzyskiwali odwagę, wiedząc, że te groźne chmury mogą tylko grzmieć — piorunem nie wystrzelą.

Osowiał też i jakby spotulniał kulawy Szymon. Był to objaw zupełnie naturalny. Gdzie niedomaga cały organizm, tam szwankować musi i ręka, czymże zaś był chromy stróż, jeśli nie ręką inspektora?

W zwykłym czasie była to ręka dzwoniąca, bijąca i sadzająca do kozy; obecnie stała się wyłącznie dzwoniącą. Ale nawet i w tym dzwonieniu doświadczono ucho starszych, wieloletnich sztubaków dosłuchiwało się teraz dźwięków dawniej mu obcych. Dzwonek szkolny nie krzyczał już z wieży tak rześko i rozgłośnie, jak niegdyś. Odzywał się głosem jakby zaspanym, a znawcy twierdzili, że mówi:

— Chodźcie do szkoły... jeśli chcecie! A jak nie, to nie!... Pał was lichu!... Uczcie się, lub nie uczcie... wszystko mi jedno!

Dawne dzwonienie „na zmianę”, które wstrząsało murami szkolnych korytarzy, teraz było tak wątle, że się je ledwie słyszało.

Niejednokrotnie, nauczycielowi, zapędzonemu w wykładzie, prymus musiał przerywać:

— Panie profesorze! Już dzwonili na zmianę...

Nauczyciel twierdził, że to nieprawda; między uczniami zdania były podzielone — dopiero wejście następnego profesora sprawę wyjaśniało.

Upadła też powaga złośliwego stróża — bo wszystko, co na strachu tylko oparte, wraz ze strachem kończy się. Dawniej, gdy niebieskie mundurki wysypały się na wielką pauzę, kulawy Szymon stawał śmiało na środku korytarza i rozkraczywszy nogi, przyglądał im się wzrokiem pogardliwie nienawistnym — spokojny, że go ta fala nawet nie muśnie. Dziś ani próbował tego czynić: rozbrykane „knoty” przewróciły go raz na ciemię i omal nie został na drugą nogę kaleką...

Przebąkiwano, że i on niedługo już tu będzie „popasał”, że lada dzień skończą się i jego „rządy”.

Przez szkołę przeciągał jakby świeży powiew, zwiastujący poranek nowej, lepszej doby.

Z tym powiewem nadpływało zarazem niepokojące pytanie:

— Czy nowa doba będzie naprawdę lepsza? Czy następca Madeja nie okaże się wypadkiem drugim Madejem, w zmienionej tylko postaci?

Mgły, zakrywające bliską przyszłość, zaczęły się z wolna rozstępować. Już między uczniami krążyło z ust do ust podawane, nazwisko nowego zwierzchnika; już wymieniano miasto, z którego ma przybyć.

Na nieszczęście, nazwisko było dla wszystkich w P. obce; miasto — Radom czy też Kielce — przy ówczesnych warunkach komunikacyjnych, wydawało się chłopcom o setki mil odległe, puszciami nieprzebytymi odgradzone.

Znalazł się wszakże między niebieskimi mundurkami taki bohater, który twierdził, że przebywał raz z ojcem w bliskości owego dalekiego miasta, a nawet, że słyszał coś o rektorze, który stamtąd przybywa.

To „coś” przedstawiało się groźnie. Bohater utrzymywał, że nowy zwierzchnik słynie z okrucieństwa, że najlepszym uczniom obniża własnowolnie stopnie, że skazanych na areszt zamyka na odwachu policyjnym i że na użytek jego kancelarii przetrzebiono wszystkie lasy okoliczne...

Tak stały rzeczy, gdy dnia jednego we wszystkich klasach po kolei zjawił się inspektor i oznajmił, że nazajutrz o dziesiątej rano cała szkoła zgromadzić się ma w klasie trzeciej (która była najobszerniejsza) — gdzie nastąpi przedstawienie uczniom nowego inspektora, pana Wiśnickiego z Radomia.

Piękny to był dzień i na długo utrwalił się w pamięci wszystkich — choć z pozoru nie odznaczał się niczym nadzwyczajnym.

Najpierw była msza — nieco dłuższa i uroczystsza, niż zwykle. Uroczystości dodawała jej obecność wszystkich nauczycieli w mundurach galowych. Ciało nauczycielskiemu przewodniczyli obaj rektorowie: ustępujący i nowo przybyły.

Uczniów paliła ciekawość zobaczenia ostatniego. Ale tę ciekawość niezmiernie trudno było zaspokoić, gdyż rektorowie siedzieli w ławkach, szkoła zaś była ustawiona w ordynku przed ławkami. Obejrzenie się na zwierzchność szkolną wymagało odwrócenia się od ołtarza — co nie było dozwolone i co narażało na skręcenie karku.

Rzykanci, co z narażeniem tej części ciała zdołali jednak zerknąć w tamtą stronę, dojrzeli tylko przelotnie wysoki, granatowy, srebrem haftowany kołnierz mundurowy. Człowiek niknął we wspaniałościach szaty urzędowej.

Kazanie wygłosił ksiądz Pawłowski, młody orator zakonu benedyktynów. Powiedział rzecz krótką, ale energiczną: o posłuszeństwie należnym zwierzchności.

Dość niepokojąco oddziaływała ta mowa na młodzież. Niejednemu wydała się zapowiedzią rządów absolutnych, surowych...

Ów bohater, co to przebywał kiedyś blisko Radomia, szepnął do swych sąsiadów:

— A co, nie mówiłem?... Ten Wiśnicki to będzie drugi Neron...

Dla ucznia szkoły w P. Neron uosabiał największy despotyzm i największą okropność.

Serca chłopców zamierały ze strachu przed tym despotyzmem i przed tą okropnością. To nawet stało się powodem, że pomimo skupienia się kilkuset zuchów w murach jednej klasy, panował tam względny spokój.

Spokój stał się zupełną, głuchą ciszą, gdy drzwi otwarły się na całą szerokość i w otoczeniu świty profesorów, galowymi mundurami błyszczącej, zeszli na salę obaj rektorzy. Niebieskie mundurki mogły być nareszcie przypatrzeć się swemu nowemu — despocie.

Obok dawnego inspektora stał człowiek niewielkiego wzrostu, prawie już stary, z rzadkimi, na pół siwymi włosami, bez zarostu, szczupły, lekko pochylony, wyobrażający krańcowe z tamtym przeciwieństwo. Ani brzucha nie wystawiał, ani wargi nie wysuwał, ani spojrzeń Jowiszowych nie rzucał... Stał skromnie, jakby trochę zakłopotany, i dobrym, poczciwym spojrzeniem obejmował wpatrzoną w siebie młodzież.

Gdy za wejściem „zwierzchności” uczniowie z miejsc wstali, on jeden tylko pokłonił się im, a na jego twarzy pojawił się miły, dobrotliwy, prawdziwie ojcowski uśmiech, od którego chłopcom ciepło się w sercach zrobiło. Byli zdziwieni tym obcym sobie pozdrowieniem, które smakowało im jak łakotka wytworna prostemu, chłopskiemu dziecku...

Tamten wystąpił kilka kroków naprzód dla wypowiedzenia przemowy pożegnalnej.

Była to przemowa surowa i oschła, jak wszystko, co z ust jego wychodziło. Jednak, licząc się z chwilą, usiłował głosowi swemu nadać brzmienie łagodniejsze, uczynić go miększym, czulszym. Wyglądało to tak, jakby kto basem odśpiewał partię sopranową....

— ...Czterdzieści lat blisko byłem zwierzchnikiem młodzieży... Przewodziłem wychowaniu kilku pokoleń... Pod moją władzą pozostawali wasi ojcowie... Dziś, gdy reskrytem z dnia... (następowała dokładna data nowego i starego stylu), za numerem... (dokładny numer), zostaję zwolniony od obowiązków, gdy przemawiam do was po raz ostatni, gdy może nigdy już ani wy mnie, ani ja was nie zobaczę... nie mogę powstrzymać się od... od... (wszyscy myśleli, że od łez — okazało się wszakże co innego) od przypomnienia wam przepisów, obowiązujących każdego ucznia w stosunku do nauczycieli, zwierzchności szkolnej i rządu krajowego...

Następowały frazesy coraz miększe.

— ...Spodziewam się, że w waszych sercach (jak dziwnie brzmiało w jego ustach to słowo!...) przechowa się pamięć lat spędzonych pod moim zwierzchnictwem... Zawszem miał na celu i na uwadze: najpierw, dobro rządu, następnie — wasze... Dożyłem siwizny na tym ciężkim i odpowiedzialnym stanowisku... Zaszczycony

uznaniem władzy, przechodzę spokojnie w stan odpoczynku... Przedstawiając wam swego zastępcę, przypominam, żeście winni i jemu... posłuszeństwo. Żegnam was... moi... uczniowie...

Skończył i głowę zwiesił na piersi — po raz pierwszy zapewne, odkąd był inspektorem.

Należało spodziewać się drżących od wzruszenia okrzyków — chóralnych pożegnań — może wybuchów płaczu...

Nic z tego.

Wszystkie pięć klas milczało jak zaklęte.

Przeciągające się milczenie stawało się kłopotliwym. Inspektor emeryt stał w miejscu, głowę coraz niżej zwieszając. Może w tej chwili dopiero tknęła go i błyskawicą nagłą oświeciła myśl, że droga, po której przez lat czterdzieści kroczył, była drogą fałszywą — że trzeba było od początku pójść w innym kierunku...

Grobowe milczenie całej szkoły, zarówno małych, instynktem powodujących się chłopiąt, jak młodzieńców dorastających, dokładnie świadomych, co czynią, było wymowniejsze od słów.

Z tego natłoku niebieskich mundurków, świeżych twarzy, iskrzących oczów, zwykle kipiącego życiem, a teraz skamieniałego w nagłym bezruchu, tchnął lodowaty powiew: obojętności i niechęci, żalu stłumionego i powstrzymanej nienawiści.

Inspektor giął się, jakby pod ciężarem siły jego przechodzącym. W jednej chwili postarzał się, pożółkł — obwisły mu tłuste policzki, ręce, zwykle skrzyżowane na brzuchu, opadły bezwładnie wzdłuż bioder.

Widok jego sprawiał przykrość — choć współczucia nie budził. Złamana jego postać zdawała się mówić:

— Oto zapłata — zasłużona... Tak! Należało być innym... Dziś już za późno...

Wszystkie kąty obszernej sali i cała szkoła, i cały kraj syczały mu do ucha:

— Za późno!... Za późno!...

Pochylił się nagle bardzo nisko — zdawało się, że upadnie. Nowy rektor podsunął mu szybko fotel. Kilku nauczycieli podbiegło, pomagając mu usiąść. Wszyscy byli przerażeni.

On lewą ręką oczy zakrył — silił się przemówić — nie mógł. Twarz odwrócił, a prawą ręką wykonał w stronę kolegi ruch, zapraszający go do zabrania głosu.

Teraz wszystkie oczy zwróciły się na nowego zwierzchnika. O tamtym zapomniano.

Rektor Wiśnicki postąpił krok naprzód, powiódł jasnym, życzliwym wzrokiem po niebieskich mundurkach i uśmiechnął się dobrotliwie. Potem, nie przybierając żadnej pozy, nie prostując nawet lekko pochylonych pleców, przemówił zwykłym, szczerym i prostym głosem:

— Mam nadzieję, moje dzieci, że się wzajemnie pokochamy. A gdy będziemy się kochali, to już tam wszystko zresztą pójdzie nam dobrze. Nieprawda?

I znów się uśmiechnął.

Trudno opisać wrażenie, jakie wywarły na chłopcach te proste słowa. W niebieskiej gromadce zawrzało. Gdy na lodową powłokę strumienia padnie gorący promień wiosennego słońca, wywołuje takiż sam skutek. Lody pękają — strumień pieni się, skacze...

— Tak! tak!... Prawda!... Będziemy pana rektora kochali!... Wszystko będzie dobrze!... Niech żyje pan rektor!

Głos ostry, mocniejszy, niż inne, zawołał:

— Hura pan rektor Wiśnicki!

Był to głos Kozłowskiego — który po tym wybuchu uczuł nagle strach i dał nurka pod ławkę.

Dzień, przyjemnie zaczęty, przyjemnie też się zakończył. Wszystkie klasy dla uczczenia instalacji nowego rektora zostały zwolnione od lekcji.

W godzinach popołudniowych, między obiadem a podwieczorkiem, na kłocach nad Narwią odbył się „wiec” starszyny uczniowskiej. Roztrząsano na nim sprawy ważne. „Knoty” nie byli dopuszczeni.

Inicjatorzy wiecu wystąpili z wnioskiem, żeby ustępującemu inspektorowi wyprawić „kocią muzykę”. Rzecz w zasadzie wszystkim się podobała — na nieszczęście, nikt nie wiedział, jak się wziąć do tego. Istniała wprawdzie dość świeża jeszcze tradycja „kocich muzyk” — tradycja wszakże nie mogła zastąpić praktyki.

Mimo wszystko, wniosek przeszedłby był większością głosów, gdyby nie nagle wmieszanie się Sprężyckiego.

Sprężycki, choć najmłodszy, cieszył się w tym kółku powagą. Cienki, chłopięcy jego głos zawsze był pilnie przez „starszyny” wysłuchiwany.

Podczas narad siedział na uboczu, nie odzywając się. Gdy jednak spostrzegł, że niebezpieczna myśl poczyna stawać się ciałem, zawołał energicznie:

— Nie! Nie! — trzeba temu dać pokój!

— Co? Dlaczego? Zwariowałeś... — oburzyli się tamci.

- Nie zwariowałem — ale wiem, że tego robić nie wypada!
- Gadajże: dlaczego?
- Dlatego, że to sprawiłoby przykrość — tamtemu.
- Komu?
- Nowemu rektorowi.

Z bystrością umysłu, właściwą starszym chłopcom, wiecownicy rzecz pojęli. Tak jest, niezawodnie: rektor Wiśnicki byłby przerażony i zmartwiony takim skandalem. Co by pomyślał sobie ten dobry, spokojny człowiek o młodzieży, która pod oknami jego kolegi kwiczy, miauczy, beczy, jak stado dzikich zwierząt?

Projekt kociej muzyki upadł. Uczestnicy wiecu opuszczali go w usposobieniu o wiele spokojniejszym i... rozsądniejszym, niż gdy nań dążyli.

I był to pierwszy tryumf „polityki” nowego zwierzchnika. Zresztą, manifestacja, choćby do skutku doszła, chybiłaby celu, gdyż Madej tego samego jeszcze dnia z miasta wyjechał.

Razem z inspektorem, opuściła szkołę i miasteczko jego „prawa ręka” (bijąca) — kulawy Szymon.

Żadnego z nich już tam więcej nie widziano. Żyli jednak długo — w tradycji.

Stare szkolne „wygi” mawiały niekiedy „knotom”:

— Oho! Żeby to było za Madeja, to by ci się nie upiekło. „Jęknąłbyś” — jak amen w pacierzu.

Albo:

— Dziękuj Bogu, że już nie ma kulawego Szymka. Ten to ci dopiero miał ciężką rękę!

Rządy rektora Wiśnickiego tym się przede wszystkim zaznaczyły, że za nich, w szkole P-skiej została zniesiona kara cielesna. W regulaminie szkolnym ona mieściła się po dawnemu — de facto jednak przestała istnieć.

Nieposkromionych zbytników i leniuchów nauczyciele straszili niekiedy „rózgami” — ale kończyło się wszystko na strachu. Za nowego rektorstwa, nikt nie został „oćwiczony” — nikt nie doznał tego najwyższego upokorzenia i tej hańby, które równały się średniowiecznemu wystawianiu pod pręgierzem i piętnowaniu.

Miejsce kulawego Szymona zajął stary Jan — inwalida, z białym, szczotkowanym wąsem, z kolczykiem w uchu, z kilkoma medalami na piersi.

Jan siadywał przy dzwonku, na zydlu, i w chwilach wolnych, nałożywszy wielkie, w oprawie rogowej, okulary sylabizował Roczniki wojskowe. Rektorowi i nauczycielom

salutował po wojskowemu, a do przechodzących uczniów uśmiechał się, ruszając zabawnie siwymi wąsikami.

Chłopcy przyglądali się z początku nieufnie i Janowi, i jego uśmiechom — powoli wszakże zaczęli nabierać zaufania do jednego i drugiego. I niebawem stała się rzecz nadzwyczajna i prawdziwie niesłychana: do starego stróża uczniowie cisnęli się jak do przyjaciela...

Nierzadko można było widzieć Jana, jak siedząc na zydlu i trzymając na jednym z kolan jednego malca, na drugim drugiego — opowiadał im wojenne epizody swego życia. Miał zaś do opowiadania niemało, bo z niejednego pieca jadał... suchary żołnierskie. Pod Grochowem widział kirasjerów w zbrojach, co najpierw wszystko łamali przed sobą, a potem padli i podnieść się nie mogli, tak ich grube blachy obciążały; w 48-mym roku „chodził na Węgry”, a potem jeszcze na Kaukazie ucierał się z Czezeńcami.

I dzwonek szkolny innym teraz głosem odzywał się z wieży benedyktyńskiej — głosem uprzejmym, wyrozumiałym, choć zarazem i stanowczym.

— Chodźcie, dzieci, do szkoły — wołał — czekamy was z utęsknieniem! Żał wam opuszczać ciepłe łóżeczko, ale pomyślcie: ile was tu czeka przyjemności i korzyści! Dalej, śmiało, do góry uszy! Jedna chwila wysiłku i już będziecie umyjni, ubrani, gotowi do lekcji i do życia! Chodźcie do nas, chodźcie! Przyciśniemy was do serca, zrobimy z was rozumnych ludzi, użytecznych członków społeczeństwa, dobrych obywateli kraju! Nie zwlekajcie! Chodźcie!

Któż by takiego wezwania nie usłuchał! Toteż nie opuszczano teraz lekcji, nie spóźniano się. I choć poczciwy stary Jan zawsze po ostatnim dzwonku stawał przy ciężkich drzwiach, gotowy otwierać je maruderom — maruderów nie było.

Atmosfera szkoły stała się miłsza, przyjemniejsza — siły przyciągającej nabrała. Mniej było teraz wybuchów hałaśliwej, barbarzyńskiej wesołości, z wywracaniem ławek i bójkami połączonej, więcej za to szczerego śmiechu i spokojnego zadowolenia...

Rektor Wiśnicki nigdy nie krzychał na uczniów, nie gromił ich, karami nie straszył. Czasem, gdy w której klasie zanadto dokazywano, wchodził spokojnie, udając, że nie spostrzega niczego, wcale na zbytników nie patrząc. Oni wówczas czuwali nagły wstyd, przestawali krzyżeć, wracali na miejsca i z minami skruszonymi czekali, co zwierzchnik powie.

A on łagodnym głosem przyzywał prymusa i mówił na przykład:

— Otwórz, kochanku, lufcik, bo tu trochę duszno...

Albo:

— Jeśli uważacie, moje dzieci, że wam zimno, to niech Jan dołoży drzewa do pieca...

I wychodził — a klasa stawała się nagle, bez żadnego nakazu, spokojna, przyzwoita, stateczna.

Rektor pełnił zarazem obowiązki nauczyciela. W niższych klasach wykładał geografię, w wyższych — początki nauk przyrodniczych.

Były to jedyne lekcje, na które uczniowie śpieszyli z ochotą, wyczekując ich niecierpliwie, żałując, że nie przypadają częściej, że dłużej nie trwają...

Uczył bez książki; dyktował tylko krótkie streszczenia swego wykładu. A ten wykład jakże był prosty, przystępny, wszelkiej „magistralności” pozbawiony! Wiśnicki po prostu gawędził z uczniami, jakby rzecz działa się nie w klasie, na lekcji, lecz na przechadzce, pod drzewami albo na przyzbie chaty wieśniaczej, przy kwaśnym mleku lub chlebie z miodem.

Zawsze przy tym miał coś ciekawego do pokazania: to roślinę niezwykłą, to ptaka wypchanego, to żywą rybkę w wodzie, to gada zakonserwowanego w alkoholu.

Szkoła posiadała niewielki zbiorek okazów przyrodniczych, pomocy naukowych itp. Za poprzedniego rektora ten zbiorek znajdował się w zupełnym zapomnieniu — zakurzony, poprzewracany, w szafach nigdy nie otwieranych uwięziony. Wiśnicki, przy pomocy piątoklasistów, uporządkował go i posługiwał się nim stale przy wykładzie.

Czasem z własnych zbiorów przynosił mniej rzadkie minerały, łamał je na cząstki i uczniom rozdawał — zachęcając do samodzielnego zbierania.

Był to doskonały pedagog — rozumiejący, że to nie szkoła uczy, lecz uczniowie uczą się sami... i że szkoła najzupełniej spełni swe zadanie, gdy ich do nauki zachęci, w uczeniu się pomoże, wskazówek potrzebnych udzieli.

Nowy rektor bardzo pilnie czuwał nad uczniami — czynił to wszakże w taki sposób, że oni tego najczęściej wcale nie dostrzegali. Opowiadając raz na przykład piątoklasistom o tytoniu i jego plantacjach, rzekł niby nawiasem:

— Słyszałem, że niektórzy z panów palący papierosy czynią to podczas pauzy w miejscu bardzo niewłaściwym i bardzo brzydkim. Nie będę im tego zabraniał, tak samo jak nie zabraniałbym swemu przyjacielowi leżeć w błoto. Gdybym jednak widział, że przyjaciel, nie spostrzegając tego, ma wstąpić w rynsztok, nie mógłbym się powstrzymać od pochwycenia go za ramię i zawołania: „Wariacie! Co czynisz?”...

Poczuwający się do winy uczniowie milczeli i próbowali się uśmiechać — rumieniec jednak zdradzał, że zaczynają wstydzić się swego postępowania.

Rektor tymczasem ciągnął głosem zupełnie naturalnym:

— Zawiadamiam panów palaczy, którzy od palenia powstrzymać się nie mogą, że od jutra, podczas każdej pauzy Jan będzie zaopatrzony w papierosy. Panowie palacze będą mogli otrzymywać je od niego na każde żądanie — pod warunkiem, że będą palili otwarcie, przy wszystkich, na dziedzińcu szkolnym.

Chłopcy tręcili się łokciami i milczeli. Żaden nie wiedział, czy to żart, czy rzecz poważna. Wiśnicki miał swą zwykłą, dobrą, pocziwą minę, która upewniała, że w każdym razie słowa jego wypłynęły ze szczerzej, ojcowskiej miłości dla chłopców.

Nazajutrz, na „dziesiątej” (tak nazywano dłuższą, dziesięciominutową pauzę), żaden nie poszedł palić skrycie, w miejscu „nieodpowiednim i brzydkim”. Wstydziło się tego. Wszystkich też odbiegła chęć skrócenia i napychania tytoniem tutek z grubego, wydartego z kajetów papieru. Okłamywali siebie samych, że wciąganie w płuca cuchnącego, szczypiącego w język i gryzącego w oczy dymu jest im przyjemne; teraz przyznać musieli sami, że to obrzydliwość.

Około starego Jana, ćmiącego przy drzwiach krótką żołnierską fajeczkę, kręcili się ciekawie ale i podejrzliwie — rzucając nieufne spojrzenia na jego kieszeń wypchaną. Jeden wszakże, najśmielszy, przystąpił i rzekł ostro:

— Proszę o papierosa.

Inwalida natychmiast podał rzecz żadaną. Wydobył nawet pudełko zapalek siarkowych i zapalił jedną z wielkim trzaskiem a większym jeszcze — śwędem.

Śmiałek, z dymiącym papierosem w ustach, zaczął chodzić po dziedzińcu. Ale w jednej chwili otoczyło go takie zbiegowisko, że krokiem postąpić nie mógł. Ściśnięty został ze wszech stron przez niebieskie mundurki małe, mniejsze i najmniejsze — zewsząd też wzniosły się piskliwe głosy, do wrzasku ptactwa domowego podobne:

— Palacz!.. Kopcidym!... Kominiarz!...

Siłą rozerwał ten łańcuch, ale gromada „knotów” pobiegła za nim dalej, niby stado wróbli za rarogiem — krzycząc, drażniąc się, wyśmiewając...

— Dla pana palacza świecę z kociego łaju!

— Krowiego ogona łokieć!

— Cygarnicę z wołowej kości!

Rzucił się z podniesioną pięścią na prześladowców, przy czym papieros z ust mu wypadł. Ostatecznie i malca żadnego nie dosięgnął, i papieros stracił. Od proszenia o drugi odbiegła go ochota.

Po jednej nieudanej próbie, już dalsze nie nastąpiły. Nawet stary Jan na próżno mrugał na przechodzących wyrostków, uderzając się po kieszeni wypchanej i pomrukując uprzejmie:

— Może „papieruska”?...

W jego uśmiechu widziano utajone szyderstwo i — odwracano się pośpiesznie od zdradnej pokusy.

Odtąd palenie tytoniu w obrębie gmachu szkolnego zupełnie ustało. Zmniejszyło się też znacznie i poza szkołą.

Zajął się również nowy rektor wytępieniem innej plagi, za jego poprzednika bardzo rozpowszechnionej.

Chociaż uczciwsi uczniowie po wszystkie czasy prześladowali bez litości „lizusów” i „donosicieli”, jednak marny ten rodzaj, znajdując u Madeja zachętę, nadmiernie się w szkole P-skiej rozpanoszył.

Bywało, na przykład, że rektor czyta listę, a przy nazwisku nieobecnego kolegi uczniowie mówią:

— Chory!

W tejsze chwili podnosi się lizus, wytyka dwa palce i raportuje:

— Nieprawda, proszę pana rektora. Widziałem go, jak łowił ryby na wędkę przy moście benedyktyńskim!...

Madej pochwalił by był takiego ucznia za lojalność i wysługiwanie się władzy — Wiśnicki potarł tylko brodę i spod oka nań spoglądając, rzekł:

— Kiedy tak, to idźże, moje dziecko, i — pomóż mu...

Chłopiec myśli, że to żart i z miejsca się nie rusza. Ale rozkaz powtarzają mu, łagodnie lecz z naciskiem — musi przeto, rad nie rad zabierać tekę i wynosić się z klasy. Przeprowadzają go śmiechy i szyderstwa kolegów. Rektor udaje, że ich nie słyszy.

To znów zdarzały się ciężkie bezimiennie przestępstwa, jak na przykład: wybicie szyby w klasie, splamienie dziennika klasowego atramentem, krzyknienie spod ławki na nielubionego nauczyciela: „szwab”...!, „dziad”...! lub tp. Rozumie się, że bezimiennymi były one tylko dla zwierzchności...

Honor uczniowski, często powtarzane hasło: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, wreszcie wrodzone młodym duszom poczucie jedności nie pozwalały wyjawiać przed władzą nazwiska „przestępcy”. Zacięte usta chłopców zdawały się mówić: — Możemy wszyscy pójść do „kozy” i przenieść męki najokropniejsze — ale jeden karany nie będzie!...

Za rządów Madeja zawsze w takich wypadkach znajdował się zdrajca, który chyłkiem wędrował do kancelarii i składał inspektorowi o całym wypadku „raport sekretny”, z dokładnym wskazaniem winowajcy.

Winowajca otrzymywał surową karę upozorowaną zwykle czymś innym — donosiciel zaś, choćby był osłem „patentowanym”, mógł być pewnym promocji — niekiedy nawet i pochwały.

Za Wiśnickiego ta rzecz odbywała się w inny sposób.

Przed rektorem na przykład, siedzącym samotnie w kancelarii, zjawia się niespodzianie tajemniczo uśmiechnięty, na palcach skradający się, z pokręconym na głowie „runem”, z odstającymi sromotnie uszama — Baranowski.

— Czego chcesz, moje dziecko? — pyta dobrotliwie uprzejmy dla wszystkich zwierzchnik.

— Wczoraj, proszę pana rektora, wybili w naszej klasie szybę...

— Wiem o tym.

— I zakleli się, że nie powiedzą, kto to zrobił...

— Ha, cóż ja na to poradzę!

— Więc ja przyszedłem powiedzieć panu rektorowi, że to wybił Dobrosielski...

Rektor udaje nadzwyczajne zajęcie.

— Zadziwiasz mię, moje dziecko!... — mówi, zdejmując i kładąc na powrót okulary.

— Przed chwilą był tu właśnie Dobrosielski i powiedział, że szyba została wybita przez... no zgadnij, przez kogo?

— Nie mogę zgadnąć, co on powiedział.

— Przez ciebie.

Baranowski aż podskakuje.

— To dopiero kłamczuch!... Dam ja jemu!... Niech mi to w żywe oczy powtórzy!...

— Masz słuszność, moje dziecko — mówi rektor. — Trzeba, żeby on ci powiedział to w oczy. Zadzwoń na Jana, żeby go tu przyprowadził.

Mówiąc to, sięga po dzwonek.

— Panie rektorze! — jęczy przestraszony Baran — niech pan rektor tego nie robi!

— Ale w takim razie nie będę wiedział, kto naprawdę winien?

— Ja mówię, że Dobrosielski.

— A Dobrosielski mówi, że ty. Będę musiał zatem ukarać i Dobrosielskiego, i ciebie. Ponieważ jednak Dobrosielski nie ucieka od konfrontacji z tobą, ty zaś widocznie jej się boisz, więc — tobie zostanie wymierzony wyższy stopień kary.

— O mój Boże! Mój Boże!... — płacze donosiciel, zupełnie z tropu zbity i bezradny.

— Chyba... — wtrąca rektor dobrodusznie — że oskarżenie swe odwołasz...

Baran chwytą się ostatniej deski ratunku, przypada do rektora, całuje go w rękę i z wysiłkiem wykrztusza:

— Ha, to już wolę... już wolę — odwołać!

— Więc idźże sobie z Bogiem, moje dziecko.

Chłopiec o pokręconym runie odchodzi — żeby już nigdy w roli donosiciela przed Wiśnickim nie stanąć.

Pod kierownictwem nowego rektora, szkoła w P. uspokoiła się, umoralniła i wyszlachetniała. Nie słyssało się nigdy o żadnym skandalu, o masowych karach, o wydalaniu uczniów ze szkoły. Nawet na stancjach, przez wdowy utrzymywanych, przestano palić tytoń, grać w karty i pić zaprawiony melasą likierek. Profesor Salamonowicz był w rozpaczy, nie mogąc, mimo potrojonej czujności, zwietrzyć nic takiego, co by w „Księdze wizyt” jako malam notam można było zapisać.

Przykład zwierzchnika oddziaływał na podwładnych. Zmieniło się do gruntu postępowanie nauczycieli z uczniami. I ten stosunek, dawniej jakby obustronną niechęcią zaznaczony, stał się teraz przyjemnym, gładkim, na miłości i zaufaniu opartym.

Przede wszystkim znikła z katedry trzcina profesora Luceńskiego, zajmując o wiele właściwsze dla siebie miejsce: w kącie przy piecu. Dzięki temu, na lekcjach francuskiego ustały owe grzmoty, przerażające tak bardzo nerwowych chłopców, że się od nich często rozchorowywali.

Profesor Izdebski po dawnemu wprawdzie wysuwał rozczapierzone palce w kierunku czupryn uczniowskich, najczęściej wszakże cofał je, włosów nie tknąwszy. Zaniechał też dawnego zwyczaju wybijania „końcówek” — pięścią na plecach.

Energiczne tytuły: „oszol”, „barran”, „wól”, którymi tak hojnie szafował profesor Effenberger, zostały przezeń zastąpione łagodniejszymi: „szpicbub”, „len” (leń) i „szpik” (źbik). Nierzadko też on teraz urozmaicał nudne lekcje niemczyzny opowiadaniem o pieszych, pełnych przygód wycieczkach, które odbywał w młodości do Szwarcwaldy. Te opowiadania, mimo łamanego języka, jakim je wygłaszano, bardzo zajmowały chłopców.

Ksiądz Wiśniewski, prefekt, nic w swym postępowaniu odmieniać nie potrzebował, zawsze był bowiem łagodny jak baranek, cierpliwy i wyrozumiały. Dla profesorów: Salamonowicza, Żebrowskiego, Chrupczałowskiego reforma była również zbyteczna,

gdyż żaden z nich nie wykraczał nigdy przeciw prawom grzeczności i przyzwoitości, obowiązującym nie tylko uczniów względem nauczycieli, lecz i odwrotnie. I było wszystkim dobrze pod dobrymi rządami rektora Wiśnickiego. Wszyscy modlili się, żeby trwały jak najdłużej i żeby te, które po nich nastąpią, niczym się od nich nie różniły...

XVIII. Ostatnie zebranie

Pan Pawlicki, ogrodnik, a właściwie dzierżawca ogrodu „Zamkowego” (który mieszkańcy miasteczka *iure caduco* uczynili spacerowym i publicznym), doznaje dziś co kilka chwil nerwowego niepokoju.

Pan Pawlicki nie lubi gości przybywających wyłącznie na przechadzkę. Nie lubi ich zwłaszcza w godzinach rannych. Zwykle po każdej takiej „wizycie” nie może doliczyć się kwiatów na klombach, owoców na drzewach — niekiedy nawet tyczek przy fasoli.

Dawniej było jeszcze gorzej. Panowie z miasta, ich żony, dzieci i służba, jakby do tego ślubem tajemnym zobowiązani, nigdy, wchodząc do ogrodu, drzwi za sobą nie zamykali. Korzystały z tego w granicach jak najszerzych psy i świnię — z małym, rozumie się, pożytkiem dla ogrodu i średnią przyjemnością dla ogrodnika.

Zaradził wreszcie złemu pan Pawlicki przez zawieszenie na drzwiach ciężkiego kamienia, który je sam, automatycznie, z nadzwyczajnym łoskotem zamyka.

Otóż dziś powodem wspomnianego już zdenerwowania pana Pawlickiego jest ów łoskot, co kilka chwil powtarzający się.

Za każdym huknięciem kamienia pan Pawlicki prostuje plecy przy sadzeniu „flanców” zgięte, głowę w stronę drzwi obraca i widzi w nich — niebieski mundurek. Ile huknięć, tyle mundurków.

— Kara boska... nasłanie!... — mruczy, srodze się marszcząc.

W ciągu kwadransa naliczył tych niebieskości przeszło tuzin.

— Chodź ino, Aleś! — woła rozpaczliwym głosem na swego syna Olesia.

Nadchodzącemu wydaje półgłosem zlecenie:

— Uważaj, a dobrze, na drzewa fruktowe... Na studentów ciągiem patrz... A jakby co, to przez żadnych ceregielów, czapkę łap i kwita!...

Jakże bardzo myli się pan Pawlicki! Jakże bezpodstawne i niedorzeczne są jego obawy!

To nie „knoty” przyszli — nie urwisy, nie zrywacze kwaśnych jabłek, nie otrząsacze robaczywych gruszek. To raczyła nawiedzić ogród zamkowy arystokracja szkoły: same

piątoklasisty, ptaki na wylocie, którym rektor doręczyć ma jutro patenty, a wraz z patentami prawo noszenia stroju cywilnego, zapuszczania bród i wąsów, chodzenia z laskami, grywania w bilard, zaciągania się papierosem. Przyszli jeden za drugim, umówiwszy się widać na jedną godzinę, sztywni, poważni, uroczyści, jakby już byli co najmniej kancelistami biura powiatu lub sekretarzami urzędu pocztowego. Przyszli, zasiedli na ławkach dokoła wielkiej, starej gruszy sapieżanki — i zaraz wołają na „Alesia”:

— Garniec agrestu... Garniec gruszek... Garniec jabłek...

— Agrest ma być miękki!

— Gruszki soczyste!

— Jabłka słodko-kwaskowate!

Poważny nastrój nie odebrał im apetytu.

W tym świetnym gronie błyszczy na kształt wielkiej „bursztówki”, okrągła, rumiana twarz Bonusia Smolińskiego; świecą ruchliwe, podobne gwiazdom latającym, czarne oczy Kozła; wychyla się spod prostego daszka kepi blade, lekko naznaczone ospą, od myśli wytężonej pofałdowane czoło Ossowskiego; widać też przejętych powagą chwili i niebywale uroczystych: Sprężyckiego, Bellona, Sitkiewicza, Właszczuka, Petrykowskiego i innych.

Jedzą owoce, wypluwają pestki daleko przed siebie i milczą.

Dopiero gdy zjedli, Ossowski, uczeń dobry, pilny, do nauki zawzięty, pociera czoło i powiódłszy oczyma po towarzyszach, przemawia:

— Jutro zatem...

I wzdycha.

— Tak, jutro!... — powtarzają inni.

I również wzdychają.

Drażni to Kozłowskiego. Jego żywy temperament nie znosi wszelkiej płaczliwości.

— Cóż to? — woła głosem rześkim, z ławki się zrywając — czyśmy tu przyszli na rekolekcje? — Czy to jutro koniec świata?...

— Nie, ale dzień ważny...

— Opuszczamy szkołę na zawsze...

— Rozstajemy się — może już się więcej nie zobaczymy...

— Ha — wykrzykuje Kozioł — jeśli to wam humory zakwasza, można temu zaradzić.

— Jak?

— Zostańcie wszyscy na drugi rok w piątej klasie!

Za dobrą radę Koziół dostaje w głowę ogryzkiem jabłka.

Po krótkim zamieszaniu zabiera głos najpoważniejszy w tym gronie — Ossowski.

— Zebraliśmy się tu — mówi — ażeby opowiedzieć sobie wzajemnie: co każdy z nas zamierza czynić po otrzymaniu patentu. Trzeba więc, żeby Kozły przestały brykać i żeby zrobiło się trochę spokojniej.

— Racja. Niech Koziół schowa rogi.

— Będziemy mówili kolejno, jak siedzimy.

— Osa! Zaczynaj od siebie.

Ossowski przesuwa rękę po czole.

— Znacie mnie dobrze — przemawia głosem smutnym. — Wiecie, że rwę się do nauki, jak — koń do żłobu. Ale cóż, kiedy tego konia przytrzymuje w miejscu — uzda...

— Co takiego?

— Mocna, twarda uzda, której ani zerwać, ani zębami przegryźć nie można.

— Osa, mów wyraźniej. Jakaż to uzda?

— Bieda.

Sprężycki przypatruje się koledze szeroko otwartymi oczyma. Jest odczytany, posiada dużo wiadomości, ogarnia myślą szerokie horyzonty — ale o życiu praktycznym ma pojęcie tak słabe, jak dziecko. Wygląda też dziecinnie i najmłodszy z całego grona, odbija rażąco od swych kolegów, wyrostków, którym wasy już się sypią.

— Czy to znaczy, że nie masz pieniędzy? — pyta naiwnie.

— Ano, tak...

— To poproś swego ojca, żeby ci dał...

— Ba! Kiedy mój ojciec także nie ma!

Sprężycki milknie. W głowie nie może mu się pomieścić, żeby mogli być na świecie ojcowie, nie mający pieniędzy.

— Cóż więc postanowiłeś? — pytają Ossowskiego koledzy.

— Będę przez kilka lat uczył cudze dzieciaki i grosz do grosza ciulał. A gdy uzbieram potrzebny „fundusz”, wstąpię do gimnazjum — potem do uniwersytetu...

— Czym chcesz zostać?

— Wszystko mi jedno: lekarzem, adwokatem, urzędnikiem... Głównie chodzi mi o to żeby jak najwięcej umieć, wiedzieć!

Niewielkie oczy błyszczały mu ognicie na okrągłej, bladej twarzy. W kolegach budzi szacunek.

— Na Bonusia kolej!

Gruby Bonuś Smoliński, opędzając się Kozłowskiemu, który kłuje go w tłusty kark gałązką agrestu, pod pozorem, że muchy zeń opędza — przemawia wolno, z namysłem:

— Ja zostanę lekarzem... od zwierząt.

Chłopcy zaczynają się śmiać.

— Nie śmiecie się. To dobry kawałek chleba.

— Bonusiowi zawsze chodzi najbardziej o chleb...

— Z serem!

— Albo ze szperką!

— To ty będziesz „wytryniarz”? — krzywi się pociesznie Kozłowski.

— No tak, albo co?

— Winszuję.

Bonuś milczy i nadyma się, myśląc o odparowaniu ciosu. Wreszcie mruczy z powstrzymywanym, grzechoczącym mu w gardle, śmiechem:

— Sobie powinszuj, bo możesz mieć u mnie darmo poradę...

Tamtemu oczy się iskrzą... Aby zażegnać burzę, Ossowski woła:

— Kozłowski niech mówi!

— Kozłowski! Kozłowski! — powtarzają inni.

Wołany odchrząkuje, brodą zabawnie porusza, oczyma strzela w prawo i w lewo...

— Mnie ciągnie do lasu... — oświadcza głosem poufnym i zęby wyszczerza.

— Jak zwyczajnie kozła... — zauważa jakiś dowcipniś.

— Głupiś, kochanku. Zwyczajnych kozłów do lasu nie puszczają, boby zniszczyły — a ja będę las siał, lasu pilnował, o lesie myślał. Będę leśniczym — rozumiesz? Najpierw leśniczym, a potem nadleśnym.

— Wiwat Kozioł nadleśny! — krzyczą chłopcy wesoło.

Ossowski śpieszy uciszyć wrzawę.

— Sitkiewicz ma głos — przypomina.

Sitkiewicz pociera brodę, na której dzięki długiemu skrobaniu scyzorykiem jeży się już jasna, rzadka szczecinka.

— To się wie, że mam głos — żartuje — przecieżem nie ryba.

— Gadaj: co będziesz robił, jak dostaniesz patent?

— Schowam go do kieszeni. Głupi daje, mądry bierze.

Sitkiewicz ma słabość do przysłów i „przygadawek”.

— A potem co?

— Pójdę na obiad. Człowiek jak głodny, to do niczego, a jak się naje, to by nic nie robił.

Śmieją się. Ossowski napiera:

— Powiedzże, Sitko, co myślisz zrobić ze sobą po skończeniu szkoły?

— Nic nie myślę. Albo ja głupi myśleć? Indyk myślał i głowę mu ucieli.

— Czy zamierzasz dalej się kształcić?

— Co to, to nie! Mam już tej nauki po dziurki w nosie. Niech moje wrogi uczą się! — niech tłumaczą Eutropiusza, Korneliusza, Owidiusza i kują greckie „aorysty”!

— Obrałeś już sobie zawód?

— To się wie!

— Jaki?

— Zostanę jeometrą. Raz kozie śmierć!

Wśród ogólnej wesołości Sitkiewicz milknie i zapala papierosa, prawdziwego papierosa w prawdziwej angielskiej bibułce.

Z kolei zabiera głos siedzący tuż za Sitkiewiczem — Bellon.

Dobry, szczerzy chłopiec, rumiany i okrągły, choć nie dość jeszcze rozdęty, żeby z „balonika” mógł zostać całym „balonem” — nic stanowczego powiedzieć o sobie nie umie. Ojciec jego ma garbarnię — może syna weźmie do pomocy, aby go z czasem na czele fabryki postawić. Stryj znów jest artystą-malarzem — rad by siostrzeńca widzieć obok siebie w słonecznym przybytku sztuki. Skromny, potulny studencik zastosuje się w zupełności do tego, co ojciec i stryj, po wspólnej naradzie o jego losie postanowią.

— Właszczuk! Na ciebie kolej.

Właszczuk jest synem rzemieślnika. Spojrzenie, razem zuchwałe i zawstydzone, żółtawa cera twarzy, mówią o życiu spędzonym w ciasnym, źle przewietrzanym warsztacie, wśród ludzi dobrych może, lecz nieokrzesanych.

Patent z pięciu klas jest ziszczeniem najśmielszych jego marzeń, szczytem, o którego zdobyciu ledwie odważał się myśleć. Uważałby za szaleńca tego, kto by posądzał go o pragnienia dalej sięgające.

— Idę do biura powiatu — oświadcza tonem głębokiego zadowolenia, z dumą niejaką zmieszanego.

— I cóż tam będziesz robił?

— Będę przepisywał urzędowe papiery.

Solenność, z jaką wymawia słowo „urzędowe”, jest wyższa nad wszystkie wyrazy.

Praktyczny Bonus bada ciekawie kolegę.

- Dużo będą ci płacili?
- Z początku nic.
- To niewiele...
- Ale potem będę brał pięćdziesiąt złotych na miesiąc.

Na chłopcach, przywykłych liczyć na grosze, "pięćdziesiąt złotych" czynią wrażenie niemale. Kręcą głowami z podziwu.

– To jeszcze głupstwo... — uśmiecha się Właszczuk tryumfująco. — Naczelnik powiedział, że jak będę pilny, mogę dojść po kilku latach do — stu złotych...

Sto złotych!.. Zdumienie chłopców nie ma granic. Kto by przypuszczał, że ten niepozorny Właszczuk zdobędzie kiedyś takie bogactwo!

Po Właszczuku, zadziwia kolegów Petrykowski — w inny wszakże sposób. Chłopczyna spokojny, stateczny, nabożny, z przymkniętymi, jakby sennymi oczami, oznajmia cieniem, wątlým głosem, że o żadnej świeckiej „karierze” nie myśli, postanowił bowiem zostać — księdzem.

Spomiędzy pozostałych jedni wracają na wieś, pomagają ojcom w gospodarstwie, inni idą na praktykę gospodarską do obcych; jeden wyrusza do szkoły rolniczej; jeden jedzie do bogatego wuja, który ma losem jego pokierować.

Nie brak i takich, co mówią wręcz, że tymczasem o niczym nie myślą i myśleć nie chcą, że dość się w „sztubie” napracowali, i przede wszystkim muszą — odpocząć.

Nie wszyscy, co kiedyś razem w szrankach stawali, razem dobiegli do mety. Wielu opóźniło się w drodze, wielu zbiło się z niej, straciło trop, na manowcach przepadło.

Wyjątek stanowił Dembowski. Brakło go w tym gronie, ale dlatego tylko, że już od roku uczęszczał do jednego z gimnazjów warszawskich.

Inni zawieruszyli się kędyś tak, że nawet ślad ich przepadł. Należeli do ich liczby przede wszystkim „artyści” klasowi: Konopka i Welinowicz.

Biedny „Hefajstos”, do czwartej klasy nawet nie dociągnawszy — umarł.

Kataryniarz-Olszewski opuścił klasę trzecią (po dwuletnim w niej pobycie) z powodów nader poważnych. Przyszedł do przekonania, że szkoła jest areną zbyt szczupłą dla jego wielkich przemysłowo-handlowych zdolności.

Skokiem śmiałym, na jaki zdobywać się mogą tylko natury wyjątkowo energiczne, przerzucił się od razu z izby szkolnej na plac targowy, rozszerzając jednocześnie i zakres i rodzaj swych „operacji”. Od drobnego ptactwa przeniósł się do wielkich czworonogów, od gołębi do... wieprzów i rumaków i zasłynął wkrótce jako pierwszorzędny handlarz koni i nierogacizny.

„Pieś”, zdumiewający wszystkich świetnym apetytem i równie świetnie rozwijającą się tuszą, uwiązał w klasie czwartej. Mówili koledzy, że chciano przeciągnąć go do piątej „piecem” — okazał się wszakże na to za tłusty. Według powszechnego przekonania, „przejadł” on swą promocję; zachodziła zaś obawa, że „przeje” i patent.

Szczerze to martwiło jego przyjaciela Kozłowskiego — żadna jednak z gimnastycznych i pływackich sztuk ostatniego poradzić na to nie mogła.

...Wszyscy obecnie złożyli już swe wyznania, wszystkim nieobecny poświęcono po kilka słów żartobliwych lub rzewnych — nagle przewodniczący zebraniu Ossowski zauważył:

— Zapomnieliśmy o Sprężyckim...

— To prawda — podejmuja inni. — Gdzie on się podział?

— Sprężycki! Sprężycki! — rozległy się wołania.

Sprężycki oddalił się o kilkadziesiąt kroków od altany. Klęczy na skraju gęstego klombu i rozgarnawszy liście, wpatruje się wyteżonym wzrokiem w kwiat jakiś.

Usłyszawszy wołanie, odwraca się ruchem niechętnym.

— Czego chcecie? — odkrzykuje, z kolan nie wstając. — Nie przeszkadzajcie mi! Znalazłem rzadki, prześliczny okaz rośliny z rodziny motylkowatych — studiuje go...

Zebranie wybucha gniewem i oburzeniem. Delegowani: Sitkiewicz i Kozłowski wybiegają, biorą Sprężyckiego za ramiona i prawie przemocą wciągają pod rozłożyste gałęzie gruszy.

— Sprężycki! — przemawia „prezes” uroczyście — masz nam tu natychmiast powiedzieć: co czynić zamierzasz po skończeniu nauk?

— Po skończeniu nauk? — dziwi się tamten. — Cóż ja mogę dziś o tym wiedzieć? To rzeczy tak dalekie!...

— Nie tak bardzo. Jutro nauki kończysz.

— Jutro kończę nauki? Chybaście oszaleli! Ja dopiero je zacząłem.

— Jutro dostaniesz patent.

— Iiiii... taki patent. Dla mnie patentem będzie dopiero dyplom uniwersytecki. A i na tym jeszcze nie koniec!

— Pi, pi, pi... co mu to się roi!... — dziwi się Kozłowski.

— Kopernikiem chcesz zostać, czy co? — pyta drwiąco Właszczuk.

— Daj kurze grzędę, ona: wyżej siędę!... — wyjeżdża z przysłowiem Sitkiewicz.

Zaczynają podżartowywać z wielkiego zapachu małego kolegi — przy czym zarysowywa się już nieznacznie przepaść, mająca ich odtąd dzielić od niego.

Oni już cel swój osiągnęli, wchodzą w świat, do uczty życia zasiadają — z wyższością i prawie z politowaniem patrzą na najmłodszego, dziecinnie wyglądającego towarzysza, któremu się roją rzeczy tak dalekie i tak wysokie.

Jeden Ossowski właściwie rozumie i ocenia Sprężyckiego.

Przystępuje doń, rękę mu ściska...

— Zazdroszczę ci... — mówi smutno. — Ty możesz... szczęśliwy! Oby mi Bóg pozwolił spotkać się jeszcze z tobą!

Tymczasem, zbyt długo wytrzymywana powaga opuszcza nagle członków zebrania. Niebieskie mundurki zaczynają skakać, popychać się, dokazywać.

— Panie Pawlicki! — wołają na przechodzącego ogrodnika. — Jeszcze po garncu tego dobrego!

— A czy panowie studenci mają „dydki”?...

— Oho!... Dziś moglibyśmy cały pański ogród zakupić!...

Po zjedzeniu owoców chłopcy porozumiewają się oczami i naraz, z tych wszystkich młodych, zdrowych, pełnych zapachu piersi, wyrywa się pieśń chóralna:

Pijmy zdrowie Mickiewicza!

On nam słodkich chwil użył!...

Dźwięcznej pieśni przysłuchują się wróble, zięby, czyżyki — przysłuchuje się jej także wsparty na motyce „Aleś” i po raz pierwszy w życiu spogląda ze smutkiem na swe boscie stopy i ręce czarne od ziemi inspektowej...

Przeczytaj także:

Wspomnienia niebieskiego mundurka - Streszczenie szczegółowe

Wspomnienia niebieskiego mundurka - Streszczenie krótkie

Wspomnienia niebieskiego mundurka - Plan wydarzeń

Wspomnienia niebieskiego mundurka - Charakterystyka bohaterów

Wspomnienia niebieskiego mundurka - Czas i miejsce akcji

Wspomnienia niebieskiego mundurka - Geneza utworu i gatunek

Wspomnienia niebieskiego mundurka - Problematyka

Wspomnienia niebieskiego mundurka - Biografia autora

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Wiktor Gomulicki, *Wspomnienia niebieskiego mundurka*, Warszawa 1918